

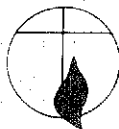
przegląd powszechny

12/820/89

miesięcznik

poświęcony sprawom religijnym,
kulturalnym i społecznym

założony w roku 1884



JEZUICI • Warszawa

WYDAWCA

Prowincja Wielkopolsko-Mazowiecka Towarzystwa Jezusowego

RADA REDAKCJI

Witold Adamczewski SJ
Jacek Ambroziak
Henryk Bogacki SJ
Jacek Bolewski SJ
Kazimierz Dziewanowski
Ryszard Otowicz SJ

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Tadeusz Filas SJ
Michał Jagiełło
Maria M. Matusiak
Stanisław Opiela SJ (red. naczelny)
Grzegorz Schmidt SJ

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Teresa Wierusz

REDAKTOR TECHNICZNY

Jacek Herman-Iżycki

„PRZEGŁĄD POWSZECHNY“

Redakcja i Administracja
ul. Rakowiecka 61
02-532 Warszawa
tel. redakcji 48-91-31 w. 211
49-02-39
tel. administracji 48-91-31 w. 214
48-09-78

PRENUMERATA

roczna 8250 zł
za I półrocze 4500 zł
za II półrocze 3250 zł
cena egzemplarza 750 zł

Wpłaty

Bank PKO VI Oddział w Warszawie
nr konta 1560-51624-136
ul. Bagatela 15
00-585 Warszawa

Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem
administracji „Przeglądu Powszechnego”.
Część nakładu jest do nabycia w kioskach
„Ruchu” i w katolickich księgarniach.

Skład i druk: Oficyna „Przeglądu Powszechnego”,
Warszawa, ul. Rakowiecka 61
Zam. 2/87, (A-37), nakład 8000+350 egz., ark. druk. 10,0
Papier druk. kl. V, 71 g., format A1
Numer zamknięto 12 X 1989 r.

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca



*Naród kroczący w ciemnościach
ujrzał światłość wielką;
nad mieszkańcami kraju mroków
światło zabłyśło. /.../
Albowiem Dziecię nam się narodziło.
Iz 9,1.5*

Aby łaska okazana przez Boga umacniała siły,
stanowiła zachętę do wytrwałości
oraz niewyczerpane źródło nadziei i wiary,
życzy swoim Czytelnikom i Sympatykom

Redakcja „PP“

Boże Narodzenie 1989

Spis treści

ks. Adam Przybecki

Polskiego duszpasterstwa zmaganie się ze mszą świętą 327

Duszpasterstwo w Polsce jawi się jako zespół luźnych i samostanowiących inicjatyw, pozostających co najwyżej w ograniczonym związku ze mszą świętą.

Zdzisław Najder

Bitwa o umysł (dokończenie) 343

W Polsce po 1946 r. stworzono bazę ekonomiczno-społeczną dla „socjalistycznej” nadbudowy i głoszone ewidentną naukowość marksizmu, a mimo to walka w dziedzinie myśli była prowadzona przede wszystkim środkami fizycznymi.

Janusz Gazda

Ideologia przeciw moralności: w kręgu Pawlika Morozowa (dokończenie) 364

Rewolucja rozumiana jako proces ciągły nie tyle odbyła się, ile zaczęła w 1917 r. Miała trwać w nieskończoność i polegać na robieniu nieustannych eksperymentów z człowiekiem.

Stanisław Czapiewski SJ

**Przez zakratowane okienka.
Wspomnienia syberyjskie (dokończenie)** 379

Wspomnienia polskiego jezuitę deportowanego w połowie czerwca 1941 r. z Wilna do obozu na Syberii.

Anna Micińska

**Aleksander Wat – elementy do portretu.
Ballada więzienna** 395

Wspomnienia A. Wata (1900–1967) z pobytu w rosyjskich więzieniach i na zesłaniu przybliżają postać poety przywracanego polskiej kulturze po latach anatemy.

Aleksander Wat

Wiersze 409

Zrozumieć Grudzień (<i>Andrzej Urbański</i>)	412
Bojkot? – Tak (<i>Andrzej Dziurdzikowski</i>)	427
Uwagi o ratownictwie tatrzańskim (<i>Władysław Cywiński</i>)	434
Notatki z Ziemi Świętej (II) (<i>Małgorzata i Konrad Kucza-Kuczyńscy</i>)	443
Ucieczka z wielkiego miasta (<i>Roman Warszawski</i>)	452

Książki – *W. Chrostowski*: Chrystologia w sytuacji dialogu (John Pawlikowski, „Jesus and the Theology of Israel”) 461

W. Roszkowski: Wzrost i upadek wielkich mocarstw (Paul Kennedy, „The Rise and Fall of the Great Powers”) 464

Sztuka – *J. S. Wojciechowski*: Czerwone i czarne („Czerwone i białe”, Hala „Gwardii”; „Polak, Niemiec, Rosjanin”, d. Zakłady Norblina; Warszawa, sierpień – wrzesień 1989 r.) 468

Teatr – *A. Szymańska*: Czyste szaleństwo (Teatr St. I. Witkiewicza w Zakopanem, „Sonata b” według Stanisława I. Witkiewicza, „Jak wam się podoba” Williama Szekspira, reżyseria – Andrzej Dziuk) 472

Książki nadesłane 478

Sommaire

abbé Adam Przybecki

La pastorale polonaise aux prises avec la sainte Messe

327

La pastorale en Pologne apparaît comme un ensemble d'initiatives isolées et autonomes, offrant un rapport limité avec la sainte Messe.

Zdzisław Najder

Pour conquérir les esprits (fin)

343

Malgré la mise en place infrastructure économique et sociale propre à servir de base à une superstructure „socialiste”, et en dépit de la proclamation du caractère scientifique du marxisme, c'est essentiellement par contrainte physique au sens large du terme que les communistes en Pologne ont mené leur „bataille des esprits” pour se les subjuguier.

Janusz Gazda

L'idéologie contre la morale: dans l'univers de Pavlik Morozov (fin)

364

Comprise comme processus, ce n'est pas que la révolution s'accomplit en 1917, date qui n'en a marqué que l'amorce. Elle devait durer indéfiniment et consister en une incessante expérimentation sur l'homme.

Stanisław Czupiewski SJ

A travers des fenêtres grillées. Souvenirs de Sibérie (fin)

379

Témoignage d'un jésuite polonais déporté à la mi-juin 1941 de Vilno dans un camp en Sibérie.

Anna Micińska

Aleksander Wat – éléments pour un portrait. La ballade carcérale

395

Les souvenirs d'Aleksander Wat (1900-1967) de sa détention dans des prisons soviétiques et de sa déportation en URSS nous rapprochent ce poète restituée à la littérature polonaise au bout des années d'anathème.

Aleksander Wat

Poésies

409

Essais et comptes rendus

412

Ks. Adam Przybecki

Polskiego duszpasterstwa zmaganie się ze mszą świętą

Być może srebrny jubileusz „Constitutio de Sacra Liturgia” II Soboru Watykańskiego, który minął w ubiegłym roku, byłby wystarczającym uzasadnieniem poniższych rozważań. Istnieją jednak inne jeszcze – kto wie czy dla Kościoła spełniającego swą pastoralną posługę w Polsce nie ważniejsze – powody, dla których podjęcie tego zagadnienia jawi się wprost jako wezwanie. Chodzi przede wszystkim o czas mierzony dniami upływającymi od chwili skądinąd wzruszającego i podniosłego momentu zakończenia II Krajowego Kongresu Eucharystycznego. Wspomnieć też należy, mniej czy więcej wyraźnie głoszoną i diskutowaną tezę, zgodnie z którą – jak się twierdzi w pewnych kręgach – konsekwentna recepcja Vaticanum II dokonała się u nas jedynie w zakresie odnowy liturgii.

Pamiętne i odtąd wielokrotnie aż do znudzenia cytowane w publikacjach zdanie soborowej Konstytucji przypomina, że: *Liturgia jednak jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i jednocześnie jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc*¹. Istotne znaczenie tego sformułowania wynika przede wszystkim z faktu podkreślenia, że liturgia nie tylko odzwierciedla sakramentalną strukturę Kościoła, ale także zajmuje centralne miejsce wśród jego czynności i zadań. By uniknąć nieporozumień, ważne jest dostrzeżenie wcześniejszego określenia odnotowanego w tej samej Konstytucji, według którego *liturgia nie wyczerpuje całej działalności Kościoła* (KL 9). W niczym zatem nie umniejszając potrzeby innych czynności liturgia jest z natury swojej szczytem i źródłem całego posłannictwa Kościoła, ponieważ w niej osiąga on w najwyższym stopniu cel wszelkiej działalności pasterskiej, mającej ostatecznie doprowadzić do Boga

¹ Konstytucja o liturgii świętej, w: *Sobór Watykański II. Konstytucje, dekrety, deklaracje. Tekst łacińsko-polski*, Poznań 1968, nr 10.

przez Chrystusa. Ta droga realizacji posłannictwa Kościoła w liturgii jako szczycie i źródle została określona przez samego Boga. Odtąd uczestnictwo w tajemnicy Chrystusa przez wiarę i sakramenty jest konieczne do osiągnięcia zbawienia. Tak więc akt wiary – jak podkreślają komentatorzy – winien zawierać choćby niewyraźne pragnienie przyjęcia sakramentów, one zaś nie powodują swego skutku bez wiary. Z kolei wszystkie sakramenty skupiają się wokół Eucharystii, udzielając łaski tylko o tyle, o ile w ich przyjęciu kryje się mniej czy więcej wyraźnie zawarte pragnienie przyjęcia Eucharystii. Ona jest celem wszystkich sakramentów i wraz z nimi stanowi ów wspomniany szczyt oraz źródło życia Kościoła².

Lata, które minęły od zakończenia II Soboru Watykańskiego, znaczone były w dziedzinie odnowy liturgicznej bardzo złożonymi procesami przeobrażeń. Ich wynikiem jest niezmiernie skomplikowany obraz doświadczeń, które ukształtowały świadomość poszczególnych Kościołów lokalnych, nawiedzonych tu i tam stagnacją, a nawet bolesnym regresem uczestnictwa wiernych w liturgii eucharystycznej. Na tym tle polska sytuacja wypowiadająca się zatłoczonymi w każdą niedzielę świątyniami bywa odczytywana jako szczególny fenomen, budzący zrozumiałe zainteresowanie i przedmiot wnikliwej obserwacji. Zakończony przed dwoma laty w obecności Jana Pawła II Krajowy Kongres Eucharystyczny, a także zjawiające się w pewnych wypowiedziach akcenty samozadowolenia i triumfalizmu, skłaniają do spokojniejszej analizy tego bezsprzecznie zdumiewającego faktu. Rodzi się przede wszystkim pytanie o to, w jakim stopniu rzeczywistość ta jest wynikiem zamierzonej działalności duszpasterskiej, wyrosłej z przemyślenia i przemodlenia soborowego dziedzictwa, w jakim zaś stanowi owoc innych, może nie zawsze najistotniejszych, co nie znaczy złych inspiracji.

Od rutyny do sukcesu, czyli msza święta w polskim duszpasterstwie

Refleksja wokół roli i znaczenia Eucharystii w życiu rodzimej wspólnoty kościelnej obudzona, przynajmniej w pewnych kręgach polskich katolików, kongresowymi przygotowaniem stała się okazją kolejnej oceny tzw. odnowy

liturgicznej zainspirowanej przez Vaticanum II. Rzeka publikacji, tych przed kongresem i tych po jego zakończeniu, przyniosła górę teoretycznych rozważań, skądinąd potrzebnych i ważnych, natomiast ze świecą szukać odważnych i uczciwych analiz liturgicznej praxis. Te, które ujrzały światło dzienne, przypominają wątlą strużkę pośrodku upalnego lata. A przecież idea kongresu, obok zewnętrznego uczczenia Eucharystii, niesie wezwanie do rewizji stopnia naszej świadomości eucharystycznej. Czyżby sprawa przedstawiała się tak wspaniale, że nie wymaga wspólnego namysłu i podjęcia drogi wprost ewangelicznego nawrócenia? Osobiście śniło mi się powszechniejsze poruszenie, chociażby na wzór tego, jakie wywołały na początku lat siedemdziesiątych publikacje zamieszczone na ten temat w „Tygodniku Powszechnym” przez ks. Adama Bonieckiego, „wietrzącego” odnowę Tadeusza Żychiewicza czy ks. prof. Franciszka Blachnickiego³. Spodziewałem się, że jeśli nie co innego, to REKOLEKCJE EUCHARYSTYCZNE, które w obliczu naszej opieszałości przyszło poprowadzić samemu Ojcu Świętemu staną się wreszcie powodem wspomnianego poruszenia. Nie można zatem dziwić się bolesnym dla nas stwierdzeniom, niekiedy może nawet złośliwym, że polską pobożność eucharystyczną obrazuje najlepiej ów – salva reverentia utrudzonym organizatorom – szczególny pojazd przemierzający warszawskie ulice podczas uroczystej procesji w dniu zakończenia kongresu.

Przeprowadzona w Polsce po II Soborze Watykańskim odnowa liturgiczna bezsprzecznie ożywiła uczestnictwo wiernych we mszy świętej. Istotną rolę odegrała tutaj decyzja o wprowadzeniu do oficjalnych nabożeństw języka narodowego, co uznać muszą nawet przeciwnicy tego rozwiązania, przez długie lata nie mogący się z nim pogodzić. Pozostaje oczywiście pytanie, jak dalece można zaakcepto-

² Por. S. Czerwik, *Wprowadzenie do Konstytucji o liturgii świętej*, tamże, s. 33–34.

³ Por. A. Boniecki, *Na paryskim bruku*, „TP” 1972, nr 47 i następująca po nim dyskusja: T. Żychiewicz, *Szósty Francuz. Wietrzyć odnowę*, „TP” 1973, nr 1; S. Wilkanowicz, *Rachunek sumienia szóstego Francuza*, „TP” 1973, nr 3; Po artykule „Szósty Francuz” (listy czytelników), tamże; „Szóstego Francuza” ciąg dalszy (listy czytelników), „TP” 1973, nr 5; F. Blachnicki, *Prawy i mniemania. Na marginesie dyskusji wokół „Szóstego Francuza”*, „TP” 1973, nr 8; A. Boniecki, *I może przyjdzie ktoś najbardziej prosty*, tamże.

wać całkowitą eliminację łacińskiej tradycji, dokonującą się obok czy wielokrotnie wbrew intencjom Kościoła za sprawą *bigotów odnowy* – żeby odwołać się do określenia jednego ze znanych publicystów! Niezależnie jednak od wszystkich zastrzeżeń język narodowy w liturgii otwarł przed jej uczestnikami nie dostrzegane dotąd w pełni bogactwo treści świętego misterium. Jeszcze wyraźniejsze stało się wezwanie, które jest adresowane do każdego człowieka. Zrodziła się oto – przy koniecznym minimum otwartości – szansa przełamania bezdusznej i rutynowej jeno obecności na mszy św. wspieranej dotychczas m.in. barierą niezrozumiałego dla większości języka. W tym sensie można chyba mówić tutaj o najbardziej spektakularnym etapie odnowy, stosunkowo łatwym do przeprowadzenia.

W miarę jednak zgłębiania dotąd mało zrozumiałych treści wymagania wiernych zaczęły rosnąć. Z całą ostrością zauważali oni niedbałość w recytacji tekstów mszalnych, niekiedy wprost lekceważący sposób sprawowania Najświętszej Ofiary, jak również brak duchowego wyciszenia i skupienia oraz wewnętrznego ZAPLECZA u tych, którzy przewodniczą zgromadzeniu eucharystycznemu. Refleksja ta nabierała szczególnego znaczenia na tle działalności pewnej grupy duchownych, dla których odnowa liturgiczna stała się bardzo wdzięcznym polem zewnętrznej aktywności. Uczynili oni ze mszy św. teren ćwiczebny do tego stopnia, że uczestnictwo w niej bardziej przypominało wojskową musztrę aniżeli sprawowanie wielkiej tajemnicy wiary. Nieustanne admonicje, nie znające końca komentarze, które przesłaniały prostotę słowa Bożego, czy wreszcie nękający instruktaż na temat najwłaściwszej ponoć postawy ciała – oto tylko część instrumentów szkolenia. Dla rozbieganych wewnętrznie celebransów prawdziwą męką stawały się chwile ciszy zalecane przez nowe „Ordo Missae” w kilku miejscach akcji liturgicznej. Zreformowana bowiem w swym zewnętrznym kształcie po II Soborze Watykańskim celebrowana eucharystyczna zakłada duchową głębię życia tego, który przewodzi zgromadzonemu wokół ołtarza ludowi.

Rosnące na tym tle wewnętrzne napięcie, u pewnej przynajmniej grupy wiernych, przełamывała liturgia sprawowana w ramach pojawiających się z czasem coraz liczniej

grup i ruchów religijnych. Wolny od nerwowej bieganiny i nieustannego popędzania ze strony księdza kształt mszy św. stawał się swoistą oazą dla ludzi umęczonych hałasem, duchową pustką i – niestety – szokującą błazenadą panującą w niektórych zgromadzeniach liturgicznych. Jednakże ten specyficzny charakter małych wspólnot ze względu na izolację od większych społeczności zaowocował tu i tam dewiacjami, które są drugim krańcem wspomnianej wcześniej rutyny i aktywizmu. Płaczliwe zawodzenie, wielogodzinne roztrząsanie wobec wspólnoty własnych „wydaje mi się”, „ja sądzę, że Pan Bóg powinien”, nie kończąca się litania poleceń wydawanych Bogu na najbliższy tydzień przy okazji modlitwy powszechnej, a wszystko to kosztem otwarcia na innych i w atmosferze przerażającego CHCIEJSTWA, które nie owocuje czynami miłości wobec ludzi spotykanych na drodze własnego życia.

Osobny problem posoborowej świadomości eucharystycznej Kościoła w Polsce stanowi ograniczenie liturgii wyłącznie do mszy św. Objawia się on z jednej strony nieprzemyślaną eliminacją wielu nabożeństw paraliturgicznych, z drugiej – przesadnym mnożeniem liczby mszy św. Pierwsze spowodowałoubożenie skarbcza typowo polskich nabożeństw wyrosłych na gruncie rodzimej i oryginalnej tradycji, drugie wpłynęło na dewaluację w świadomości wiernych samej celebracji eucharystycznej, kapłanów zaś wystawiło na próbę nieustannych binacji i trynacji mszy św., a w ostateczności ulegania groźnej rutynie. Zapaleńcy odnowy zauroczeni przemianami zapomnieli, że niektóre z nowych propozycji liturgicznych mają swoje odpowiedniki w tradycyjnych nabożeństwach ciągle jeszcze żywych, przynajmniej w pewnych regionach Polski, i że można było owe istniejące nabożeństwa uzupełnić jedynie nowymi elementami, których wprowadzenie postulowały dokumenty posoborowe. Dotyczy to chociażby tzw. nabożeństw słowa Bożego możliwych do wpisania w nieszpory niedzielne czy nabożeństw pokutnych, mających swe odpowiedniki w polskich Gorzkich Żalach czy Drodze Krzyżowej. Efektem tychże pośpiesznych poczynañ jest dzisiaj w większości parafii rzeczywisty zanik jednych i drugich.

Także w jakiejś mierze charakterystyczny dla polskiej religijności fakt wiązania mszalnego misterium z ważnymi

wydarzeniami społeczno-narodowymi przy całej głębokiej wymowie religijnej tej rzeczywistości niesie wiele zagrożeń świadomości eucharystycznej. Potrzeba doprawdy dużej wrażliwości i duchowego wyrobienia, zarówno u kapłanów jak i świeckich wiernych, aby uchronić to specyficzne zgromadzenie od pokusy przenoszenia doświadczeń i nawyków nabytych podczas ulicznych wieców i manifestacji. Na kanwie wydarzeń ostatnich zwłaszcza lat odczuwa się w większych zbiorowościach liturgicznych nieustanne napięcie między stylem przeżywania mszy św. jako obecności we wspólnocie pielgrzymów wiary a wizją zastępczego wiecu czy galowej akademii zorganizowanej z takiej czy innej okazji. Towarzyszy temu wielokrotnie barbaryzacja obyczajów objawiająca się, delikatnie mówiąc, brakiem osobistej kultury i niegrzecznością wobec innych uczestników zgromadzenia liturgicznego.

Wreszcie nie sposób przemilczeć faktu ciągle ograniczonego u nas zaangażowania świeckich wiernych w spełnianie właściwych im funkcji liturgicznych. Zdumienie budzi olbrzymia klerykalizacja liturgii, jaką ciągle jeszcze można obserwować, mimo upłyńnięcia 25 lat od chwili zakończenia Vaticanum II. Tej skazy nie była pozbawiona nawet celebrowanie Kongresu Eucharystycznego, kiedy to zaangażowanie laikatu ograniczało się do uczestnictwa w procesji z darami czy ewentualnie do lektury jednego z wezwań modlitwy powszechnej. Niewiele w Polsce można znaleźć parafii, w których z zasady, a nie tylko od wielkiego święta, świeccy wierni wypełniają podczas mszy św. właściwe im posługi. Nierzadko także w tej sytuacji z niezmiernie wielką pieczołowitością dba się o to, aby zatrzeć wszelkie zewnętrzne znaki ich przynależności do stanu świeckiego.

Duszpasterstwo, które jest drogą do ołtarza

Centralna rola Eucharystii, w której właściwie wypowiada się sama istota duszpasterstwa, bywa niekiedy ukazywana w obrazie drogi prowadzącej do ołtarza, a po spełnieniu Najświętszej Ofiary – od ołtarza ku człowieczej codzienności. Gdyby pozostać przy tym obrazie, to trzeba stwierdzić, że etap drogi prowadzący w stronę ołtarza wygląda u nas jeszcze stosunkowo dobrze, gorzej natomiast sprawy przed-

stawiają się w relacji powrotnej. Ciągłe jeszcze mamy wypełnione wiernymi świątynie, co niejednego przyprawia o gigantyczny zawrót głowy, zwłaszcza wtedy, kiedy punktem odniesienia stają się bolesne doświadczenia Zachodu. Ludzie odczuwają mniej czy więcej wyraźną potrzebę obecności na niedzielnej mszy św. Nie przeżywamy też, dzięki Bogu, tak wielkiego braku księży, jak to bywa w innych Kościołach lokalnych. Jednakże stan ten nie może przesłaniać nam całej prawdy o sytuacji.

Coraz częściej jawia się pytanie, w jakim stopniu owo ciążenie ku ołtarzowi jest wynikiem świadomego wyboru wiary. Nie brak bowiem stwierdzeń, które sugerują rutynową obecność na mszy św., opartą głównie na sile ciągle żywej w Polsce tradycji tzw. chodzenia do kościoła w niedzielę. Wskazuje się również na zastępcze traktowanie liturgii eucharystycznej jako ucieczki dla ludzi psychicznie osłabionych, nie wytrzymujących wielkich napięć naszej codzienności. Objawia się to w postawach odrywania mszy św. od realiów życia, sprowadzania jej do uczestnictwa w miłej wyłącznie atmosferze spotkania przyjacielskiego, bez podejmowania wezwań, które przynosi Najświętsza Ofiara. Niepokój budzi także przejmująca bierność wyglądająca cudu, który by zastąpił ludzki wysiłek i odpowiedzialne zaangażowanie.

Przy wszystkich pozytywach sytuacji wydaje się, że nasze zorientowanie w stronę ołtarza jest tylko pozorne i zewnętrzne. To prawda, że akcentujemy wyraźnie obecność przy ołtarzu, ale nie stanowi on centrum duszpasterstwa. Ołtarz jest jakby przybudówką do czegoś, co biegnie zupełnie innym nurtem obok niego. Ślady takiego myślenia można odnaleźć nawet w koncepcji nowych świątyń, tak licznie u nas ostatnimi czasy powstających, gdzie przestrzeń sakralna nie jest organizowana wokół ołtarza. Wszystko tam jest ważne i piękne, tylko nie miejsce Najświętszej Ofiary. Nasze duszpasterstwo jawi się raczej jako zespół luźnych i samoistnych inicjatyw, pozostających co najwyżej w ograniczonym związku ze mszą św. Wielokrotnie Eucharystia stanowi jedynie nobliwą ozdobę czy tło dla innych – jak powiadamy – istotniejszych działań, będących owocem ludzkiej przemyślności. Katecheza pozostaje działaniem samym dla siebie, swoistą repliką chorej polskiej szkoły, zatracając cha-

rakter inicjacji wiary. Jej związek z Najświętszą Ofiarą sprowadza się do obowiązkowej AKADEMII przy ołtarzu z okazji rozpoczęcia i zakończenia roku katechetycznego czy pierwszopiątkowej komunii św. kwitowanej niejednokrotnie podpisem księdza lub katechety. Podobnie rzecz ma się z pojmowaniem sakramentów, które odrywane od źródła, jakim jest dla nich Eucharystia, urastają do roli kolejnego jedynie środka wychowawczego, tym skuteczniejszego, że popartego już nie tylko ludzkimi, ale nadprzyrodzonymi sankcjami. Bywa, że nawet poszczególnych części mszy św. nie traktuje się w powiązaniu z całością Najświętszej Ofiary, czego najwymowniejszym przykładem staje się kazanie, pojmowane przez pewną grupę księży jako centrum niedzielnego zgromadzenia bez jakiegokolwiek odwołania się do sprawowanego tu i teraz misterium Eucharystii.

Zewnętrzny jedynie charakter nakierowania duszpasterstwa na ołtarz potwierdza także bierność dostrzegania w postawie uczestników liturgii eucharystycznej. Wierni świeccy przekonani, że organizacja liturgii jest wyłącznie domeną kapłana, nie wykazują zbytniego zaangażowania w przygotowanie świętego zgromadzenia. Nastawiają się w większości na przyjmowanie tego, co zastają w danym miejscu. Księża zaś – poza nielicznymi wyjątkami – wykazują tendencję mechanicznego niejako powielania raz ukształtowanych wzorców i nie starają się pobudzać świeccich do inwencji w tym względzie. Sytuacja stale jeszcze wypełnionych świątyn w jakiejś mierze nie zmusza żadnej ze stron do podjęcia poszukiwań. W efekcie pogłębia się postawa rutynowego uczestnictwa, gdzie nikt nie czuje się zobligowany do zmiany czegokolwiek. Wspomniane zjawisko rysuje się jeszcze wyraźniej na tle budzącego wielki szacunek starania naszych siostr i braci ze wspólnot kościelnych dotkniętych bolesnym procesem laicyzacji. Chciałoby się przenieść do naszych tłumnych zgromadzeń choć cząstkę ogromnej troski i zaangażowania w przygotowanie mszy św., jakie tam możemy spotkać, mimo że świątynie wypełniają jedynie kilkunastoosobowe gremia wiernych.

Jakie zatem podjąć inicjatywy, aby tę naszą drogę do ołtarza, w licznych sytuacjach już tylko zewnętrznie żywotną, pogłębić i wpisać w całokształt duszpasterskiego działania?

Punkt wyjścia z całą pewnością stanowi permanentnie budzona, zarówno wśród kapłanów jak i świeckich wier-nych, świadomość wielkości oraz znaczenia misterium, które aktualnie sprawujemy i w którym uczestniczymy. Będzie to podtrzymywana pamięć o wielorakiej obecności Chrystusa w zgromadzeniu liturgicznym, także pamięć o znaczeniu i wymowie poszczególnych MIEJSC celebrowanej liturgii, wyrażająca się wrażliwością na święte znaki. Nie bez wpływu na taką postawę pozostaje sam sposób sprawowa-nia Najświętszej Ofiary przez kapłana, który ułatwia lub utrudnia dostrzeżenie jej sakralnego charakteru. Winna ona pozostać wolna od stale obecnej pokusy przenoszenia czysto świeckich wzorców i zachowań.

Równocześnie trzeba zadbać o wyraźne powiązanie litur-gii z tym, co określa codzienność jej uczestników. Nie może stać się ona miejscem ucieczki dla ludzi, którzy stronią od podjęcia odpowiedzialności za świat i powierzone im przez Boga zadania. Dlatego nieustannie należy się strzec przero-stu formy nad treścią, co dzisiaj jawi się – zwłaszcza w liturgii środowisk młodzieżowych i mniejszych wspólnot – jako stale żywe zagrożenie. Niewątpliwie duże znaczenie ma przyjacielska atmosfera tworzona w poszczególnych zgro-madzeniach, ale nie jest ona ostatecznym celem. Trzeba także zadbać, aby rozbudowanej i skądinąd przepięknej oprawie muzycznej pewnych zgromadzeń liturgicznych towarzyszyła także pogłębiona w swej treści homilia, uświa-damiająca wymiar sprawowanej Ofiary oraz uwrażliwiająca na zobowiązania, jakie przynosi czytane w niej słowo Boże. W przeciwnym razie zamienia się one jedynie we wspaniałe koncerty, które będą gromadziły fanów takiej czy innej muzyki. Ważne jest również przestrzeganie podczas mszy św. granicy między zdrową spontanicznością a koniecznym minimum dyscypliny charakterystycznej dla postawy czło-wieka, który świadomy prawdy o samym sobie pragnie jak najpełniej otworzyć się na Boga.

Kolejny postulat dotyczy katechezy dziecięcej i młodzie-zowej. Winno się ją powiązać wyraźniej z wprowadzeniem w tajemnicę mszy św. dokonywanym w ramach samej liturgii. Godna uwagi jest propozycja, aby dla każdej grupy kateche-tycznej choćby raz na kwartał sprawować Najświętszą Ofiarę, którą by przygotowali jej uczestnicy. Możliwości,

jakie dla formacji liturgicznej stwarza mała wspólnota, nie zastąpi bowiem uczestnictwo w liturgii wielkiego i tłocznego zgromadzenia. Z tego ostatniego pozostanie najczęściej wspomnienie ciżby ludzkiej i widok pleców osoby stojącej przede mną. Aby człowiek był zdolny uwolnić się od tych negatywnych doświadczeń i mimo wszystko odnalazł swoje miejsce w niekiedy bardzo licznym niedzielnym zgromadzeniu, musi kilka przynajmniej razy w życiu stanąć tak blisko ołtarza, że zobaczy niejako samo serce misterium. Wówczas nawet największy tłok, najgorsze warunki nie przesłonią samej istoty tego, co jest sprawowane na ołtarzu.

Inną sprawą jest przezwyciężenie postępującej barbaryzacji i infantylizacji obyczajów coraz bardziej przenikających styl sprawowania i uczestnictwa we mszy św. Dotyczy to zarówno języka używanego podczas liturgii, który niepokojąco zaczyna przypominać gazetową nowomowę, oraz banału obecnego w pieśniach kościelnych zastępowanych przez tzw. piosenkę religijną, jak i kolejkowo-stadnych zachowań rodem z naszej zwulgaryzowanej codzienności. Niebezpieczeństwo tych zjawisk nabiera znaczenia w chwili, gdy uświadomimy sobie istotny wpływ liturgii na kształtowanie modlitewnej praxis jej uczestników. Trzeba też zwracać uwagę na sposób sprawowania Eucharystii przez celebrans, zagrożony swoistym niechlujstwem, obecnym w recytacji tekstów mszalnych czy graniczącym z lekceważeniem świętego misterium stylem zachowania się przy ołtarzu. Wielokrotnie towarzyszy temu autentyczne pragnienie uwolnienia liturgicznej celebracji od rzekomego bizantynizmu.

Wśród inicjatyw pogłębienia naszej drogi do ołtarza nie sposób przemilczeć propozycji ożywienia tradycji katechez mystagogicznych związanych ze sprawowaną aktualnie mszą św. Wydaje się, że winna ona na trwałe zagościć w liturgii dni powszednich, w której bierze udział w większości stałe grono osób. Dla wiernych, choćby intuicyjnie wyczuwających wagę i znaczenie codziennego udziału we mszy św., to systematyczne wprowadzenie w tajemnicę Najświętszej Ofiary może się stać źródłem pełniejszej formacji chrześcijańskiej. Równocześnie ludzie ci stworzą świadomą grupę uczestników niedzielnej liturgii, którzy swoim stylem obecności i zaangażowania pomogą pozostałym wiernym

dostrzec pewien wzorec własnego przeżywania Eucharystii konkretnej wspólnoty parafialnej. Wbrew wszystkiemu nie wolno lekceważyć tutaj roli i wpływu określonych wzorców, które dla większości wiernych mają z całą pewnością większe znaczenie w kształtowaniu ich podejścia do mszy św. niż najmądrzejsze pouczenia czy instruktaże docierające z wysokości ambony.

W ślad za tym winno podążać pełniejsze włączenie świeckich wiernych w sprawowanie należnych im funkcji w liturgii, czego zresztą od lat domagają się oficjalne dokumenty kościelne. Trzeba zrozumieć, że kwitnąca u nas klerykalizacja liturgii z całą pewnością nie ułatwia laikatowi odnalezienia własnej podmiotowości w ramach zgromadzenia eucharystycznego. Stąd konieczność szerszego włączenia odpowiednio do tego przygotowanych świeckich, chociażby w lekturę czytań mszalnych, wezwań modlitwy powszechnej, które mogliby wspólnie z księdzem wcześniej sformułować, czy ogłoszeń parafialnych. Księża muszą zrozumieć, że msza św. będzie ważna nawet wtedy, kiedy i oni w pewnych momentach celebracji eucharystycznej będą słuchaczami słowa Bożego, i że spełniając funkcje należne świeckim czynią to zawsze w ostateczności. Być może w niejednym przypadku trzeba będzie popracować nad cnotą pokory, która ułatwi pohamowanie zbyt rozwinętego przekonania o własnych niezastępowalnych uzdolnieniach czy nadmiernej skłonności do dominacji we wspólnocie. Celebrans przede wszystkim winien pracować nad własną dojrzałością duchową, tak by stawał się z każdym dniem coraz bardziej świadom odpowiedzialności za swoją i powierzonych mu wiernych drogę do ołtarza. Nie do przyjęcia jest postawa celebransa, który zatracą własną tożsamość przewodzącego zgromadzeniu liturgicznemu, stając się wyłącznie entuzjastycznym uczestnikiem określonej przez konkretną wspólnotę atmosfery przyjacielskiego tylko spotkania.

Pośród formułowanych propozycji należałoby wspomnieć o konieczności wiązania homilii z czytaniem podczas mszy św. słowem Bożym, a także odniesieniem jej do aktualnie sprawowanego misterium Eucharystii. Zaniedbanie tej sprawy przyczynia się do zagubienia w świadomości wiernych sakralnego charakteru tworzonego zgromadzenia. Jego kształtowaniu mają również służyć nakazane w

ramach celebracji eucharystycznej chwili ciszy i skupienia, będące męczarnią dla wszelkiego rodzaju aktywistów i ludzi wierzących jedynie w moc własnego słowa. Nie należą do odosobnionych głosy, którym świadectwo daje opublikowana w jednym z polskich miesięczników wypowiedź: *Shuchać nie znaczy słyszeć* – mówi mi pewien starszy znajomy, zaangażowany w Kościele katolik. – *Ja bym to wiązał z inflacją słów w Kościele. Popatrz, ile czasu trwa Liturgia Słowa wraz z homilią – ciekawe, że im mniej dany kaznodzieja ma do powiedzenia, tym dłużej prawi. Przed Soborem, który zabrał nam mszę ojców, może i niektórzy wierni zasypiali w ławkach. Ale inni mogli choć raz w tygodniu skupić się, odciąć od powszechnego zgiełku, pomyśleć trochę o Bogu i o sobie, pomodlić się po własnemu z głębi duszy, a nie na ogólną komendę. Muzykę kościelną też zarżnięto, bo to, co teraz upycha się między zbiorowe recytacje, to nie jest w ogóle muzyka. Na ile ciszy czy organów mowa wrażała się w pamięć⁴.*

Niektórym celebransom warto by przypomnieć, że w obowiązującym mszale mamy do dyspozycji dziesięć wersji modlitwy eucharystycznej, a nie tylko jedną, tę najkrótszą, używaną dzień w dzień w wielkim pośpiechu, bo ponoć zawsze nie starcza czasu. Znam takich, którzy po wydaniu nowego mszału proponowali druk jego wersji uproszczonej z standardowymi jeno tekstami i drugą – najbardziej zwięzłą – modlitwą eucharystyczną, bo przecież kto miałby cierpliwość wyszukiwania odpowiednich na dany dzień formularzy. Tymczasem owo bogactwo tekstów ma służyć m.in. pogłębieniu naszego uczestnictwa we mszy św., stąd postulat pełniejszego ich wykorzystania. A jest to przecież nie tylko kwestia treści modlitwy eucharystycznej, ale także wielorakość aklamacji i admonicji, błogosławieństw i modlitw, prefacji oraz formularzy mszalnych itp.

Wreszcie na koniec warto zwrócić uwagę na formę tzw. nabożeństw eucharystycznych, które mogą mieć wpływ na tę drogę, którą człowiek pokonuje w stronę ołtarza. Nie ulega wątpliwości, że w tradycyjnym swym kształcie wspomniane nabożeństwa przeżywają znaczny kryzys. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy – jak się wydaje – jest ich zdominowanie przez słowo na niekorzyść milczenia i elementu indywidualnej adoracji. Być może w przeszłości ist-

niała potrzeba wypełnienia czasu, który człowiek przeżywał wobec Najświętszego Sakramentu, przez różnego rodzaju wspólne rozważania, litanie, czytania tekstów itp. Dzisiaj jest on spragniony przede wszystkim ciszy, chce choć w tym momencie pozostać w skupieniu, z dala od męczącego zgiełku i hałaśliwej reklamy codziennego życia. Przykładem tego jest duże zainteresowanie, nawet wśród młodych, różnego rodzaju nocami czuwania i modlitwy. Potrzeba tutaj odwagi przemyślenia pewnych tradycyjnych form, które zanikają, aby wyjść naprzeciw potrzebom dzisiejszego człowieka i nie zaprzepaścić zarazem wartościowego dziedzictwa.

Na drodze powrotu od ołtarza ku codzienności

W życiu chrześcijanina wszelka aktywność, także duszpasterska, bierze swój początek z Eucharystii. Fakt ten wyznacza jego drogę do ołtarza jako miejsca sprawowania Najświętszej Ofiary, a następnie – po jej spełnieniu – drogę powrotu od ołtarza ku codzienności, którą pragnie przepoić bogactwem otrzymanego daru. Obserwacja naszej rzeczywistości wykazuje, że ta właśnie droga powrotu od ołtarza nie wygląda najlepiej. Istnieje spory rozróż między tłumną obecnością na mszy św. a postawami ludzi w konkretnych sytuacjach codzienności. Odnosi się wrażenie, że uczestnictwo w zgromadzeniu eucharystycznym ma bardzo znikomy wpływ na życie wiernych. Tymczasem serio traktowana obecność ołtarza Eucharystii w centrum chrześcijańskiego życia będzie je przenikała w każdym wymiarze. Jeśli człowiek z całą świadomością angażuje się w Najświętszą Ofiarę, jeśli pragnie zająć stanowisko wobec słowa Bożego, to bez dodatkowych pouczeń zauważa, że od tego ołtarza rozlega się wołanie o odpowiedź, której trzeba udzielić własnym życiem. Oczywiście staje się dla niego przekonanie, że poznanie prawdy i otrzymanego daru miłości nie sposób zatrzymać tylko dla siebie, że trzeba się nimi dzielić. Liturgia nie jest wtedy sposobem ucieczki przed odpowiedzialnością, ale przeciwnie, mobilizuje chrześcijanina do działania, staje się źródłem mocy na każdy dzień.

⁴ Z. Modzelewska, *Co słyszać w sali katechetycznej?* „Więź” 1988, nr 4, s. 27.

Wydaje się, że jakiś podstawowy błąd naszego duszpasterstwa, będący osłabieniem drogi powrotu od ołtarza ku codzienności, tkwi w niedocenianiu roli Eucharystii jako centrum aktywności Kościoła. Aprobując werbalnie znacznie Eucharystii w praktyce budujemy na czymś zupełnie innym. Zamiast wychodzić w działaniu od mszy św. przejmujemy doświadczenia świeckich organizacji. Rozpoczynamy od wielogodzinnych zebrań i posiedzeń, komisji i zespołów roboczych, które niczego nie wnoszą poza tomami sprawozdań, wytycznych i deklaracji. Ten niebezpiecznie rozwijający się duch sowietyzacji (ros. sowiet = narada, rada) zakrada się do Kościoła wypierając zeń wrażliwość i otwartość na religijne źródła dynamizmu. Zdumienie muszą budzić wywody odpowiedzialnych za pastoralne inicjatywy osób, nakazujących proboszczowi ożywienie parafii przez organizowanie zebrań z wiernymi. Realizowane na najróżniejszych poziomach mają stanowić punkt wyjścia pracy duszpasterskiej. Oczywiście nie można lekceważyć znaczenia tego rodzaju spotkań, ale przecież odgrywają one drugorzędną rolę w stosunku do zgromadzenia liturgicznego. Potrzeba zatem stałego przeciwstawiania się pokusie budowania Kościoła wyłącznie za pomocą informacji (alias propagandy) i organizacji. Raczej należałoby odwoływać się do świadectwa zastępującego informację oraz do partycypacji, która zajęłaby miejsce przed organizacją⁵.

Wiąże się to z innym niż dawne pojmowaniem parafii, stanowiącej najbardziej podstawową formę zgromadzenia wiernych zebranych na sprawowaniu liturgii⁶. Każda parafia z założenia winna dążyć do tego, aby stać się braterską wspólnotą ludu Bożego. Ta ostatnia zaś zawiązuje się w bezpośrednich, międzyludzkich kontaktach, nie zaś w anonimowym tłumie. Dlatego w punkcie wyjścia trzeba podjąć decyzję budowania parafii jako wspólnoty wspólnot i rozpocząć od stworzenia pierwszej żywej komórki, czyli „małej grupy”. Ta grupa objawia się jako Kościół przez liturgię, zwłaszcza eucharystyczną, która jest szczytem i źródłem całej działalności. To właśnie w niej będzie się kształtować wspólnota członków, a następnie – już w ramach liturgii niedzielnej – wspólnota z innymi grupami. Przy ołtarzu dojrzewać też będą zespoły współpracowników, którzy

przejmą w parafii różne zadania i odpowiedzialność za zbawienie drugich⁵.

Z innych spraw negatywnie wpływających na kształtowanie drogi powrotu od ołtarza ku codzienności trzeba wymienić różnego rodzaju próby instrumentalizacji zgromadzenia liturgicznego. Nieustannie obecne zagrożenie wykorzystywania go do innych celów powoduje albo ztratę religijnego wymiaru sprawowanego misterium wiary, albo całkowite oderwanie Eucharystii od związku z realiami codziennego życia. Negatywnie też trzeba ocenić wszelkie próby eliminacji tradycji liturgicznej danego miejsca czy konkretnej wspólnoty. Trzeba bowiem wiedzieć, że w liturgii konkretnej wspólnoty czy miejsca wypowiada się w pewien sposób specyfika wezwań i zadań charakterystycznych dla danego środowiska. To zaś nie pozostaje bez wpływu na tę odpowiedź, której udziela przeżywający ją człowiek.

Zamazywanie misyjnego posłania Eucharystii służy również zbytnia czy przesadna koncentracja na zewnętrznych jedynie – często nie aż tak istotnych – sprawach związanych ze sposobem uczestnictwa w mszalnej celebracji. Myślę tu choćby o zupełnie niepotrzebnym w pewnych kręgach rozgrzewaniu dyskusji na temat formy przekazywania znaku pokoju czy nawet postawy przyjmowania komunii św. Pochłaniania to tyle energii, że już nie starcza sił na sprawy istotniejsze.

Dotyczy to wreszcie – powracając do jednego z punktów wyjścia naszych rozważań – inicjatyw wyrosłych na kanwie Kongresu Eucharystycznego. Niepokój budzi czysto mechaniczne przenoszenie pewnych postulatów z minionych epok bez próby najmniejszego wysiłku przełożenia ich na język współczesnych potrzeb i sytuacji. Z całą pewnością istnieje konieczność ożywienia kultu Eucharystii, wątpliwe jednak czy pod hasłem tzw. Krucjaty Eucharystycznej, która to nazwa kojarzy się dzisiaj z czymś daleko odbiegają-

⁵ Por. F. Blachnicki, *Ewangelizacja w procesie budowania „nowej parafii”*, „Królowa Apostolów” 1989, nr 5, s. 3–4.

⁶ Por. *Konstytucja o liturgii świętej*, dz. cyt., nr 42.

⁷ Szerzej na ten temat zob. W. Głowa, *Duszpasterstwo małych grup parafialnych*, „Collectanea Theologica”, A. 56: 1986 fasc. 1 s. 55–60.

cym od ducha pięknej skądinąd inicjatywy. Podobne wątpliwości rodzą się wokół sposobów realizacji wezwania do ożywienia praktyki adoracji Najświętszego Sakramentu. Zastępowanie mozolnego wysiłku budzenia świadomości i wrażliwości na obecność Jezusa Chrystusa w Eucharystii gromadnymi jedynie wymarszami do najbliższej Kaplicy Wieczystej Adoracji jest zaiste wielkim nieporozumieniem. Nie można się potem dziwić, że w pewnych wspólnotach owoce Krajowego Kongresu Eucharystycznego kojarzą się z wysiłkiem wprowadzenia ponownie zwyczaju przyklękania na czas udzielania błogosławieństwa mszalnego. Nie widzi się też problemu w tym, że wielka wrzawa organizacyjna kongresu przesłoniła bardzo pokorną i cichą, ale zarazem wyraźnie zaznaczoną prośbę ludzi starszych i chorych o dar codziennej komunii św. Wiązałoby się to z wprowadzeniem u nas praktykowanej już w innych Kościołach lokalnych możliwości roznoszenia komunii św. przez wiernych świeckich. Przejście do porządku dziennego nad tym faktem – moim zdaniem – jest najlepszą odpowiedzią na pytanie o stan naszej świadomości eucharystycznej, a także śladem swoistego zmagania się polskiego duszpasterstwa ze mszą świętą, która ciągle nie znajduje się w jego centrum.

La pastorale polonaise aux prises avec la sainte Messe

Le fait que les églises polonaises se remplissent toujours de fidèles, ce qui donne lieu à des accents de satisfaction béate et quelquefois de triomphalisme, amène l'auteur de l'article à analyser le phénomène. Il s'interroge dans quelle mesure ce fait, réconfortant en soi, est le résultat d'une pastorale

délibérée, procédant d'une réflexion féconde sur l'héritage du II^e Concile du Vatican, et dans quelle autre il tient à des inspirations moins essentielles. La question est aussi de savoir quelles en sont les conséquences pour la formation des catholiques polonais.

Zdzisław Najder

Bitwa o umysł (dokończenie)

9. Kim byli filozoficzni przeciwnicy marksizmu? Ich głównym (i narzuconym) wspólnym mianownikiem był fakt, iż NIE byli marksistami, a więc naukowa ideologia klasyfikowała ich jako wrogów postępu. Łączyło ich wszakże jeszcze parę podzielanych poglądów: nie-marksistowscy filozofowie polscy tego okresu (przeważnie, do czasu, wykładowcy uniwersytetów), przy wszelkich różnicach stanowisk byli zgodni w obronie niezależności nauki od polityki; odrzucali tezę, że wszystkie ich poglądy wyrażają (świadomie lub nie) interesy klasowe burżuazji; nie przejmowali postulatów „partyjności” i uważali stalinowską koncepcję czterech zasad materializmu dialektycznego za prymitywną lub wręcz bezsensowną.

Niewątpliwie największy wpływ wywierała szkoła lwowsko-warszawska wywodząca się od Twardowskiego, a reprezentowana wspaniale przez Kazimierza Ajdukiewicza (którego uważam za najwybitniejszego filozofa polskiego XX w.), Tadeusza Kotarbińskiego i wielu jeszcze, także pracujących w innych dyscyplinach, jak przede wszystkim Stanisław Ossowski. Trudno sobie wyobrazić postawę filozoficzną bardziej odległą od reprezentowanej przez ówczesny marksizm; same wymogi logicznej i semantycznej precyzji wypowiedzi stanowiły uderzający kontrast ze słoganowo niejasnym, pełnym wieloznacznych abstraktów gadulstwem marksistów. Ale tak się złożyło, że jeden z czołowych wówczas w Polsce reprezentantów marksizmu w naukach humanistycznych i wielki ich reformator, także organizacyjny, Stefan Żółkiewski, jako student i młody naukowiec był poddany wpływom i formalizmu w nauce o literaturze, i neopozytywizmu, bliskiego szkole lwowsko-warszawskiej, w filozofii. Grzmiąc tedy na idealizm, „duchologię”, fideizm i irracjonalizm przeciwników marksizmu – strzelał do nich z Carnapa, szydząc z mętniactwa i niesprawdzalności. Do dzisiaj nie potrafię powiedzieć, jak

Zółkiewski (osobiście zresztą człowiek i odważny, i przywoity, choć wygadujący rzeczy horrendalne i w dodatku całkiem nieczuły na wartości estetyczne) godził w swojej głowie powoływanie się na Koło Wiedeńskie z inkantacjami na cześć bezwstydnie spekulatywnej filozofii marksistowskiej i pochwałami *nowatorskich osiągnięć humanistyki radzieckiej*. Z zewnątrz wyglądało to po prostu tak, że rygory logicznego empiryzmu były dobre jako oręż w walce z niewiernymi, ale samych marksistów nie obowiązywały.

Z perspektywy lat czterdziestu wygląda to dziecinnie prosto – ważna była funkcja polityczna, a nie takie teoretyczne wymogi, jak wewnętrzna spójność. Zresztą ulubioną metodą załatwiania się z nie-marksistowskimi poglądami filozoficznymi było w Polsce ich fizyczne wyciszenie. W „Studiach Filozoficznych” rzadko pojawiały się barwne epitety, tak chętnie stosowane przez towarzyszy radzieckich i chińskich (pamiętam, jak bawiliśmy się – rzecz jasna dyskretnie – kiedy „Voprosy Filozofii” nazwały Kotarbińskiego, który był niewielkiego wzrostu i szczupły, *reakcyjnym wielorybem*). Natomiast konsekwentnie pozbawiono wszystkich „burżuazyjnych filozofów”, od Dąbrowskiej do Tatarkiewicza, prawa nauczania; niektórzy – jak Ajdukiewicz i Kotarbiński – ocalili jako logicy. Najlepsze ze znanych mi w jakimkolwiek języku wprowadzenie do filozofii, „Zagadnienia i kierunki filozofii: teoria poznania i metafizyka” Ajdukiewicza wydano w 1949 r. w małym nakładzie, dostępnym w księgarniach tylko specjalistom legitymującym się odpowiednim zaświadczeniem; to samo stało się z III tomem „Historii filozofii” Tatarkiewicza wydanym w rok później. Żadna z tych książek nie zawierała bezpośredniej polemiki z marksizmem; ich grzechem śmiertelnym było omawianie marksizmu z takim samym dystansem, z jakim były traktowane inne teorie. Nawet Kotarbińskiemu, który był traktowany stosunkowo pobłażliwie jako ateista i sympatyk lewicy, nie wznowiono jego klasycznych „Elementów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk”, wydanych jeszcze w 1929 r.

10. Jednakże istotnym składnikiem sytuacji, w której toczyła się bitwa o umysł, był fakt, że zanim jeszcze władze

roztoczyły bardziej troskliwą kontrolę nad wydawnictwami, ukazało się w Polsce parę prac, które chętnych młodych ludzi mogły przygotować do spotkania z marksizmem. Najważniejsze były wśród nich, jak sądzę, studium Narcyza Łubnickiego „Teoria poznania materializmu dialektycznego” (1947) oraz książeczka ks. prof. Kazimierza Kłósaka „Materializm dialektyczny” (1948). Obie prace wywodziły się z tradycji szkoły lwowsko-warszawskiej i obie trenowały czytelników w trzeźwej i skrupulatnej analizie.

Kiedy się do nich dodało wspomniane wyżej wprowadzenie Ajdukiewicza (rozszerzony wstęp do przedwojennego podręcznika licealnego zawierającego znakomitą antologię fragmentów z klasyków filozofii; wyznam, że wychowałem się na jego lekturze), trzy tomy „Historii filozofii” Tatarkiewicza oraz znakomitą rozprawę Ajdukiewicza z 1948 r. o „Zmianie i sprzeczności” (poświęconą analizie marksistowskiego twierdzenia, że wewnętrzne sprzeczności należą do istoty wszelkiego bytu) – można się było uodpornić na hałaśliwe niechłujstwo i werbalizm marksistów. Z ponurym rozbawieniem wysłuchiwałem potem wykładów o *imperialistycznej filozofii logicznego pozytywizmu*. Nie potrafiłem brać na serio „Materializmu i empiriokrytycyzmu” Lenina (książki, którą Kotarbiński określił pocziwie jako *dzieło amatora*). Musiałem brnąć ze wstrętem przez nieprzeliczone strony „Wstępu do teorii marksizmu” Schaffa; ale, pomijając już całą żonglerkę nieostrymi pojęciami, jak można było poważnie traktować dzieło naukowe, którego tekst podlegał zmianom (dokonywanym cichaczem) od jednego ideologicznego plenum KC do drugiego?

Tak więc kto nie godził się na bierną rolę łupu w bitwie o umysły, mógł się być sam uzbroić i wziąć, choćby w zaciśku własnego mózgu, udział w walce przez samodzielne rozważanie argumentacji obu stron. Nie było to łatwe – bo, jak powiedziałem, dostęp do nieortodoksyjnych publikacji był ograniczony i coraz trudniejszy, nawet w bibliotekach uniwersyteckich – ale było możliwe.

Nie zgadzam się też z zarzutem ks. prof. Józefa Tischnera, że zawodowi *filozofowie uniwersyteccy* nie tylko *nie dostrzegali marksizmu jako przeciwnika filozoficznego*, ale że *ich skryta pogarda dla marksizmu przerodziła się w postawę nie-*

zaangażowania w moralny i ideowy konflikt narodu¹⁸. Owo „niezaangażowanie”, tzn. – milczenie, zostało im siłą narzucone. Póki mogli, stawiali opór. Ajdukiewicz np. ogłosił wymowną obronę wolności nauki jeszcze w 1948 r.; w rok później podobna publikacja byłaby niemożliwa¹⁹. I on, i Kotarbiński, oskarżani o „idealizm” i inne okropności, ogłosili obszerne odpowiedzi na postawione im zarzuty; ale wolno im było tylko wykazywać sprzeczności w tekstach partyjnych krytyków, nie zaś wykazywać mętniactwo i prymitywizm ich poglądów.

Nie zgadzam się również z ogólniejszym twierdzeniem ks. Tischnera, że *filozofowie polscy przed wojną – poza bardzo nielicznymi wyjątkami – nie przygotowali polskiej inteligencji na konfrontację z marksizmem*²⁰. Wyrabianie przez szkołę lwowsko-warszawską rygorów jasnego i precyzyjnego myślenia oraz wymogów świadomości metodologicznej było najlepszym przygotowaniem, aby stawić czoło intelektualnej żonglerce, którą przedstawił marksizm. Przejrzyte i lojalne przedstawienie ogromnej różnorodności dorobku filozofii europejskiej w dziele Tatarkiewicza uczyło rozumienia i szacunku dla myślących inaczej niż my w tej chwili; łączenie przez S. Ossowskiego analizy semiotycznej z socjologią empiryczną (brał też pod uwagę prace marksistów) torowało drogę pełniejszemu zrozumieniu zjawisk i procesów społecznych. Jakże jednak mieli nas przedwojenni humaniści przygotować na pancerny najazd bredni odzianej w zbroję ideologii postępu, jedynie prawdziwej wiedzy i naukowego poznania nieuchronnych procesów dziejowych? Były zresztą dostępne, wydane w 1936 r., dwa tomy „Wieków dziewiętnastego” Bertranda Russella (tytuł oryginału: „Freedom and Organization 1814–1924”), ze znakomitą analizą krytyczną teorii Marksa i Engelsa.

Próba stalinizmu była próbą zarówno intelektualną jak i moralną, a najlepszym sposobem, jakim filozofowie polscy mogli się do niej przygotować, było wytwarzanie dobrej filozofii. Filozofia II Rzeczypospolitej stała na poziomie światowym.

Jest jasne: gdyby Polacy spodziewali się katastrofy poddania komunistyczno-stalinowskiej dominacji, mogliby przedsięwziąć jakieś kroki przygotowawcze. Spośród tych, którzy tę katastrofę przewidzieli, Witkacy popełnił samo-

bójstwo, a niektórzy inni zdecydowali się poprzeć Nowy Ład.

Rozpatrywany jako konstrukcja intelektualna ówczesny marksizm rzeczywiście zasługiwał na pogardę. Motywy jego akceptacji rzadko miały coś wspólnego z filozoficznymi zaletami marksizmu albo nawet z faktem (rzekomego) urzeczywistniania tej teorii przez system realnego socjalizmu. Widać to całkiem wyraźnie zarówno w „Zniewolonym umyśle” Miłosza, jak i w znacznie bogatszej faktograficznie „Hańbie domowej” Trznadla.

Rzeczywista rola polskich filozofów nie-marksistowskich, przede wszystkim ze szkoły lwowsko-warszawskiej, w bitwie o umysł została najpełniej opisana i jak sądzę właściwiej oceniona w ogromnej, bardzo szczegółowej i specjalistycznej (a w Polsce prawie nie znanej) książce Zbigniewa Jordana „Filozofia i ideologia: Rozwój filozofii i marksizmu-leninizmu w Polsce od Drugiej wojny światowej”, wydanej w 1963 r. Cytuję: *Nie jest przesadą powiedzieć, że wynik mógłby być inny, gdyby filozofia polska od pokoleń nie była uodporniana przeciwko wszelkim formom irracjonalizmu przez systematyczne uprawianie logicznych i innych naukowych procedur i gdyby nie mogła czerpać z tych zasobów /.../ Gdyby filozofowie polscy /.../ ulegli poza-logicznym naciskom lub zaprzestali stawiania oporu mętnemu myśleniu i błędnym rozumowaniom, zostałoby przebrane coś więcej niż tylko teoretyczna debata*²¹. Odnosi się to nie tylko do filozofów; naukowcy polscy, pracujący w innych dziedzinach, również mogli i często potrafili korzystać z bezcennego dorobku, jakim były umocnione lub wytworzone w okresie II Rzeczypospolitej wysokie standardy metodologiczne i logiczne pracy badawczej.

¹⁸ J. Tischner, dz. cyt., s. 26. Na s. 139 autor pisze, iż „materializm historyczny dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł się poza zasięgiem zainteresowań katolików”. Ależ nie podobnego, wręcz przeciwnie (ks. Piwowarczyk mi świadkiem); ale pisanie o materializmie historycznym wciągało natychmiast do bezpośredniej konfrontacji politycznej, a tu już czuwała cenzura.

¹⁹ K. Ajdukiewicz, *Co to jest wolność nauki*, „Życie Nauki” 1948, nr 6. Tekst zresztą oceniano, w pełnej wersji ukazał się dopiero w 1957 r.; K. Ajdukiewicz, *Język i poznanie*, t. II, Warszawa 1985, s. 266–281.

²⁰ J. Tischner, dz. cyt., s. 158.

²¹ Z. A. Jordan, *Philosophy and Ideology. The Development of Philosophy and Marxism-Leninism in Poland since the Second World War*, Dordrecht 1963, s. XII.

11. Znamienne, że walcząc z metafizyką i niezliczonymi wcieleniami wszędobylskiego idealizmu (popularna była odpowiedź Lenina na pytanie, czy gorszy jest idealizm obiektywny, czy subiektywny: *Oba są gorsze*) niechętnie korzystano z wypowiedzi żyjących filozofów polskich, takich jak Kotarbiński. Oni sami bowiem, upierający się przy swoich „burżuazyjnych” przekonaniach, byli przedmiotem surowej krytyki. Natomiast z Carnapa i jemu podobnych cudzoziemców strzelano najchętniej do filozofów katolickich.

Nie tworzyli oni bynajmniej jednolitej grupy; większość stanowili neotomiści, ale byli wśród nich i myśliciele bliscy szkole lwowsko-warszawskiej. Atakowano ich frontalnie i z jednakowym ferworem jako fideistów; słowu temu nadano charakter pogardliwej obelgi. Wiara w Boga uważana była przez marksistów (miłosiernie opuszczam nazwiska) jako nie tylko jawnie reakcyjna, ale również intelektualnie kompromitująca. Z drugiej strony jednak istnienie Boga było dopuszczanym przez cenzurę tematem polemik: katolikom przyznającym się do śmiesznego anachronizmu pozwalano się wypowiadać w jego materii; inne debaty, namacalnie bliższe praktycznych odniesień, tłumiono bardzo surowo. Warto o tym pamiętać, bo Kościół bywa niekiedy oskarżany o egocentryczne skupianie się na problemie ateizmu jako podstawowym. Wynikało to nie tylko z uzasadnionego pryncypializmu, ale i ze względów praktycznych. Po 1949 r., otwarta krytyka marksizmu na jakiegokolwiek innej płaszczyźnie stała się prawie niemożliwa.

Filozofowie uniwersyteccy rozporządzali w pierwszych latach po wojnie swoimi specjalistycznymi czasopismami, które wkrótce zresztą zlikwidowano. Myśliciele katolicy byli jeszcze przez krótki okres – do początku 1953 r. włącznie – w sytuacji nieco lepszej, bo istniało parę niezależnych pism, z „Tygodnikiem Powszechnym” na czele. Jak zasadnicze, żywe i nadal aktualne starali się toczyć polemiki, można się przekonać np. spoglądając na interwencje cenzury w wydanych w 1985 r., a więc po blisko czterdziestu latach zbiorze artykułów ks. Jana Piwowarczyka „Wobec nowego czasu”; szczegółowe i uporządkowane

omówienie zawartości „Tygodnika Powszechnego” a także innych czasopism katolickich z lat 1945–53 zawiera staranna książka Michała Jagielly „«Tygodnik Powszechny» i komunizm (1945–1953)”²². Nie będę streszczał tej arcydziełowej publikacji; dla celów niniejszego szkicu będą przydatne dwa stwierdzenia, których dokumentację można w niej znaleźć. Po pierwsze, Kościół i katolicy polscy nie potępiali nowego ustroju i wiązali z nim nadzieje na wzrost sprawiedliwości społecznej: *Jeżeli inne rozwiązania, nie rękami katolików dokonywane, wydają się ten cel na pewnym odcinku osiągać, to nie wolno katolikom tych, choćby tylko częściowych osiągnięć odrzucać*²³. Zdawali się nawet łudzić co do możliwości owocnego współistnienia: w kwietniu 1947 r. Episkopat uważał za realistyczne postulowanie, w memoriale skierowanym do premiera Cyrankiewicza, by Polska została określona w konstytucji jako *państwo chrześcijańskie*. Po drugie, Kościół i katolicy wielokrotnie deklarowali gotowość do lojalności i otwartości, która może zdumiewać w świetle nie tylko późniejszych doświadczeń, ale i ówczesnej wiedzy o zakresie i metodach prześladowań politycznych. Zajmowali więc pozycję czysto obronną.

12. Jakimi sposobami prowadzili bitwę nacierający? Nie tylko słowem i nie głównie słowem. Chociaż stworzono bazę społeczno-ekonomiczną dla „socjalistycznej” nadbudowy i chociaż głoszone ewidentną naukowość marksizmu, walka w dziedzinie myśli toczona była przede wszystkim środkami fizycznymi. Wykładowcom odbierano prawo nauczania, zwalniano ich z pracy lub przesuwano do zajęć nie pozwalających na kontakt ze studentami, zamykano wydziały filozoficzne i socjologiczne, likwidowano pisma i stowarzyszenia zawodowe, odmawiano ogłaszania i wznawiania książek uznanych za sprzeczne z marksizmem, atakowano i szantażowano opornych, wyrzucano ze studiów itd. Przyjęcie oficjalnej ideologii stawiało się podstawowym kryterium awansu we wszelkiej działalności intelektualnej. Jak pisze Bohdan Cywiński, niszczenie niezależ-

²² Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1988.

²³ J. Turowicz, *W stronę uspołecznienia*, „Znak” 1946, nr 1.

myślenia. Decydującą rolę w walce o los narodu naszego odegrało państwo, zbudowane na zasadach materializmu społecznego: ono, rzecz zrozumiała, musi mieć wpływ i na dziedzinę naszej myśli. Czołgami i armatami państwo to dowiodło wobec historii, że jego system jest słuszny. /.../ Jastrun podobnie: przypomina, że okres między dwiema wojnami cechuje wiara w wartości irracjonalne²⁷. Atakowano kult eksperymentu, oderwanie od potrzeb społecznych, i tak dalej. Ani słowa jeszcze o realizmie socjalistycznym: programem był humanizm i przykład ludzi radzieckich.

Borowy uważa, że argumenty były wszystkim *dobrze znane*. On pierwszy odpowiadał; jego polemika, uprzejma i rzeczowa, skupiona na faktach, a nie teoriach, spotkała się z aplauzem słuchaczy i sprawiła, że prelegenci spuścili z tonu i odzegli się od intencji zmuszania uczestników do czegokolwiek. Tak to przebiegało na początku; później brakło zarówno polemistów jak i rzeczowości, nie brakło pogroźek. Zresztą królowała demagogia.

A także strach. Bohdan Korzeniewski wspomina w „Sławie i infamii”, że w 1949 r. podczas narady w Oborach, poświęconej teatrowi, najostrzej atakował go, jako reakcjonistę, Cz. Miłosz, który chciał w ten sposób zasłużyć na powrót za granicę...²⁸

14. Sięgam do własnej pamięci. Połowa października 1950 r., narada produkcyjna (taka była oficjalna nazwa!) warszawskiej polonistyki. Przedmiotem skoncentrowanego ataku jest jeden z naszych profesorów, właśnie W. Borowy. W swoich wykładach i podczas zajęć zachowywał się ostrożnie; stwierdzał tylko, kiedy temat tego wymagał, że nie jest marksistą. Teraz kohorty S. Żółkiewskiego zarzucają mu religianctwo, irracjonalizm, idealizm i reakcyjność; „dowodów” dostarcza wydana przed dwoma laty książka „O poezji polskiej w wieku XVIII”, w której Borowy przypisał wielu wierszom religijnym tamtego stulecia wysoką wartość estetyczną. Paru z nas odważa się wystąpić w obronie profesora, wzorowego naukowca i znakomitego pedagoga. Następnego dnia dostajemy po głowie od „Trybuny Ludu”, na szczęście litościwie bez nazwisk, jako *wrogowie ludu*; Borowy natomiast umiera na udar.

Styczeń 1952 r. Piszę, pod pseudonimem Bogusława Grodzickiego (ukłon w stronę „Nieba w płomieniach”) do „Tygodnika Powszechnego” recenzję tomu szkiców krytycznych Ryszarda Matuszewskiego „Literatura na przełomie”, wykazując, że sądy oceniające autora nie mają logicznego związku z wyłożonymi przez niego kryteriami. Cenzura konfiskuje tekst w całości. Podejmuję tenże temat na konwersatorium z teorii literatury zachęcony przez opiekuna kursu, Andrzeja Wasilewskiego. Zostaję przez kolegów zmiążdżony jako *burżuazyjny obiektywista*, padają aluzje do *zachodnich imperialistycznych inspiracji*, opiekun uśmiecha się rozkosznie.

Przed egzaminami z materializmu dialektycznego i historycznego nasi zorganizowani w partii i ZMP koledzy (i koleżanki; te bywały szczególnie zajadłe) sporządzali listy osób ideowo niedojrzałych, które przekazywano egzaminatorom. Przesądzały one o możliwości uzyskiwanych stopni – nawet najbardziej obkuty wróg klasowy nie mógł liczyć na więcej niż tróję, chyba że udało mu się wślizgnąć na egzamin do samego prof. Schaffa, któremu jako członkowi KC i w ogóle Wielkiej Figurze list nie podsuwano. Pamiętam skandal, jakim było uzyskanie od Schaffa piątki przez koleżankę Irenę Stasiewicz, która kiedyś na naradzie produkcyjnej w przystępie szaleńczej odwagi zadeklarowała się jako „idealistka”. (Nie uchroniło jej to od skierowania po trzech latach do pracy zamiast na studia magisterskie.) I pamiętam własny egzamin z historii filozofii składany przed Henrykiem Hollandem już po uprzednim zdaniu (na bardzo dobrze) dwóch egzaminów specjalistycznych z tegoż przedmiotu przed W. Tatarkiewiczem. Egzaminator wykrył ten fakt przy oglądaniu mojego indeksu i potraktował mnie odpowiednio; udało mi się jakoś przebrnąć, ale zostałem dodatkowo skarcony za to, że nie umiałem na pamięć obowiązujących formuł, które określały rodzaj i stopień niedorostania do marksistowskich wyżyn Malebranche’a i Leibniza.

Ale każdy, kto owe lata pamięta, może sypać podobnymi – a także o wiele bardziej ponurymi – historyjkami. Wyle-

²⁷ W. Borowy, *Z Dziennika*, „Znaki Czasu” 1986, nr 1, s. 31–35.

²⁸ M. Szejnert, *Sława i infamia. Rozmowa z prof. Bohdanem Korzeniewskim*, Wydawnictwo Pokolenie, Warszawa 1988, s. 60–61.

cenie ze studiów powodowało wówczas zwykle zesłanie na prowincję do pracy jako nauczyciel czy bibliotekarz, ale nieraz oznaczało po prostu nędzę, bo trędowatym niechętnie dawano pracę. Janusz Szpotański żył, po usunięciu z UW, jakiś czas z roznoszenia mleka i zbierania butelek...

15. Marksizm-leninizm oraz program realizmu socjalistycznego nie zostały w całości importowane z zewnątrz – miały w Polsce swoich autochtonicznych zwolenników wśród partyjnych intelektualistów i pisarzy. Idea generalnej odnowy kultury w duchu „proletariackim”, droga przedwojennej lewicy, zyskała nagle upajające szanse realizacji. A chociaż rozdźwięk między słowami a czynami, między hasłami wyzwolenia człowieka a rzeczywistością wszechmocy tajnej policji ujawniał się od pierwszej chwili – przez blisko dziesięć lat komunizm odnosił sukcesy w walce o umysły. Jednakże nie działo się tak dzięki sile racjonalnych argumentów. Pierwsze z cytowanych powyżej zdań ze „Zniewolonego umysłu” jest dokładną odwrotnością prawdy – to brutalny nacisk systemu nadawał wywodom marksistowskich ideologów większość ich mocy. Nie tylko dlatego, że wzniewał strach, ale dlatego, że budził respekt dla potęgi nieublaganych Praw Historii.

Ówczesne „dyskusje”, których aż nadto wiele słyszałem, szybko i nieodmiennie ześlizgiwały się z płaszczyzny rozumowań na płaszczyznę *obiektywnej wymowy ideologicznej* poglądów nie-marksistowskich (które służyły „obiektywnie” imperializmowi...), politycznych wyzisk i pogroźek. Dość zresztą zajrzeć do takich tekstów, jak np. „Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce” S. Żółkiewskiego²⁹, by stwierdzić, że osią wszelkich dowodów teoretycznej słuszności było odwołanie się do *mas walczących o wyzwolenie i nowy ustrój i zwycięskiej walki proletariatu, klasy przodującej, zbrojnej w przodującą teorię*. Kto był górą, miał rację. Musiał mieć rację.

Zdarzali się ludzie tacy, jak mój profesor, Julian Krzyżanowski, którzy, posiadając znaczny autorytet naukowy, z wielką wiedzą kojarzyli dyplomację i umiejętność chytłych manewrów. Władze wyższe szanowały ich gotowość do współdziałania np. na gruncie edytorskim; konkurenci

bał się erudycji i ostrego języka. My, studenci-niemarksieści, podziwialiśmy ich, ale bez zapachu. Nie była to bowiem obrona, ale uniki; olśniewające nieraz i zachęcające do pracy, ale nie stanowiące wzoru moralnego³⁰.

Nie chcę jednak sprawiać wrażenia, że kuszę się o pełnię obrazu środowiska naukowego tamtych czasów. Chodzi mi w tej chwili o sprowadzenie do właściwych wymiarów roli czynnika intelektualnego w przyjmowaniu marksizmu. Dodam jeszcze, że jeśli chodzi o szczegółowe składniki doktryny, to – jak pokazał niedawno Stefan Amsterdamski na przykładzie Trofima Łysenki, skutecznego niszczyciela genetyki – o ich intronizacji decydowały nie treści merytoryczne, ale układy koniunkturalne i personalne³¹. I to był modelowy stan rzeczy.

16. Cz. Miłosz martwił się niedawno *zduwiewającą łatwością z jaką Polska wypłuła marksizm* i przywołał auto-rytet *jednego z najwybitniejszych umysłów Europy*, Jean-Paul Sartre'a, który nie żałował czasu na borykanie się z tzw. *rozumem dialektycznym*³². Zostawiając już na boku fakt, że Sartre (którego gwiazda zbladła do zaniku) mógł jako filozof konkurować w mętniactwie z najtęższymi mędrkami stalinizmu, zapytajmy, czy znamy jakiś naród, któryby przełknął marksizm i nie musiał za to gorzko płacić? W ZSRR trzeba teraz stosować silne środki wyksztusne. Trudno się zgodzić z sugestią, że przejście przez chorobę wiary w konieczność historyczną, zbawienną moc dyktatury proletariatu i determinizmu ekonomicznego jest warunkiem dobrego zdrowia duchowego narodu.

Czegóż jeszcze mieliśmy się byli nauczyć podczas przymusowych ćwiczeń z teorii i praktyki marksizmu? Czego jeszcze dowiedzielibyśmy się, dłużej i z większym zapachem studiując, na temat współczesnych procesów społecznych i ekonomicznych (nie mówiąc już o biologii i fizyce)? Czy przygotowałoby to nas lepiej do zrozumienia

²⁹ Referat na Zjazd Literacko-Naukowy Polonistów, Warszawa 8–12 maja 1950; „Twórczość” 1950, nr 6, s. 105, 123.

³⁰ Autocharakterystykę analogicznej postawy zawierają wspomnienia B. Korzniewskiego, dz. cyt., np. s. 70.

³¹ S. Amsterdamski, *O patologii życia naukowego – casus T. D. Łysenki*, „PP” 4/1989, s. 76–77.

³² Cz. Miłosz, *Jakby na opak*, „Kultura” 1988, nr 6, s. 126.

tego, co się dzisiaj dzieje w ZSRR, na Węgrzech lub w Polsce?

A przecież: im bardziej serio brało się marksizm jako filozofię, tym staranniej należało się przyglądać i podstawowym pojęciom doktryny, i jej wewnętrznej spójności, i jej praktycznym konsekwencjom (skoro głosiła, że jest filozofią ludzkiej praktyki). Przymykanie oczu na spekulatywność i logiczne luzy teorii podawanych jako racjonalne i naukowe, na ich mijanie się z doświadczeniem i na ich bezpośrednie okropne skutki można było uzasadnić politycznie albo psychologicznie, potrzebami walki albo strachem. Nie można tego było obronić na płaszczyźnie rozumowej.

Myślę, że rolę istotną odegrało w naszej polskiej walce o umysły rozumienie etyki jako odnoszącej się nie do świata teorii, ale do świata *rąk, oczu, mięsa i krwi*, jak to ujął Bolesław Miciński³³.

Dlatego też nie ma się co wstydzić owego *łatwego wypłucia* ani faktu, że motywy odrzucania marksizmu bardzo często nie miały nic wspólnego z teoretycznym rozumowaniem, a nawet ze znajomością tej doktryny. Bódcem do wypłucia była świadomość setek tysięcy pomordowanych i zamęczonych, setek tysięcy więzionych. W imieniu ideologii, opartej na marksizmie, dokonywano tylu zbrodni i okrucieństw, wypowiadano tyle kłamstw i tak brutalnie przymuszano do fałszu, że sama dotykalna rzeczywistość wystarczała, by tę ideologię odrzucić bez rozumowych zastanowień.

17. Ci, którzy się marksizmowi przeciwstawiali, dokonywali wyboru – odrzucając marksizm przyjmowali coś innego. Był to wybór o paru obliczach. Nie tylko intelektualny, ale także (w praktyce: nade wszystko) moralny, a również ludzki, środowiskowy. Przykład innych odgrywał w tych czasach niszczenia dawnych więzi społecznych ogromną rolę – większą niż dzisiaj – szczególnie dla młodzieży. Opis bitwy o umysły byłby groteskowo niepełny bez wspomnienia roli „Tygodnika Powszechnego”. Tym, czym na płaszczyźnie filozoficznej były nauki szkoły lwowsko-warszawskiej, tym na płaszczyźnie zbiorowego przykładu stało się dla wielu krakowskie środowisko „tygodnikowe”.

Nie było to jednak środowisko jedyne. Powojenne oblicze katolicyzmu polskiego i stosunku doń inteligencji bywają przedstawiane w sposób moim zdaniem upraszczający. Adam Michnik pisze w swoim świetnym skądinąd szkicu „Kłopot”, że *etos polskiej inteligencji był antykościelny i że szukając remediów na stalinowskie dogmaty patrzono na Kościół katolicki krytycznie i nieufnie*³³. To, co pamiętam, nie zgadza się z tak generalnymi twierdzeniami.

Jeżeli *etos polskiej inteligencji* to nie jakaś teoretyczna abstrakcja, ale rzeczywiście funkcjonujący zespół norm postępowania ludzi należących do określonej warstwy, to trzeba powiedzieć, że ogromna część, może i większość, polskiej inteligencji wcale antykościelna nie była. Co najwyżej nie zachowywała się jak posłuszni wykonawcy kościelnych poleceń. To samo dotyczy polskich intelektualistów: nie byli antykościelni Borowy ani Konopczyński, Kutrzeba ani Tatariewicz, Kleiner ani Parandowski; wyliczam nazwiska z różnych parafii. Nie chodzi mi tu jednak o polemikę na temat tworzenia pojęć porządkujących zachowania zbiorowe. Chodzi mi o dokładniejszy obraz faktów.

W latach 1949–50 zetknąłem się w Warszawie ze środowiskiem, które było i inteligenckie, i niepokorne a zarazem katolickie i w Kościele widzące swojego sprzymierzeńca. Zbieraliśmy się dość często w mieszkaniu Zosi Lewinówny przy Łowickiej. Bywali tam: Donia Abakanowicz, Marysia Dernałowicz, Julek Eska, Leszek Kuc, Felek Sawicki, Adam Stanowski i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam (byłem wśród nich najmłodszy). Toczyliśmy uczone i żwawe dyskusje na tematy filozoficzne i społeczne; marksizm, jeżeli się w nich pojawiał, to jako wyzwanie ideowe do zaangażowania się po stronie pokrzywdzonych, nie jako problem intelektualny. Prawie wszyscy z tych ludzi trafili wkrótce pod niedaleki adres więzienia na Rakowieckiej, gdzie już przebywał m.in., z podobnymi środowiskami inteligencji katolickiej związany, Władysław Bartoszewski...

³³ W tomie *Podróże do piekiel*, 1937; cyt. wg B. Miciński, *Pisma*, Kraków 1969, s. 69.

³⁴ A. Michnik, *Kłopot*, w tomie *Obecność: Leszkowi Kołakowskiemu w 60. rocznicę urodzin*, Londyn 1987, s. 200.

Nie wątpię, że takich kręgów było znacznie więcej. To była ważna część ówczesnej rzeczywistości, w której wybór był wcale nie taki prosty, jak w wierszu Miłosza o Borowskim: między *gładką ścianą Wschodu a murami polskimi Ciemnogradu*. Ci ludzie nie odtwarzali wzoru nacjonalistycznego Polaka-katolika i tylko demagog mógłby ich pomówić o „reakcyjność”. Mam wrażenie, że nawet życzliwi skłonni są dziś przypisywać ówczesnemu polskiemu katolicyzmowi oblicze i bardziej jednorodne, i bardziej ubogie, niż to było w rzeczywistości. Michnik na przykład myli się twierdząc, że *świat kulturalny „Tygodnika” [Powszechnego] był smutny i ubogi, poprawnie tradycyjny i poczciwie pobożny*. Był to, na owe czasy, świat bogaty i swobodny – mimo wszystkich pastwień się cenzury. Podobnie też kiedy przynosiłem o Stanisławowi Wawrynowi do „Przeglądu Powszechnego” swoje (pseudonimowe) rozważania na temat np. „Alchemii słowa” Parandowskiego albo „Europejskiej filozofii współczesnej” ks. Innocentego Bocheńskiego – nie czułem nigdy skrzepowania wymogami konfesyjnymi; i to pismo było enklawą wolności*.

Cytowany przez Michnika Aleksander Wat twierdzi, że przed ulegnięciem stalinowskiemu totalizmowi ocalał Polaków *masowy katolicyzm narodu, właśnie ów parafialny, obskurantcki, tak często obskurny katolicyzm polski, który przecież oczyścił się i pogłębił „w katakumbach” i znalazł rzeczywiście pasterza w osobie Prymasa Wyszyńskiego. Ten katolicyzm uczynił duszę polską nieprzenikliwą dla magii „ideologii” oraz dla knutą praxis, i nie zbuntowani literaci, nie rewizjoniści sprawili polski Październik, ale – obok wykruśzania się mocy i spoistości stalinizmu – wytrwały, ciągly, nieugięty opór psychiczny katolickiego narodu*. Myślę, że to efektowne – ale materii pomieszanie. *Masowy i obskurantcki katolicyzm polski* godził się znakomicie z kolaboracją; przykładem „księży patrioci” i liczne rzesze partyjnych dewotów; patronem takiego współistnienia może być Jan Dobraczyński. Opór mas polegał nie na samej wierze, ale na wierze połączonej z wiedzą – ze świadomością tego, jakie są naprawdę (a nie na szpaltach gazet i stronach książek) rezultaty działań systemu. I bez poznańskich robotników, bez opierających się kolektywizacji chłopów rewizjoniści pozostaliby Hamletami w bibliotekach.

18. Kiedy szukam słowa-klucza, słowa-zwornika, które by ujmowało wspólną istotę niezgody i oporu, znajduje jedno, proste – wierność.

Ale wierność to pojęcie formalne: nie mówi nic o tym, czemu czy komu jest się wiernym; wartość wierności zależy także od jej treści. Dla różnych ludzi rozmaite rzeczy były najcenniejsze, rozmaite stawiali na pierwszym planie wierności. Jedni byli wierni przede wszystkim religii, inni – prawdzie, inni – pamięci tych, którzy oddali życie za ideały teraz gwałcone, inni – kultowi Polski niepodległej. Jednych podtrzymywała w ich wierności wiara, innych duma i wstyd, które razem stoją u psychicznych podstaw poczucia honoru.

(Świadectwom zachowania godności przez intelektualistów polskich poświęcił ważną książkę „Z dziejów honoru w Polsce” Adam Michnik. Jest to przejmujący dokument myśli działacza, krytyka i więźnia, zasługujący na wnikliwą analizę, a także na poważną, z szacunkiem przeprowadzoną polemikę, bo Michnik zbyt rozszerza tytułowe pojęcie /z honorem sensu stricto mamy do czynienia wśród omawianych przez niego autorów tylko u Herberta i Szczepańskiego/ i nieco na siłę łączy ze sobą lubianych pisarzy, zamazując istotne różnice np. między Miłoszem a dwoma właśnie wymienionymi. Ale nie tu miejsce na taką dyskusję.)

Postawa wierności jest postawą z natury anty-praktyczną. Jest postawą właściwą etyce kodeksowej, której normy obowiązują niezależnie od zmiennych okoliczności i niezależnie od konsekwencji, jakie mogą spaść na działającego. Tamte czasy wielkiej próby, kiedy wybór moralny, wyrażony jednym słowem lub gestem, mógł zadecydować o całym losie człowieka – stawiały przed nami pytania zasadnicze, które łatwiej jest formułować w ich wersji starożytnej niż w języku współczesnym, prześiakanym psychologizmem. Kiedy się wiedziało o losach bohaterów Podziemia zatłukiwanych po więzieniach, o wileńskich i wołyńskich akowcach wywiezionych w głąb Rosji, kiedy się czytało

* Autor publikował w „PP” 1951–1952 jako Bogusław Grodzicki oraz M.K. (Marian Kowalski). Obszerne omówienie książki o. I. Bocheńskiego zostało w całości skonfiskowane przez cenzurę (red.).

oficjalne kalumnie rzucane na powstańców Warszawy, kiedy się było świadkiem zgarniania przez UB na cmentarzu ludzi składających kwiaty na grobie Baczyńskiego, kiedy się widziało dokoła tryumfy obłudy i cynizmu – miało się pokusę, by powtórzyć za Kochanowskim: *Fraszka cnota!* Nie opłaca się być przyzwoitym; nie ma sensu się poświęcać; te wartości, którym służyli, za które oddali życie nasi starsi koledzy, są tylko majakami.

Odrzucenie takiego cynizmu (który płynął nieraz z rozpaczny raczej niż z tchórzostwa) prowadziło do uznania, że pewne wartości moralne pozostają wartościami bez względu na to, jaki los spotyka tych, którzy potrafią je ocalić. Postawa ta kazała patrzeć na własne życie jako na przedmiot: nie jako na wartość najwyższą, ale jako na okazję do tworzenia wartości.

Fiat iustitia, ruat coelum – niech się stanie sprawiedliwość, chociaż runą niebiosy – jest skrajnym wyrazem etyki kodeksu. Postępuję w określony sposób nie dlatego, że spodziewam się jakichś korzyści czy choćby aprobaty, ale dlatego, że takie są wymogi moich zasad. Jest to więc postawa sprzeczna nie tylko z utylitaryzmem, ale w ogóle z tendencjami pragmatycznymi przeważającymi w moralności Zachodu od lat dwustu. Jest również nieczuła na argumenty praktyczne w rodzaju tych, które wytaczają w świetnym opowiadaniu Jana Józefa Szczepańskiego „Koniec legendy” trzeźwi i rozsądni intelektualiści, schowani pod nazwiskami Sicińskiego i Wielgosza, tłumaczący w styczniu 1945 r., że trzeba być realistą, podporządkować się konieczności, Zachód zostawił nas samych itd. Jest to, słyszeliśmy tysiące razy, etyka szaleńców, którzy narażają siebie i innych dla obrony abstrakcyjnych ideałów. Nie odwołuje się do nadziei ani przeżycia, ani nagrody. Ale w obliczu przemocy jest to jedyna postawa pozwalająca ocalić własną godność i honor. I tylko to jest jej nagrodą.

Pełnym poetyckim wyrazem tej postawy jest Herbertowskie „Przesłanie Pana Cogito”:

*bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy
/.../*

*idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda*

obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów

Bądź wierny Idź

Postawa ta pociągała za sobą twarde konsekwencje. Upierając się przy wierności mimo wszystko człowiek stawał się wówczas poza współczesnością, poza dziejącą się właśnie historią. Było to wyłącznie bolesne i nienaturalne. Wspominałem już o tym, że poczucie, iż zamknęła się bezpowrotnie jedna epoka dziejów i otworzyła inna – było po 1945 r. powszechne, przeżywane po sześciu latach wojny nie tylko psychicznie, ale biologicznie. Kto się do tego nowego etapu nie włączał, sam siebie usuwał na jakiś pozahistoryczny margines; a włączenie się bez współuczestnictwa było bardzo trudne, zwłaszcza dla młodych. Na co niby mieli czekać?

Ówczesne tak częste w literaturze i humanistyce ucieczki w przeszłość – do powieści i eseju historycznego, do dłubania się w starożytnościach, do antycznych motywów w poezji – były nie tylko manewrami pozwalającymi omijać pułapki aktualności i czujność cenzury. Były także zabiegami pozwalającymi się przenieść do innej rzeczywistości, umieścić się poza współczesnym konkretem. Historia PRAW-DZIWA działa się kiedyś dawniej; fałszywa dzisiejszość zasługiwała na odrzucenie. Kiedy sobie człowiek uświadomił sztuczność takiego stanowiska, robiło mu się głupio. Wyłączanie się ze współczesności odczuwaliśmy jako coś wstydlwego; „emigracja wewnętrzna” nie dawała bynajmniej poczucia komfortu psychicznego.

19. Bitwa o umysł nie zakończyła się ani ze śmiercią Stalina, ani po XX zjeździe KPZR, ani po październiku 1956 r.; trwała jeszcze przez lata sześćdziesiąte, choć prowadzona z malejącym ferworem ideowym i słabnącymi siłami. Kończy się ostatecznie na naszych oczach. Jak się kończy, każdy widzi.

Pokonany marksizm pozostawił po sobie szkielety struktur organizacyjnych narzuconych nauce polskiej i krępujących jej rozwój; pozostawił wiele fatalnych programów nauczania i podręczników³⁵. Zostały też po nim mętne osady w przyzwyczajeniach umysłowych dzisiejszych Pola-

³⁵ Patrz np. J. Prokop, *Stalinowskie dziedzictwo uniwersyteckiej edukacji*, „Tygodnik Powszechny”, 28 VII 1988.

Rzut oka na Wschód

Janusz Gazda

Ideologia przeciw moralności: w kręgu Pawlika Morozowa (dokończenie)

Wiele było postaci podobnych do Pawlika Morozowa. Czternastoletni pionier z Baku Witalij Abratjan postąpił tak, jak Paweł Morozow. Zorientował się, że ojciec jest wrogiem ludu i powiadomił o tym organa NKWD – pisała w sierpniu 1937 r. gazeta „Tawdinskij rabocij”¹⁸. Wachlarz zachowań był różny i niekoniecznie trzeba było się zdobyć aż na złożenie donosu do władz bezpieczeństwa, aby naruszyć tradycyjny układ lojalności syna wobec ojca.

Pisze Warłam Szalamow w opowiadaniu „Krzyż”, którego bohaterem jest ociemniały duchowny: *Starszy syn jeszcze w latach dwudziestych wyrzekł się ojca. Panowała wówczas taka moda na wyrzekanie się rodziców – niemało znanych później pisarzy i poetów rozpoczęło działalność literacką od składania podobnych oświadczeń. Starszy syn nie był ani poetą, ani skończonym tajdakiem, po prostu bał się życia i dlatego, gdy zaczęto mu dokuczać w pracy rozmowami o „pochodzeniu socjalnym”, złożył oświadczenie w prasie. Oświadczenie nie przyniosło mu żadnej korzyści; pozostał aż do śmierci z tym Kainowym piętnem na sumieniu*¹⁹.

Przed tą modą nie potrafił się uchronić w młodości także wybitny poeta Aleksander Twardowski, zmarły prawie 20 lat temu redaktor miesięcznika „Nowyj Mir”, do dziś wspominany z szacunkiem nawet przez moralnych purystów. W tym samym mniej więcej czasie, gdy we wsi Gierasimowka na Uralu Pawlik Morozow uznawał własnego ojca za „wroga ludu”, w Zagorju pod Smoleńskiem „rozkułaczano” wiejskiego kowala, Trifona Twardowskiego, ojca poety. Samego poety, wówczas początkującego, nie było przy tym. Miał 20 lat, był zapalonym orędownikiem „nowych idei” i

od pewnego czasu pracował jako dziennikarz w gazecie partyjnej w Smoleńsku.

Musiał uciekać przed synem

Rodzina Twardowskich została przymusowo wysiedlona na Ural, nad rzekę Lale, właściwie w strony Pawlika Morozowa, gdyż do tego samego obwodu swierdłowskiego (dawniej: gubernia jekaterynburska – miejsce zamordowania przez bolszewików rodziny carskiej). Twardowscy napisali stamtąd list do syna, Aleksandra. Otrzymali odpowiedź: *Droży rodzice, bracia, siostry! Ani barbarzyńco, ani bestia nie jestem. Proszę was, bądźcie silni, wytrzymajcie, pracujcie. Likwidacja kułactwa nie oznacza likwidacji ludzi, a tym bardziej dzieci... I dalej: Więcej do was pisać nie będę... i wy nie piszcie do mnie także...* Iwan Twardowski, młodszy brat poety, tak to skomentował w swych wspomnieniach: *Słowa listu gorzko dźwięczały w naszej świadomości. Wzywały do przyznania się: tak, jesteśmy rodziną kułacką, więc siedźmy cicho. A nam, najmłodszym, jeśli wierzyć w słowa jego listu, nic przecież nie grozi. Cóż poważniejszego może jeszcze grozić, gdy ludzie umierają z wycieńczenia i od tyfusu*²⁰.

Ojciec poety postanowił uciec z zesłania, spróbować znaleźć pracę gdzieś w europejskiej części ZSRR, a następnie wrócić nad Lale i zorganizować ucieczkę całej rodziny. Uciekając zabrał ze sobą najmłodszego syna, który nosił zresztą takie samo imię, jak główny bohater naszej opowieści – Pawlik. Ucieczka udała się i po miesiącu obaj znaleźli się w Smoleńsku.

Ogarnęła mnie chęć zobaczenia się z Szurką. Nie jest to już, oczywiście, Szurka, gdzież tam! Pomyślałem jednak, toć to przecież mój syn, nie przyjdzie mi go chyba nazywać Aleksandrem Trifonowiczem. Stoimy przed Domem Sowietów, wiem przecież, że tu go znajdę. /.../ A w sercu niepokój:

¹⁸ Cyt. za: Jurij Zierczanow. *Kto prichodit nocju w chudom owczinnom tulupie...*, „Junost’”, nr 5, 1989. Wszystkie informacje dotyczące Pawlika Morozowa, jego rodziny i wsi Gierasimowka zaczerpnięte z tego artykułu oraz z: Lew Sonin, *Tragedija w uralskoj dieriewnie*, „Ural”, nr 2, 1989. Dalsze cytaty z gazety „Tawdinskij rabocizj” – z artykułu L. Sonina.

¹⁹ Tłum. Alia Sarachanowa.

²⁰ Iwan Twardowski, *Stranicy pieriežitogo*, „Junost’”, nr 3, 1988. Wszystkie dalsze odwołania do losu Twardowskich pochodzą z tegoż wspomnienia.

przecież pamiętam, jaki list otrzymaliśmy tam, nad Lalą. Przychodzi też do głowy inna myśl: toż to rodzony syn! Może zaopiekuje się Pawłuszą. Bo czymże mu zawinił ten chłopak, rodzony jego brat? Naraz wychodzi, on, Aleksander. Boże drogi, jak to się mogło stać, że spotkanie z własnym synem wzbudza tyle obaw! Patrzyłem na niego ze wzruszeniem: wysoki, dobrze zbudowany, piękny mężczyzna! Przecież to mój syn! Stoi i patrzy na nas w milczeniu. A potem, zamiast „Dzień dobry, ojcze”, pyta – „Skąd się tu wzięliście?”

– Szura! Synu! – mówię. – Toć tam dla nas śmierć! Głód, zaraza, robią z nami, co chcą!

– A więc, uciekliście? – zapytuje ostro, jakby nie swoim głosem i przyciska mnie do ziemi wzrokiem, wcale do niego nie podobnym. Milczę – bo cóż tu można powiedzieć? I niechby już tak było, ale przecież patrzy na to Pawłusza. Chłopaczyna żył tylko nadzieją na dobre słowo, na serdeczność, którą starszy brat powita młodszego, a tymczasem stało się tak, jak się stało!

– Mogę wam jedynie pomóc, by odstawiono was bezpłatnie tam, gdzieście byli! – dokładnie tak powiedział.

W tym momencie zrozumiałem, że żadne prośby, żadne błagania niczego już nie zmienią. Poprosiłem go tylko, by poczekał, bo chcę pojechać do Stołpowa, do kolegi, który jest mi winien pieniądze, a jak tylko tu wrócę, mówię mu, rób ze mną, co chcesz. Drgnęło mu serce.

– No, dobrze – mówi – jedź.

Teraz ojciec musiał uciekać przed własnym synem, a brat przed bratem. Stary Twardowski świadomie skłamał synowi, że wróci i podda się jego woli, ale nie miał wcale takiego zamiaru. Po wielu dramatycznych i niebezpiecznych przejściach udało mu się „urządzić”, dotrzeć następnie z powrotem na miejsce zesłania i ponownie uciec, tym razem z żoną i pozostałymi dziećmi. W tej rodzinie, poza Aleksandrem, wszyscy byli wobec siebie lojalni i pełni poświęcenia. Dla każdego z nich rodzina była ostoją i to im pomagało w przetrwaniu. Nawet cioteczny brat, z którym Trifon Twardowski nie widział się 10 lat, w trudnej, niemal beznadziejnej sytuacji nie tylko przygarnął go bez wahania, odział, obuł, ale także, wiele ryzykując, oddał mu własny dowód osobisty, dzięki czemu „rozkułaczony specprzesiedleńiec” mógł otrzymać stałą pracę pod innym nazwiskiem. Niegdyś etos

rodzinny był w Rosji bardzo silny. Przeciwno niemu rodził się właśnie mit Pawlika Morozowa.

Wyrywali tę ziemię tajdze

Zanim jednak ten mit powstał i zawładnął wyobraźnią wielu pokoleń, istniała konkretna rzeczywistość, konkretne miejsce i konkretni ludzie. Zaistniał taki, a nie inny spłot okoliczności, które w tym miejscu, wśród tych ludzi wyzwoliły złą energię i takie zachowania, które później mogły być z łatwością poddane mitologizacji. Wiele było postaci podobnych do Pawlika Morozowa. Ale to on stał się bohaterem mitu.

Rodzina Morozowów przybyła na Środkowy Ural, do Gierasimowki, z biednej, białoruskiej wsi spod Witebska. Przybyła w 1910 r., 8 lat przed urodzeniem Pawlika. Dwóch synów i trzy córki przywiódł tu 60-letni Siergiej Morozow, głowa rodziny, późniejszy dziadek Pawlika, człowiek z pewnością pracowity i odważny, skoro w tak późnym wieku zdecydował się na długą podróż i rozpoczynanie życia od nowa. Biograf Pawlika nie wspomni jednak ani słowem o pracowitości dziadka, będzie bowiem pisał swą książkę wówczas, gdy 81-letni Siergiej Morozow, a także jego o rok młodsza żona Ksenia i 70-letni zięć Arseniusz Kułukanow (wszyscy uznani za „kułaków“) zostaną oskarżeni o udział w zabójstwie Pawlika i skazani na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Pragnąc w oczach czytelników zdyskredytować parę starszusków biograf napisze, że Siergiej Morozow był w młodości żandarmem i że pewnego razu przyszło mu, wśród innych przestępców, konwojować także piękną koniokrądkę, że zdarzyła się wówczas historia do złudzenia przypominająca hiszpańską opowieść o Carmen, mająca jednak odmienne zakończenie – zakochany żandarm ożenił się z uwolnioną dzięki niemu 18-letnią *zalołnicą Ksenią-złodziejką*. W intencji autora ten motyw życiorysu nie był wcale romantyczny, lecz miał ilustrować modną w ówczesnej państwowotwórczej psychologii zasadę: *Czym skorupka nasłonięta za młodu...* Żandarm bowiem, szczególnie carski, był w ówczesnie lansowanych opiniach nie tylko osobnikiem *obcym klasowo*, ale także przedstawicielem *wrogiego*

klasowo aparatu ucisku, zaś koniokradska, do tego zalotnica – anarchicznym elementem nie dającym się politycznie zorganizować.

Kiedy Morozowie znaleźli się w Gierasimowce, wieś dopiero powstawała, pierwsi osadnicy z Białorusi zjawili się tu zaledwie kilka lat wcześniej. Podobnie jak rodzina Morozów dostali ziemię. Czy jednak to, co wówczas dostali, można było nazwać ziemią? Otrzymali kawał tajgi, czyli syberyjskiego lasu. I trzeba było najpierw tę tajgę, czyli syberyjski las, wyrąbać. Potem trzeba było wykarczować. Potem zaorać. To się tylko tak mówi. Wyrąbać, wykarczować, zaorać... I jeszcze postawić domy...

*Aby móc wykarmić rodzinę, mężczyźni szli za parobków do starszych mieszkańców tych okolic, do bogatej, sąsiedniej wsi Gorodiszczce. Zimą udawali się do Tawdy na wyrąb lasu i zwózkę drewna do tartaku kupca Loginowa. A jesienią szli całą wsią do dzierżawcy jeziora Satokowo odławiać rybę...*²¹ Ale przede wszystkim wyrywali własną ziemię tajdze. Tym większą ta ziemia miała dla nich wartość, im więcej jej oddali własnego potu. A im więcej oddali jej potu, tym większym nieszczęściem musiało im się wydawać później widmo kolektywizacji.

Start każdej rodziny był jednakowy. Wszyscy dostali to samo, tyle samo i w takich samych warunkach. A po upływie mniej więcej ćwierć wieku jednych z nich, przeważnie leniów, zaczęto nazywać BIEDNIAKAMI, innych, statecznych, gospodarnych i zamożnych chłopów, określano mianem KUŁAKÓW. Słowo „kułak” w oficjalnym języku administracyjno-policyjno-ideologicznym oznaczało tyle, co „krwio-pijca”, „wyzyskiwacz”, „drań”. „Mirojed” – jak dosadnie określano po rosyjsku.

Zaczęto więc jednych popychać przeciwko drugim wykorzystując słabości natury ludzkiej, takie jak zawiść, i słabości ludzkiego umysłu, takie jak gotowość do przyjęcia tezy, według której ten, kto ma więcej, ma niesłusznie i należy mu to odebrać. Rewolucja, jeśli rozumieć ją nie tylko jako jednorazowy akt przejęcia władzy, ale jako proces ciągły, służący utrzymaniu tej władzy, nie ODBYŁA się w 1917 r., ale wówczas się tylko ZACZĘŁA, a trwać musi w nieskończoność (jej koniec jest tożsamy z końcem wyniesionej przez nią władzy) i polega na robieniu nieustannych eksperymentów z

człowiekiem, nieustannym wywłaszczaniu go i przekształcaniu stosunków społecznych z zamiarem zlikwidowania własności prywatnej, największej ostoji niezależności człowieka i całych grup ludzkich wobec państwa.

Specprzesiedleńcy

Najpierw w Gierasimowce wysiedlono kilku najzamożniejszych gospodarzy. Normalnie wysiedla się na Syberię. Ale dokąd można wysiedlić kogoś z Syberii? Jak śpiewał Włodzimierz Wysocki, wysiedlono ich *iz Sibiri w Sibir*. Wysiedlono ich na Daleki Wschód z ziemi, którą jeszcze niedawno, przed rozpoczęciem się bolszewickiej rewolucji, własnymi rękami wrywali tajdze. Znalazło się nawet kilku „biedniaków“, których wiosną 1930 r. władze rejonowe potrafiły skłonić do założenia komuny, ale już jesienią nieudani komunardzi, roztrwoniwszy przekazane im gospodarstwo jednego z rozkułaczonych sąsiadów, rozbiegli się do własnych domów.

Trofim Morozow, ojciec Pawlika, był z pewnością obecny przy wysiedlaniu wielu miejscowych „kułaków“. Ten weteran wojny domowej (walczył podobno z oddziałami Kołczaka) aż trzykrotnie sprawował funkcję przewodniczącego rady wiejskiej w Gierasimowce. Ostatnim razem objął ją pod koniec grudnia 1930 r., a zrezygnował na przełomie lata i jesieni roku następnego.

Nie mamy opisu wysiedleń w Gierasimowce. Czyż jednak nie wyglądały one wszędzie podobnie? Tak je opisał Iwan Twardowski: *19 marca 1931 roku. Przed południem zjawił się u nas sam przewodniczący rady wiejskiej. Razem z nim przyszli, jak później zrozumiałem, świadkowie: nasz dobry znajomy, sąsiad Aleksiej Iwanowicz i drugi, też sąsiad, Kuźma Iwanowicz Sawczenkow. /.../ Przewodniczący bacznie oglądał nasze zaniedbane domostwo, wzruszał ramionami i coś sobie myślał, być może: „Co innego spodziewałem się zobaczyć w waszym domu“. Na przypiecku, nędźnie ubrane, siedziały dzieciaki. Nasłuchawszy się różnych rzeczy, patrzyły na przewodniczącego z przestrawieniem i niepewnością, owym*

²¹ P. D. Sołomiejn, *W kułackim gnieździe*, Moskwa – Swierdłowski, 1933. Za: L. Somin, dz. cyt.

dziecięcym wzrokiem, w którym kryło się przekonanie, że po nieznajomych nie należy się spodziewać niczego dobrego. Obok dzieci stała nasza mama, wymizierowana, zalekniona, z opuchniętymi od łez oczyma, spodziewając się, że znów usłyszy coś złego (głowy rodziny, Trifona Twardowskiego, nie było wówczas w Zagoriu, pracował w Donbasie – przyp. J.G.).

Świadkowie przysiedli na ławie przy drzwiach, a przewodniczący wyszedł za przepierzenie rozdzielające chatę na dwie części. Były tu krzesła zwane wiedeńskimi, ale powiązane już przez ojca sznurkiem, z siedzeniami wytartymi do dziur. Przeniósł wzrok na stary stół, później na stojącą przy ścianie, pod oknem, zniszczoną, twardą kanapkę – miejsce, gdzie my, dzieci, spędzaliśmy zimowe dni i wieczory. Na ślepej ścianie widać było zastłonięte do połowy, jedyne w naszej rodzinie, stare łóżko ojcowskie, na którym pod wyblakłym nakryciem można się było domyślać zapadłych wnętrzości materaca. Niewielkie lustro w ramce ozdobionej naklejonymi rombikami wisiało na ścianie – zmętniałe, z rozlazłymi plamami przeżartej srebrzanki. Następnie przewodniczący wyszedł do sieni, zajrzał do komory: była pusta; zasiadł obok świadków i ze splecionymi rękami, opartymi na kolanach, z pochyloną głową wydawał się o czymś myśleć, być może prywatnie nam współczuł, ale zmienić niczego już nie mógł.

Z Gierasimowki nie tylko wysiedlano. W odległości 6 km od wsi wybudowano barak i przywożono doń specprzesiedleńców wysiedlonych z Kaukazu. Stykał się z nimi Trofim Morozow, poznawał ich los i warunki życia w miejscu zsyłki. Były prawdopodobnie zbliżone do warunków, jakie miała rodzina Twardowskich, chociaż ich miejsce zsyłki znajdowało się 300 km od Gierasimowki: Stały tu dwa stare baraki. Znów pryzce, ścisk, brud i wrzask. /.../ Wychodziliśmy codziennie do pracy przy spławianiu drewna. /.../ Wszystko robiono ręcznie. /.../ Zaczynał nas męczyć głód. Jedzenie było do niczego: brakowało chleba, do zrobienia czegoś gorącego wydzielano straszliwie mało kaszy, czasem, rzadko – trochę ryb. Otrzymywanego przydziału żywnościowego nie udawało się w żaden sposób rozdzielić na wszystkie dni i stało się zasadą, że przez dzień, dwa lub trzy nie było już w ogóle co jeść. Do tego jeszcze miejscowi dziesiętnicy odnośli się do nas ze złością i szyderstwem, ciągle się słyszało: „Szybciej!“ „Szybciej!“ „Całe życie ludzie na was pracowali – popracujcie

teraz wy na ludzi!" I tak stale i stale, aż trudno było się uwolnić od myśli, że stopniowo przybliża się nasz koniec. /.../ Przeważająca większość tak zwanych specprzesiedleńców rekrutowała się spośród ciężko pracujących chłopów i w żaden sposób nie była podobna do malowanych na plakatach drapieżnych wyzyskiwaczy. Ich z pokolenia na pokolenie stwardniałe od pracy ręce, ich pokorna uległość wobec losu świadczyły o czymś zupełnie innym: o nieustannej walce o każdy kawałek chleba. /.../

Stosunek do specprzesiedleńców pogarszał się jeszcze bardziej, ponieważ rozbrzmiewające wszędzie hasło „Likwidować kulaństwo jako klasę!” przez większość aparatu kierowniczego niższego szczebla było rozumiane w ten sposób, że wszystko jest dozwolone wobec specprzesiedleńców, którzy całymi masami głodowali, chorowali na tyfus, umierali.

Ojciec i syn

Miał czemu się przyglądać i o czym myśleć Trofim Morozow. Wysiedlanie porządných sąsiadów, ponieważ przybyłych w pobliże Gierasimowski wysiedleńców z Kaukazu... A jednocześnie ciągle przyjazdy różnych oddziałów specjalnych, grup i komisji „z rejonu” i wymuszanie od chłopów obowiązkowych dostaw, konfiskata była, odbieranie „nadwyżek zbożowych”, co w praktyce oznaczało zabieranie chłopu wszystkiego, co posiadał. Komu nie udało się zboża ukryć, ten skazywał siebie i swoją rodzinę na śmierć głodową.

W kilka tygodni po objęciu przez Trofima Morozowa funkcji przewodniczącego rady wiejskiej w gazecie rejonowej „Tawdiński raboczij” pisano: *Gierasimowska rada wiejska do tej pory nie wypełniła żadnego zadania państwowego. Były przewodniczący Filipow (poprzednik Morozowa – przyp. J.G.) codziennie pił razem z kulaćkami, których popierał. /.../ Zorganizowana obecnie grupa WKP(b), nowy skład Rady wiejskiej, razem z towarzyszymi przystanymi przez komitet rejonowy prowadzą pracę polityczną, organizując biedotę i parobków, co pozwoliło ujawnić elitę kulaćką. Zagorzałe w swej skrajności kulaństwo w liczbie 18 osób zostało zatrzymane i odizolowane. Sąd skazał ich na wysiedlenie z*

obwodu uralskiego, konfiskatę całego mienia i na 3 do 6 lat robót przymusowych w miejscu zsyłki.

Nie mamy szczegółowych relacji, jak się w czasie wysiedleń zachowywał Trofim Morozow. Wiemy tylko, że dość szybko (mniej więcej po pół roku) z funkcji zrezygnował. Wiemy także, iż w tym właśnie czasie zaczął dużo pić i zaniedbał swoje „biedniackie” gospodarstwo.

A po jego odejściu, wydawana w Tawdzie gazeta znów pisała o Gierasimowce w znanym tonie. Choć już poprzednio ogłoszono, że *gniazdo zniszczone*, teraz tytuł brzmiał: „Zniszczyć gniazdo kułackie”. A w tekście: *W gierasimowskiej radzie kułacy uwili sobie bezpieczne gniazdo i dążą do zerwania planu dostaw zboża. Kułacy nie oddali państwu ani jednego kilograma zboża, lecz chowają go na strychach, w łaźniach i stajniach. Rady wiejskie i oddziały komsomolskie patrzą na ich wszystkie poczynania ugodowo i nie podejmują żadnych środków. W kułackie sprawy i pracę rady wiejskiej powinien wkroczyć prokurator.*

Pawlik Morozow, syn Trofima, nie był nastrojony ugodowo. Ten 12-letni chłopak chodził po wsi razem z milicją w poszukiwaniu ukrytego zboża. Szpiegował sąsiadów, głównie swoich wujów, i donosił później do władz. Kiedy Arseniusz Kułukanow, mąż siostry jego ojca, wcześniej „rozkułaczony” i pozbawiony mienia, skosi w nocy zboże ze swego pola, wymłóci po kryjomu i aby móc wyżywić rodzinę schowa w gospodarstwie teścia, Siergieja Morozowa (Pawlikowego dziadka) – Pawlik zawiadomi o tym kogo trzeba.

W Pałacu Pionierów im. Pawlika Morozowa w Swierdłowsku przechowywana jest taśma magnetofonowa z opowieścią jednej z nauczycielek:

Kiedyś powiedziałam Pawlikowi:

– *Pawłusza, nie wiesz przypadkiem, gdzie Silin schował zboże?* (Silin to drugi wuj Pawlika – przyp. J.G.)

A on mi mówi:

– *Nie, nie wiem...*

– *Komisja wychodzi już z siebie, a zboża znaleźć nie może...*

Na to Pawlik:

– *Spróbuję się wywiedzieć...*

Poprosił, by nauczycielka po lekcjach zatrzymała syna Silina, Kuźmę. Wracając potem z Kuźmą sam na sam potrafił tak go omotać podchwytliwymi pytaniami, iż ten nie-

opatrznie wygadał się, że zboże jest w stajni, pod nawozem, na którym stoją konie. Następnego dnia, kiedy chłopcy byli na lekcjach, z gospodarstwa Silina wywieziono dwa wozy zboża i półtora wozu skór.

Gdyby nawet relacja nauczycielki była ubarwiona fantazją dla celów mitotwórczych, to i tak jest ona wymowna, wskazując, że chodzi tu o wykreowanie romantyki zajęć „małego policjanta“, czy też „małego agenta bezpieczeństwa“, który potrafi nie tylko szpiegować, ale także prowadzić przesłuchania.

Czy motywacja ideologiczna?

Aby móc odegrać taką rolę, trzeba mieć odpowiednie cechy charakteru. Faktem jest, wbrew popularyzowanym opowieściom o *oddziale pionierów walczących z kulactwem w Gierasimowce*, że w całej wsi, wśród licznej młodzieży miejscowej, znalazł się taki tylko jeden. We wszystkich opracowaniach przypisuje mu się motywację ideologiczną. A w tle kreśli się sylwetki energicznych komsomołek, młodych nauczycielek wiejskich, które kształtowały jego *moralno-ideowe oblicze*.

Nauczycielki wiejskie, opiewane w wierszach, powieściach i filmach, to osobny, mało jeszcze opisany rozdział historii ZSRR. Opiewane jako te, które niosą kaganek oświaty, w gruncie rzeczy były propagatorkami nowej ideologii. Ładniejsze, lepiej ubrane i bardziej swobodne niż miejscowe kobiety w ich wieku, potrafiły zawładnąć wyobraźnią i uczuciami swych wychowanków kreśląc im przed oczyma wizję lepszego, piękniejszego jutra, którego same, ze swoją urodą i swym uśmiechem, zdawały się wysłanniczkami.

Kreśliły więc wizję świata, w którym nie ma bogatych i biednych, gdzie wszyscy mają co jeść, a wszystko jest wspólne, gdzie świeci światło elektrycznych lamp, w polu pracują maszyny, a stare matki mają uśmiech młodych nauczycielek. Trawestując słowa Tadeusza Borowskiego można by powiedzieć, że nigdy nadzieja na lepsze jutro nie wyrzuciła tyle zła co tu, w tym kraju, w tej rewolucji.

Młode nauczycielki z zapałem przekonywały, że dla urzeczywistnienia świetlanej przyszłości wszystkie środki są dozwolone. Wszak to ich przywódca, szef Komsomołu,

Aleksander Kosariew mówił latem 1931 r., mniej więcej wtedy, gdy Pawlik donosił na własnego ojca: *Nie możemy kierować się moralnością ogólnoludzką. Moralność ma charakter klasowy*. Kilka lat później, w myśl zasady, którą sam głosił, Kosariew zostanie aresztowany, a następnie rozstrzelany. Dziś możemy o nim przeczytać w prasie radzieckiej jako o *ofierze stalinizmu*.

Moralność nie jest ogólnoludzka, lecz ma charakter klasowy, sąd nie jest sądem, lecz karzącym ramieniem rewolucji, zaś ciężko pracujący chłop nie jest chłopem, lecz złowrogim kulakiem. Własny ojciec bardziej niż ojcem może więc być podkulacznikiem, czyli poplecznikiem wroga. Ojciec Pawlika zrezygnował z funkcji w radzie wiejskiej – nie chciał dalej budować lepszego jutra. Ojcu nie podobało się (być może jest to jedynie cząstka sfabrykowanego mitu), że jego syn został pionierem. I wreszcie, ojciec zaczął wchodzić w komitety ze *specprzesiedleńcami* z Kaukazu, co więcej – na blankietach zachowanych z okresu pracy w wiejskim sowiecie zaczął wypisywać im zaświadczenia (podobno za pieniądze), że nie są kulakami, dzięki czemu, np. po ucieczce, mogli w innym miejscu znaleźć pracę, jak stary Trifon Twardowski znalazł ją dzięki dowodowi osobistemu ciotecznego brata.

Ten motyw podejmie w odpowiednio oficjalnym tonie Stiepan Szczypaczow w „poemacie” „Pawlik Morozow” napisanym tuż po wojnie:

*Całkiem możliwe, że kulacy,
Z zaświadczeniami wiejskiej rady,
Zjeżdżwszy Rosję, gdzieś tam w pracy,
Maszyny psują drańskie gały.
Według zaświadczeń – to biedniacy.*

Wspomina cytowana już nauczycielka:

Pawlik przychodzi do szkoły i mówi:

- *Oj, niedobrze!*
- *Co znów niedobrze?*
- *A no, ojciec sprzedaje kulakom dokumenty!*
- *Co za dokumenty?*
- *Zaświadczenia... Bo mój ojciec, nauczycielko, jest wrogiem ludu.*

Nauczycielka przekonuje więc Pawlika, że należy powiedzieć o tym pełnomocnikowi rejonowego wydziału oświaty

ludowej, który właśnie przyjechał do rady wiejskiej. Pełnomocnik zawiadamia dalej kogo należy i Trofim Morozow zostaje aresztowany, a jego syn na sali sądowej oświadcza (cytat z akt procesowych): *Mój ojciec urządzał jawną kontrrewolucję. Jako pionier mam obowiązek to powiedzieć. Mój ojciec nie broni interesów Października, lecz na różne sposoby pomaga kulakowi w ucieczce, stoi za nim murem. I ja, nie jako syn, lecz jako pionier, proszę o pociągnięcie mego ojca do surowej odpowiedzialności, aby na przyszłość odstraszyć innych od ukrywania kulaków i jawnego naruszania linii partii. I jeszcze muszę dodać, że mój ojciec przywłaszcza sobie obecnie kulackie mienie. Wziął łóżko od kulaka Kułukanowa Arseniusza (tak mówi o własnym wuju – przyp. J.G.) i chciał jeszcze zabrać mu stóg siana, ale kulak Kułukanow siana mu nie dał i powiedział, że już lepiej jak pójdzie na skarb państwa.*

We wszystkich opracowaniach przypisuje się Pawlikowi motywacje ideologiczne. Były jednak i inne motywy, związane z życiem rodzinnym Trofima Morozowa i jego żony Tatiany. W ponad pół wieku od tamtych wydarzeń dziennikarz miesięcznika „Junost” odnalazł w Gierasimowce 77-letnią cioteczną siostrę matki Pawlika, Agafię Fokinę. Mówiła ona: *Ubogo żyli Trofim z Tatianą. Przychodziłam do nich, żeby zemleć zboże; mieli kamienne żarna. Tatiana urodziła aż czterech synów, a jakie to było życie? Trzeba było samej i prząć, i tkać, a Tatiana nie umiała. Trofim był cichy i spokojny. Nie można powiedzieć, żeby był zły jako mężczyzna. Czy Trofim pił? Kiedy zrobiono go znowu przewodniczącym, zmuszano go, aby zabierał ludziom ostatnią krowę, ostatnie zboże. Zajdzie do chałupy, dadzą mu zaraz wódki, więc krowy nie weźmie. A na drugi dzień znów musi przyjść...*

Matka Pawlika nie była kobietą zbyt zaradną. A w 1931 r. była już mocno zmęczona życiem. Tymczasem Trofim poznał dużo od siebie młodszą Ninę Amosową i wkrótce zamieszkał z nią porzucając żonę i 4 synów, z których najstarszy miał lat 12, a najmłodszy 5. Być może Pawlik nie wystąpiłby przeciw własnemu ojcu, gdyby ten nie był opuścił rodziny. Tak w każdym razie twierdzi stara ciotka Pawlika, Agafia Fokina. Być może względy ideologiczne były jedynie okolicznościami sprzyjającymi, a głównym motywem była złość na ojca porzucającego żonę i dzieci. Być może więc dla stworzenia mitu, rozbijającego etos rodziny, wykorzystano

rozpaczliwy gest chłopca, protestującego przeciwko rozbiciu rodziny.

Ale w konkretnych warunkach 14. roku rewolucji „gest” ten sprawił, że Trofim Morozow został skazany na 10 lat pozbawienia wolności. Nigdy z obozu nie powrócił.

Ostatni akt

Mniej więcej 10 miesięcy po wydaniu ojca, 3 września 1932 r. Pawlik Morozow i jego młodszy, 8-letni brat udali się do lasu, by zbierać żurawiny. Nie jest wykluczone, że te ostatnie 10 miesięcy to był właśnie okres aktywności Pawlika we współpracy z milicją i śledzeniu sąsiadów (głównie wujów, którzy z aplauzem przyjęli nowy związek „małżeński” ojca Pawlika i nawet, według niektórych relacji, wyprawili mu „wesele”). Nie jest wykluczone, że przedtem taką działalnością się nie zajmował, zaś jej opisy są jedynie wytworem wyobraźni autorów kreujących mit. Być może wydanie ojca było dla Pawlika przysłowiowym „rzemyczkiem”, od którego się dopiero wszystko zaczęło, a potem potoczyło się jakby samo, gdyż Pawlikiem od tego momentu zainteresowały się w odpowiedni sposób odpowiednie osoby z odpowiednich służb.

Z wyprawy po żurawiny obaj bracia już nie wrócili. Po 3 dniach znaleziono ich ciała ze śladami ciosów zadanych jakimś ostrym narzędziem. Sprawie od początku nadano sens polityczny (*akt zemsty wroga klasowego*), a na teczce z aktami jeszcze w czasie śledztwa umieszczono napis *Terror!*, co miało swoją wagę dla przyszłych sędziów, działających w okresie *zaostrej się walki klasowej*. Natychmiast aresztowano 9 osób, na które przedtem Pawlik donosił. W gazecie „Tawdinskij raboczij” ukazała się informacja: *Kułacka banda zabiła pioniera Morozowa*. Część podejrzanych wkrótce zwolniono i na ławie oskarżonych znaleźli się członkowie najbliższej rodziny Pawlika ze strony ojca. Jednego z wujów (Silina) uniewinniono, pozostałe osoby skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie: 19-letniego brata stryjecznego Daniłę – za dokonanie zabójstwa, 70-letniego wuja Kułukanowa – za podżeganie do zabójstwa, 81-letniego dziadka Siergieja Morozowa – za współudział, 80-letnią babkę Ksenię – także za współudział (rzekomo dowiedziała się na drugi dzień o zabójstwie i nie doniosła).

W Gierasimowce opowiadano, że babka zmarła w więzieniu najbliższej nocy po ogłoszeniu wyroku.

Emerytowany pułkownik milicji, który niegdyś (nie wiadomo kiedy) analizował akta sprawy, pisał w 1989 r. w miesięczniku „Urał”²², że śledztwo było prowadzone wbrew najprostszym zasadom profesjonalnym, że właściwie żadnemu oskarżonemu nie udowodniono winy, że przedstawiono „dowody” naciągane lub wręcz nieprawdopodobne. Powstaje więc pytanie: Kto zabił braci Morozowów? Być może rzeczywiście zrobili to skazani, ale ów pułkownik milicji, a także dwaj dziennikarze, zajmujący się tą sprawą ostatnio na łamach „Urału” i „Junosti”, podają to w wątpliwość. Być może zrobili to inni skrzywdzeni przez Pawlika mieszkańcy wsi. Jest również możliwe, że zabójstwa dokonali pracownicy OGPU (obwodowa służba bezpieczeństwa), bowiem były potrzebne dowody, że *walka klasowa zaostrza się*. Prawdy nie poznamy chyba nigdy.

Jednak zbrodnia w lesie gierasimowskim była faktem. Faktem tym okrutniejszym, że ofiarami padły dzieci, a jedno z nich, 8-letni Fiedia Morozow, zostało zamordowane jakby „przy okazji”; ten chłopiec bowiem nikomu w niczym nie zawinił. Specjaliści od zatruwania wyobraźni ludzkiej, czyli od propagandy, potrafili doskonale tę zbrodnię wykorzystać. Pawlik Morozow, który wydaje ojca i dalej sobie żyje, nie miałby szans, aby stać się bohaterem poruszającym wyobraźnię. 13-letni Pawlik Morozow, który wydaje ojca i następnie zostaje brutalnie zamordowany – tak, to już jest materiał na mit. Ale byłby to tylko mit o kimś, kto został zamordowany z zemsty za popełnione czyny. Śmierć 8-letniego Fiedki nadała temu mitowi inny wymiar. Niewinność Fiedki spłynęła także na Pawlika, który stał się dzięki temu bohaterem mitu o śmierci niewinnych młodzianków. To ułatwiło propagandowe „uświęcenie” tej postaci.

Nauczycielka w Gierasimowce wychowała sobie tylko jednego Pawlika. Ale jej następczynie, a także inne nauczycielki wiejskie i nie tylko wiejskie, miały już sytuację ułatwioną. Mogły się posłużyć przykładem Pawlika. Miały bohatera poruszającego wyobraźnię. Mit Pawlika był popularyzowany w różny sposób. Wspomina cytowany już pułkownik milicji: *Pawlik Morozow to bohater naszego dzieciństwa*.

²² E. Diewikow, *Zertwa no – nie kumir. Komientarij jurista*, „Urał”, nr 2, 1989.

stwa. Pamiętam, jak w przedwojenne wieczory całkiem młodzieńczo jeszcze nasza mama stawiała na stołeczku tekturowy, oklejony czerwonym, angielskim płótnem rzutnik i my, dzieciaki, z zapartym tchem oglądaliśmy na pobielonej ścianie, powiększone lampą projekcyjną przezroczą: „Kulak Kułukanow wypytuje młodego pioniera” – nawet rdzeń nazwiska ujawniał straszliwego zdziercę... „A nocą swój strach zalewali wrogowie bimbrem...” „Aby zaspokoić głód Pawlik i małutki Fiedia poszli nazbierać żurawin...” „W lesie oczekiwała ich zasadzka...” Tragedia dalekiej, nieznannej Gierasimowki, przedstawiona dzięki światłu rzutnika, ciągle od nowa rozgrywała się na białej ścianie kwaterunkowego mieszkanka. Nie mieliśmy wątpliwości, że wszystko działo się naprawdę. I nasze dziecięce serca wypełniały się nienawiścią do wroga klasowego, który zabił pioniera i jego młodzieńczego brata. Przezroczą uczyły nas czujności klasowej, obrazowo pokazywały, jak bardzo nieprzejeđnany i okrutny jest wróg, wzywały, abyśmy zastąpili padłego w nierównej walce towarzysza.

Pierwszy biograf Pawlika Morozowa, początkujący dziennikarz o ambicjach pisarza, współtwórca mitu, po napisaniu książki często spotykał się z młodzieżą na różnego rodzaju pionierskich ogniskach. Zdawał kiedyś relację z takiego ogniska w liście do Maksyma Gorkiego:

Po ognisku, na którym czytałem fragment książki, podeszła do mnie dwunastoletnia dziewczynka i mówi:

- Dlaczego ich rozstrzelano?
- Kogo?
- Daniłkę, staruszków Morozowów, Kułukanowa?
- A co, żal ci ich?
- Nie – z nienawiścią powiedziała dziewczynka. – Ja bym najpierw kroili ich powolutku, małym nożykiem, najpierw obciąłabym nos, uszy, usta, a potem powolutku podpiekałabym ich na ogniu.

Ta dziewczynka, jeśli żyje, ma dzisiaj 68 lat.

*

Na początku 1989 r. w prasie radzieckiej ukazała się następująca informacja: Biuro Centralnej Rady Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. W. I. Lenina po ponownym przeanalizowaniu życiorysu Pawlika Morozowa potwierdziło słuszność swojej decyzji z 1955 r. o wpisaniu go do honorowej księgi pionierów.

Stanisław Czapiewski SJ

Przez zakratowane okienka

Wspomnienia syberyjskie (dokończenie)

W szponach śmierci

W ostatnich dniach września śnieg otula ziemię syberyjską białym całunem. Minęły krew pijące komary i złośliwe muszki, lecz na ich miejsce przychodzą nowe bóle i troski w związku z ostrą i długą zimą. Bolszewików nie boli głowa o to, jak ochronić niewolników przed mrozem. Powiadają, że posiadamy jeszcze wory ciepłych ubrań. Zresztą jest wojna...

Gdy zimą życie zasypia w przyrodzie, niewolnik na dalekiej północy zasnąłby chętnie jak biały niedźwiedź. Może zapomniaby o troskach i cierpieniach, może przyśniłaby się złota wolność... Lecz serca Polaków rwą się gdzie indziej, nie do urojeń, lecz do armii polskiej, która na południu Rosji odradza się jak feniks z popiołów. Wiemy o niej tylko tyle, że istnieje i to nas dźwiga na duchu, a równocześnie bardzo męczy. Nadzieja dotychczas stale zawodzi. Ktoś ją podnieca, a inny znów gasi.

/.../

Nadzieja wbrew nadziei nie jest pustym frazezem, zwłaszcza gdy treść tej zasady opiera się na głębokiej wierze religijnej. Toteż dla ratowania ludzi uciekaliśmy się nieraz do środków bardzo mocnych, wmawiając tonem stanowczym i pewnym, że zwątpienie zabija ducha i ciało, że rychło będzie lepiej, jak Bóg na niebie, że zorza wolności zaświta w chwili, gdy może wszyscy już zwątpią. Bóg czuwa nad nami i Polska o nas myśli jak najdroższa matka. Sursum corda!

*

W początkach listopada powędrowałem z dużą grupą ludzi uznanych za silnych do sąsiedniego obozu na zwózkę drzewa. Znowu te konie, które długo jak zmora stały mi przed oczyma. Wzdragałem się mimo woli, bo zwózka drzewa, zwłaszcza zimą, należy do najbardziej wyczerpują-

cych prac. W zestawieniu z nią wyrąb lasu jest prawie wygraną. Trzeba będzie wydobywać kłody z głębokiego śniegu i biegać za konikiem przez „wilcze doły“ przez cały dzień, przy 40°C mrozu. Kto przetrzyma tę pierwszą zimę w lasach syberyjskich, ten zdaniem starych więźniów rosyjskich jest uratowany. Niech się dzieje wola Boża...

W ostatecznej nędzy i umęczeniu, jakby przed progiem wieczności, dusza samorzutnie lgnie do Boga, widząc w Nim jedyny ratunek. Jak żarliwy był paciorek odmawiany po drodze! Każde słowo modlitwy nabierało pełnej treści. „Ojcze“: jam skrzywdzone dziecko Twoje – ratuj mnie. *Bądź wola Twoja* – nie chcę się buntować, daj mi tylko moc wytrwania. *Chleba naszego powszedniego* – tego chleba, do którego może ktoś nawet modliłby się bałwochwalczo. *I odpuść nam nasze winy*, bo własne cierpienia ofiaruję także za tych, którzy nie wiedzą co to pokuta. Kiedy indziej duch nasz kołł się modlitwą „Pod Twoją obronę“, rozczulając się nieraz aż do łez serdecznych słowami *na tym też padole*. Nigdy w mym życiu nie odczułem głębiej treści logicznej i uczuciowej tych ostatnich słów, jak właśnie na Syberii, gdy musiałem przeżywać sceny, które tu zamierzam opisać.

Pewnego dnia zimowego w południe zjeżdża na pięknych konikach komisja sowiecka w liczbie siedmiu osób, celem przeglądu pracy w lesie. Wszyscy doskonale odżywieni, w ciepłych kożuchach, w luksusowych butach – nowoczesna burżuazja sowiecka. – No, jak się wam powodzi, rybiata? (dzieci) – pytają cynicznie. Ludzie śmielsi, władający dobrze językiem rosyjskim, występują z mocnym przemówieniem, pełnym konkretnych oskarżeń: brak wypoczynku, bezna dziejny głód, znęcanie się na ludźmi słabymi i chorymi, liczne mogiły pod sosnami... Nie słyszałem, by ktoś z taką determinacją i zimną krwią mówił Sowiетom prawdę. Pada i nasze istotne pytanie: Kiedy wolność nam dacie? Komisja tłumaczy się wykrętnie, że to nie ich resort, że do nich należy tylko eksploatacja lasu. I znowu błędne koło: Jeżeli będziecie wydajniej pracować, otrzymacie lepsze pożywienie. Zresztą i tu pracujecie dla zwycięstwa nad wspólnym wrogiem. Dla zwycięstwa komunizmu!?

W rezultacie zastosowano do nas jeszcze większy terror celem wciągnięcia do pracy wszystkich, którzy żyją. Nazwano nas sabotażystami, których trzeba wyniszczyć doszczętnie.

nie, ale bez użycia karabinu. Musimy wstawać bardzo wcześniej rano, choć krwawe słońce dopiero około godz. 8. zacznie się dźwigać leniwie na horyzont niebieski. Przy kopającym łuczywie otrzymujemy swoją pajdą chleba, chowając ją skrzętnie w zanadru. Przy wymarszu do lasu rozgrywają się prawie codziennie brutalne sceny. Kilku biedaków leży jeszcze na pryczach, nie myśląc dziś wyjść do pracy. Jednemu brak ubrania na tak straszny mróz, drugi jest owrzodzony (cinga-szkorbut), inny bardzo przeziębiony. Komisja z naczelnikiem obozu ściąga wszystkich z prycz. Ktoś pada z górnego piętra na ziemię i otrzymuje brutalnego kopniaka, a na dodatek soczyste przekleństwo. Oprawców ogarnia jakaś diabelska pasja. Szarpią, popychają i kopią, byle tylko skompletować brygady robocze i w dziennym raporcie do głównej komendy wykazać się według normy. Widzi to obecny lekarz, lecz musi milczeć, bo i jemu wyznaczili normę zwolnień.

/.../

Sytuacja lekarza obozowego jest bardzo trudna. Musi on patrzeć na maltretowanie więźnia, a jeżeli odważy się sprzeciwić bardziej stanowczo, sam powędruje do pracy w lesie. Brak lekarstw, urządzeń sanitarnych i pomieszczeń. W okresie największego nasilenia śmiertelności mógł on przyjąć do swojej izby chorych zaledwie trzech konających. Musiał przy nich czuwać nocami, a rano często wynosić trupy. Wiem z własnej obserwacji, że tak stało się prawie ze wszystkimi chorymi, których nadludzkim wysiłkiem usiłował ratować od śmierci.

*

Znosimy na własnych barkach drzewo budulcowe na stosi, brnąc po kolana w śniegu. W sąsiedniej grupie więźniów zapanował nagle jakiś tajemniczy ruch. Właśnie upadło drzewo, które przywaliło na śmierć młodego Litwina. Wskutek wyczerpania i zniechęcenia do życia nie zdążył usunąć się w porę. Gdy przybiegłem, już nie żył. Udzieliłem mu absencji warunkowej. Koledzy zabrali gałązkę cedru pomazaną jego krwią, aby ją kiedyś wręczyć matce jako pamiątkę po synu. Lecz czy któryś z was dzisiaj jeszcze żyje?...

Spisano protokół, nieboszczyka pochowano pod sosnami – i znowu spokój, jakby się nigdy nic nie wydarzyło. Kilka

dni później znowu drzewo przywaliło Litwina, który jeszcze niedawno był uosobieniem zdrowia. W tym samym okresie przynoszą wieczorem na barkach zamarzniętego Litwina. Po ocuceniu rychło pożegnał ten świat. Pewien Estończyk popełnia samobójstwo przez powieszenie. Mój kolega Stach /.../ rani sobie toporem rękę, by uzyskać zwolnienie od pracy przynajmniej na parę tygodni. W ciągu trzech dni umiera aż sześciu ludzi wskutek przeziębienia. Wśród nich człowiek w sile wieku, zawsze pogodny, nawet w najczarniejszych chwilach życia obozowego. Umierał jak święty – spokojnie, z uśmiechem. Pewien Litwin zaziębia się umyślnie, byle prędzej skończyć z tym nędznym żywotem.

Tak to na ołtarzu syberyjskim składamy prawie codziennie ofiary z życia, błagając Boga o litość.

/.../ Kolega obozowy, poeta Zdzisław Broncel, wyśpiewał swoje uczucia i bóle w takim sonecie:

*Przyzywamy was nocą, zmarli przyjaciele
W kręgu straszliwych ogni czekamy z biesiadą,
Kiedy ciemność zarzęzi i godzinę Dziadów
Obwieszczą skończone więzienne apele.*

*Odsłońcie spod całunów czaszki i pischcele,
Nie wstydźcie się nagości i ciała rozkładu,
Znamy dobrze ciało gnicie i śmiertelny zaduch,
Wrosłe w rany bandaże i czarne zgorzele.*

*Przeżegnajcie swe truchła i siadajcie z nami:
Oddajemy wam własne w pół złamane życie,
Dzieląc się dni ostatkiem, wodą i chlebami.*

*Lecz jeżeli bagnet światła przegna was o świecie
W podziemną tajgę śmierci, nazwaną grobami,
Zostawcie serca mięso – może nas wskrzesicie.*

/.../

Jak apostołowie Piotr i Jan

Jeszcze parę epizodów z tych ciężkich dni. Wracamy do obozu ciemnym wieczorem, później niż zwyczajnie. Deszcz leje bez przerwy. Przed bramę stoi traktor naładowany żywnością. Prowiant trzeba umieścić pod dachem – to przecież w naszym interesie. Nikt się nie spieszy, choć wszyscy są świadomi, że przyjdzie nam czekać choćby do rana, bolszewicy przecież nie ustąpią. Organizuję więc „spółkę” ludzi

silniejszych i w ciągu pół godziny prowiant znalazł się pod dachem. W jednym worku któryś z „markierantów” wywachał mięso. Trzema palcami (dwa gdzieś stracił) rozrywa worek i jak głodny sęp szarpie kawałek po kawałku, zjadając na miejscu surową wątrobę przeznaczoną dla ciężko chorych. Musiał być beznadziejnie głodny.

Pięknie chowały się cztery szczeniaki należące do naczelnika obozu. W początkach zimy widzieliśmy tylko jednego. Łatwo domyślić się, co się z resztą stało. Karmione naszą kaszą... Ostatniego od dawna upatrzyłem dla naszego „zwiena”, do którego należał potwornie wycieńczony ks. Narcyz. Przez dłuższy czas zdawało się nam, że nasz „ulubieniec” gdzieś przepadł, nie pojawiał się bowiem w lesie. Aż kiedyś w połowie grudnia raczył nas odwiedzić. Topory były ostre. Pracowaliśmy z ks. Narcyzem na skraju działki, zasłonięci krzakami. Głód dokuczał potwornie – mieliśmy wilcze apetyty. Nie wolno nam ginać z głodu! I taka wstała odwaga, że nie bałem się już niczego. Piesek był łakomy na kawałek chleba, jak zresztą i my na psie mięso. Przyjaźnie nastawiony piesek nie przypuszczał, że go tak nikczemnie zdradzę. W piśszczotach usiadłem na brzuszku, pyszczek ująłem mocno w garść i toporem „przejechałem się” parę razy po gardle. Ręce nieco drgały od tej zbrodni, a umysł pracował gorączkowo nad sposobem ukrycia cennej zdobyczy. Najlepszym schowkiem okazał się śnieg przykryty stosem gałęzi. Pod wieczór ugotowaliśmy sobie pierwszy uczciwy posiłek. Zamiast pieprzu użyliśmy ziarenek jałowca.

*

Ładowanie drzewa na sanki transportowe odbywało się dniami i nocą, bez przerwy. Do tej ciężkiej pracy istniały również specjalne brygady nocne, pracujące w zasadzie na tych samych warunkach co wszyscy inni. Pewna niewinna przygoda spowodowała, że i ja jedną noc musiałem pracować karnie w takiej brygadzie. Zwoziłem przez cały dzień drzewo. Strażnik, wiedząc już, że jestem księdzem, szykanował mnie od pewnego czasu w sposób szczególnie przykry, napędzał do pracy. Było mi już tego wszystkiego za wiele, więc raz odciąłem się ironicznie, pracując zresztą nadal sumiennie. Po powrocie z lasu zatrzymują mnie przy bramie i prowadzą do wartowni, robiąc zarzut lenistwa

i nieposłuszeństwa. Z miejsca, bez żadnego badania, pakują mnie do izolatora, pozbawiając nawet tej nędznej kolacji. Po godzinie maszeruję, oczywiście potwornie głodny, z brygadą nocną do pracy, skąd niedawno wróciłem. Co wtedy przeżyłem, trudno dziś realistycznie opisać. Noc jest okropnie zimna, mróz dochodzi do -45°C ., toteż w rejonie pracy palą się aż trzy ogniska. Zrozumiałem rychło, że nie uratuje mnie wysiadanie przy ognisku. Jeżeli będę ogrzewał twarz i front, przeziębnię plecy i zachoruję na zapalenie płuc, jak wielu innych. Uratować mnie może jedynie ustawiczny ruch przy pracy. Krzątałem się więc przez całą noc, nie zachodząc prawie do ogniska. Rano koledzy z brygady przynieśli mi porcję chleba i kawałek ryby na zaspokojenie pierwszego głodu. Dzień przespałem bez pamięci. Trzeba oświadczyć, że przeżyłem taką makabryczną noc w głodzie i chłodzie, by to zrozumieć. Jakieś desperackie lenistwo opanowało moich towarzyszy. Całymi godzinami siedzieli w milczeniu przy ognisku, głuśli na krzyki i nawoływania „strełków”. Opamiętali się dopiero nad ranem słysząc groźby władz, że posiedzimy tu choćby do wieczora, jeżeli nie załadujemy przewidzianej liczby sanek transportowych.

*

Cały Związek Sowiecki obchodzi uroczystości rocznicę rewolucji październikowej. Na tę cześć wszyscy więźniowie otrzymują dzień wolny od pracy. Dzień naprawdę wolny. Na kolację, prócz zwykłej porcji zupy, otrzymujemy dziś trochę kaszy i kawałek mięsa. Święto! Przede wszystkim nasze święto – święto przyszłej wolności. Więc spokojnie zbieramy się w największej sali baraku, aby wysłuchać mszy św. Odprawiałem w sutannie, w intencji Polski i naszej umęczonej braci więziennej. Jeden z kolegów śpiewał *Matko Najświętsza, do Serca Twego...* Głos mu się załamał. Wszyscy byli rozczuleni do łez. Po mszy św. huknęliśmy pod niebiosy (po raz pierwszy w obozie) „Boże coś Polskę” – cisza – nikt nie wpadł do baraku, nikt na nas nie doniósł. Widocznie władze więzienne bawiły się dobrze.

Ośmieleni tak udanym wyczynem powtarzamy nabożeństwo w najbliższą niedzielę po kolacji. Nabożeństwo odprawiał inny kapłan, ja słuchałem spowiedzi. Po Ewangelii kolega głosił homilię. Nagle wpada do sali naczelnik jak

rozjuszony byk. Rzuca się w tłum domagając się księdza. Dochodzi nawet do rękoczynu. Wartownicy krępują księdza i wloką na wartownię. Wśród nas powstaje konsternacja. Co robić? Wysłać delegację z petycją o zwolnienie kapłana, znaczy narazić się może na coś jeszcze gorszego. Na szczęście ksiądz szybko wraca, ale już bez pięknej kruczej brody. Pakuje swoje rzeczy, więc wyczuwamy, że będzie źle. Żegniam się z nim pocałunkiem kapłańskim.

– Czy to twój brat? – pyta się naczelnik – że się z nim tak czule żegnasz?

– Tak – odpowiada rezolutnie ksiądz – to mój brat w Chrystusie.

– No tak dawaj go z tobą.

Więc i ja musiałem zameldować się na wartowni i poddać się operacji zgolenia brody. Odbywa się właśnie rewizja majątku mego kolegi księdza. Sprzętem liturgicznym zapiekowali się nasi koledzy. W pewnym momencie każą mi ładować jego rzeczy do worka i odnieść do baraku. Chyba nie będzie tak źle, jak przypuszczaliśmy. Po powrocie na wartownię wróciła mi rezolucja i zachciało się nam dyskusji na temat modlitwy!

– Po co wy się modlicie? – pyta naczelnik.

– Przyjdzie czas, że i ty, naczelniku, będziesz się modlił.

– Ja? – przenigdy! Mam lat 37 i dotychczas nigdy w życiu się nie modliłem. Zresztą patrzcie, świnia się nie modli, a przecież żyje i czuje się szczęśliwa – zawsze w korycie znajdzie coś do żarcia.

W tym miejscu aż język śwędział, aby pod adresem naczelnika użyć właściwych słów, ale roztropność każe być powściągliwym. Odpowiadamy spokojnie: Wspomnisz kiedyś nasze słowa – będziesz się modlił. Tego już było naczelnikowi za wiele. Za podszeptem oficera NKWD my, „bracia w Chrystusie“, powędrowaliśmy do izolatora, zamiast do ciepłego barłogu w baraku. Ja byłem bardzo lekko ubrany, kolega natomiast, zawsze chytry i przemyślny, otulił się przezornie w ciepły kożuch. Izolator to mała komórka o powierzchni dwóch kroków na cztery. Prawie całą przestrzeń zajmuje prycza, oczywiście bez materaca czy jakiegś wyściółki. Nie ma nawet najbardziej prymitywnych urządzeń do ogrzewania. Przed nami nikt nie siedział w izolatorze, więc stał otwarty – wyziębiony. Syberyjska zima była już

w całej pełni, toteż ściany otwartego izolatora były pokryte grubą warstwą szronu. Strażnicy zaryglowali za nami drzwi i odeszli.

Co tu robić? – Najpierw odmówiliśmy pacierz na „dobranoc”: „Pod Twoją obronę...” i wszystkie inne znane modlitwy. Próbujemy zasnąć. Ks. Chmielewski (takie jest jego prawdziwe nazwisko – występował pod pseudonimem Stanisława Kruczkiewicza) nie odczuwa zimna, więc drzemie pół godziny, ale ja marznę i nie mogę zmrużyć oka. Drepcę więc z nogi na nogę mierząc w ciemności tę przestrzeń setki foteli. Jest już godz. 11 w nocy. zaczynam więc głośno „psioczyć” na niesprawiedliwość, broniąc praw człowieka do życia i zdrowia. Nie przyszedłem tutaj zdychać jak pies pod płotem. Wydieram się coraz głośniej łamanym językiem rosyjskim, bo chcę, by mnie usłyszał wartownik czuwający opodal na wieżycze. Zaczynam tupać obcasami w drzwi coraz częściej i gwałtowniej, bez przerwy. Dopiero po trzech kwadransach jest jakaś reakcja. Wartownik dzwoni do centrali obozu, widocznie będzie rozmawiać w naszej sprawie. Istotnie, po dłuższej chwili stychać skrzypienie śniegu. Strażnik otwiera drzwi, przeraźliwie łajc za nasze nocne brewerie. Cała gama soczystych przekleństw rosyjskich. Aby go zagłuszyć, puszczam w ruch całą swoją elokwencję, wylewając w ciągu kilkunastu sekund cały mój żal, prośby i życzenia... Wartownik, zamykając z pasją drzwi, grozi, że posiedzimy aż do rana, jeżeli się nie uspokoimy.

Przez chwilę był spokój. W miarę jednak jak coraz dociśliwiej odczuwam mróz, ogarnia mnie jakaś desperacka determinacja. Kolega zachowuje się dość biernie, bo wytrzyma w ciepłym kożuchu do rana. Ja natomiast walę znowu obcasami wyjąc jak lew w klatce, naśladując ujadanie psa... Co tu mam do stracenia? Śmierć z przeziębienia lub zwolnienie z izolatora. Przypowieść ewangeliczna o natręctwie. Wreszcie około godz. 1 w nocy zjawia się strażnik i w zupełnym milczeniu zwalnia nas obu. Każe zabrać manatki z wartowni i kłaść się spać. Wracamy radośni, jak apostołowie Jan i Piotr, żeśmy mogli pocierpieć dla imienia Chrystusa. Wątpię, czy oni broniliby się tak namiętnie przed śmiercią, jak ja. Oni jednak nie wiedzieli, co to są syberyjskie

mrozy... Noc była krótka i błoga, bez duszącej zimy, bez nękających snów.

Zawitał dzień wolności

Po wizycie gen. Sikorskiego w Moskwie w grudniu 1941 r. jakiś ożywczy prąd zadrgał w powietrzu. Dowiedzieliśmy się cichaczem, że coś się dzieje. W innych obozach 10. oddzielenia podobno już jesienią zwalniano Polaków. W początkach grudnia przyjeżdża do naszego obozu jakaś komisja sanitarna, ale z tego niewiele można wywnioskować. Inna komisja bada Litwinów i Estończyków, pomijając Polaków. Dowiadujemy się o pierwszych wyrokach sądowych, bo dotychczas wszyscy siedzieliśmy bez rozpraw. Wyroki dotyczą wyłącznie innych narodowości. Obojętne jest skazańcom czy otrzymają wyrok na trzy lata, na pięć, czy więcej – wszystkim towarzyszy ten sam cyniczny uśmiech, gdy o tym opowiadają towarzyszom niedoli.

Komisja jeszcze raz bada dokładnie skład narodowościowy mieszkańców obozu zajmując się drobiazgowo tymi wszystkimi, którzy się podają za Polaków. Stosunek do Polaków nie ulega jednak żadnej zmianie. Wszyscy, którzy zaczęli się załamywać, nieco się ożywiają – nadzieją. Istotnie, po tylu bolesnych zawodach trudno wierzyć pozorom. Ale w powietrzu coś drga...

W takim nastroju zbliża się okres Bożego Narodzenia. Tym razem już urzędowo prosimy o dzień wolny od pracy w to największe nasze święto. Niestety, odpowiedź jest zdecydowanie negatywna, uzasadniona potrzebą wysiłku wojennego. W takiej sytuacji nie prosimy już o pozwolenie na nabożeństwo i śpiewy religijne, obiecując sobie załatwić to skuteczniej bez ich łaski.

W noc Bożego Narodzenia ubiegłego roku złożyłem Bogu pierwszą ofiarę mszy św. Jakoś nie mogłem pogodzić się z tą myślą, by w tak pamiętnym dla mnie dniu pracować w lesie. „Zachorowałem” więc poważnie na biegunkę i zostałem w obrębie baraków. Najbliżsi przyjaciele odłożyli rano po kawałek chleba i ryby na wieczerzę wigilijną. Prócz tego zdobyliśmy gdzieś 1 kg dzugaru i paczkę namiastki kawy i tymi darami zastawiliśmy sobie stół wigilijny. Nie trzeba było choinki, gdyż rosło ich tyle w lesie tuż za ogrodzeniem

obożu, a wszystkie bielutkie, uginające się pod ciężarem śniegu. Zresztą spamiętaliśmy je zbyt boleśnie z wyrębu i zwózki drzewa. Po prostu nie chcieliśmy mieć na stole wigilijnym symbolu umęczenia... Stół wigilijny zrobiliśmy z odpowiednio przesuniętych desek pryczy.

Rzewny i niezapomniany nastrój biednej braci wygnańczej był spotęgowany życzeniami rychłej wolności i cicho nuconą kolędą. Bezpośrednio po tych wzniosłych chwilach rozpocząłem przy tym samym stole wigilijnym pasterkę. Całą ozdobą ołtarza na pryczy były dwie świece, a jedynym strojem liturgicznym – skromna stuła. Była to bez wątpienia najbardziej przejmująca chwila w naszym życiu więziennym. Trudno silić mi się na opis przeżyć i wzruszeń. Radosne „Gloria in excelsis Deo” wlało nową otuchę do serc jak zawsze, pod warunkiem, że ludzie przyjmą drugą część pozdrowienia anielskiego o „dobrej woli”. Nam dziś tej dobrej woli naprawdę nie brakuje.

Nasz poeta, Zdzisław Broncel, tak przeżył tę mszę wigilijną w baraku:

*W ciasnej nawie baraku, w katakumbach mroku,
Niktą świeczka rozjarza niebieskie podwoje.
I Bóg wstępuje w tajgę przez zbrojne konwoje.
Kolczastym drutem tocząc krew ze swego boku.
Starczą cudowi chleby z praśnego pajoku
I wystarczy Sybiru za krzyżowe znoje,
Iżby w słowach najświętszych „Oto Ciało Moje...”
Dopełniła się miara prorocत्व i wyroków.
O Boże narodzony w więziennym barłogu,
Gdzie zamiast osła i wołu ludzie w gnoju leżą,
Gdzie nawet siana zabrakło przy świętym połogu.
A Głorię gong zagłuszył pod strażniczą wieżą,
Daj nam gwiazdę przewodnią jak Magom ze wschodu
I aniołów budzących jak śpiącym pasterzom.*

Tragiczna wolność

Tak z dnia na dzień, coraz pełniejsi nadziei, czekamy cierpliwie chwili wyzwolenia z diabelskiej niewoli. Musimy jednak pracować ciężko bez żadnej ulgi.

Nagle dnia 14 stycznia 1942 r. w nocy, gdy w skrytości piekłem placki na komunikanty, przychodzi do mnie z ku-

chni najserdeczniejszy przyjaciel Ludwik (Grela, Bonifater) i oznajmia, że za chwilę usłyszymy najradośniejszą nowinę o zwolnieniu Polaków. Z radości spożyłem wszystkie placki i pobiegłem budzić kolegów, jak ci aniołowie z polskich kołód spieszyli budzić śpiących pastuszków. Radość nie do opisanania! Żal nam tych, którzy muszą zostać na Syberii bez widoków lepszego jutra...

O godzinie 3 nad ranem istotnie przychodzą przedstawiciele władzy i odczytują listę zwolnionych Polaków, którzy mają wyjechać pierwszym rzutem. Wczesnym rankiem mamy zabrać nasze toboły i pieszo wędrować ku wolności. Pierwszym etapem ma być znane już nam miasteczko Gari.

Po prostu nie chce się wierzyć. Nie maszerujemy już w smutnym konwoju do przymusowej pracy jak wczoraj, ale idziemy na wolność. Żegnajcie lasy, żegnajcie tragiczne koniki, żegnajcie nieszczęśliwi koledzy Litwini, Estończycy, Łotysze... Te Deum laudamus. A więc kto wygrał? – naiwny optymizm i uparta nadzieja wbrew nadziei, która po łbach waliła ludzi słabych i załamujących się na duchu.

*

Ale po pierwszym szale radości troska musiała zachmurzyć nasze czoła. Bo gdzie to my właściwie jesteśmy? Bardzo daleko na północy... Połowa ludzi to cienie człowieka. Boimy się o nich, że wielu nie wytrzyma trudów podróży. Rzeki są zamrożone, a drogi pokryte metrową pierzyną śniegu. Jak się stąd wydostać i dokąd pojechać? – oto nasze żywotne pytania. Oczywiście do Armii Polskiej! – to przecież szczyt naszych marzeń. Ale gdzie jest jej miejsce postoju? Wiemy tylko tyle, że istnieje gdzieś na południu.

Podróż z przeklętych obozów zagłady do miasteczka Gari była prawdziwą rozkoszą. Nikt nie czuł się słabym ni chorym, bo wszyscy jakby na skrzydłach lecieli ku wolności. Wierzyliśmy, że wnet staniemy się nowymi ludźmi. Niestety, spuścizna nałogów obozowych jeszcze długo będzie się dawać we znaki i tak bardzo ciągnąć ku ziemi, że to dziwne społeczeństwo dumnych z wolności od wczoraj ludzi mało się różni od tych, którzy pozostali w obozach. Lęgną się stronnictwa, rodzą się podejrzenia, niesnaski i kłótnie o drobnostki. Proszę nas jednak nie potępiać, bo jeszcze wiele przyjdzie nam cierpieć, zanim odzyskamy pełną swobodę

ducha i ciała. Zanadto byliśmy przeżarci terrorem głodowym i zbyt zrujnowali jego następstwami.

Gdzie jest ta Polska Armia wymarzona? Po nitce do kłębka dowiadujemy się, że w Buzułuku. Ale mówią, że w ostatnim czasie wszystko powędrowało dalej na południe. Na wszelki wypadek obieramy Taszkient jako stację końcową naszej wędrówki. W ciągu tygodnia otrzymujemy odpowiednie dokumenty, gratyfikację za nasze więzienie w sumie 70 rubli oraz prowiant wojskowy na siedem dni. Najbardziej wygłodzeni zjedli ten zapas w ciągu trzech dni! Rychło więc zaczęła się spekulacja, jak w obozie. Inni wyprzedali resztki swego odzienia na wolnym rynku, aby zdobyć choć trochę żywności.

Po pięciu dniach czekania mamy wreszcie ruszyć do stacji kolejowej Sośwa, odległej od Gari około 35 km. Wyłania się problem techniczny, mianowicie jakim sposobem jechać? Tyle sanek nie znajdzie się w całej okolicy – zresztą ten rejon to odludzie! Nie ma jednak w Rosji problemów nie do rozwiązania... Władze kazały więźniom sowieckim sklecić dwie wielkie budy, które łącznie muszą pomieścić około sto osób. Budy są zaopatrzone w piecyki i drzewo opałowe. Zdawało się, że troska o przyszłych żołnierzy polskich, sprzymierzeńców Związku Sowieckiego, nie może być posunięta dalej.

Dzień jest mroźny i wietrzny. Wsiadamy do naszych dziwnych wehikułów pod wieczór i wnet ruszamy w drogę. W imię Boże! W naszych kajutach ciasnota nie do opisanía. W żaden sposób nie można sięść czy nawet przykucnąć, a więc trzeba stać i dreptać z nogi na nogę. Gdy transport ruszył, buda zaczęła trzeszczeć i powoli pochylać się na bok. Mroź dokucza niemiłosiernie, zwłaszcza w nogi, gdyż buda jest pełna szpar. Rychło powstają kłótnie, coraz częściej słychać przezwiska i przekleństwa, to za zabranie miejsca na przedstawianie nóg, to za przesunięcie się o kilka cm w kierunku piecyka. Makabryczna noc! – gorsza od tej, którą karnie przepracowałem z brygadą nocną. Czarna rozpacz, prawie że widmo śmierci od ludzi oszalałych na skutek nerwowego napięcia.

O północy okryłem się cały kocem, by tego wszystkiego nie słyszeć. Stworzyłem sobie własny świat myśli i przeżyć. Nucilem cicho wszystkie znane pieśni religijne i świeckie,

komponowałem jakieś nowe melodie. Śpiewałem dla zabicia czasu, dla uspokojenia nerwów, dla zagłuszenia niesnasek. Śpiewałem Bogu i sobie.

Bardzo wczesnym rankiem, gdy jeszcze było szaro, wielu z nas dziękuje za chylący się wehikuł i pieszo maszeruje w kierunku Sośwy, brnąc po kolana w śniegu. Ożywczy prąd ciepła wstępuje do organizmu. Do Sośwy docieramy w południe, wyprzedzając wehikuł o trzy godziny. Mieszkańcy niechętnie, a raczej nieufnie przyjmują gości w czapkach więziennych. Po prostu boją się i uprzedzają, by nie prosić o nocleg. Jakże smaczny był gorący czaj syberyjski, którym poczęstowała naszą grupkę pewna rodzina! Po raz pierwszy po ośmiu miesiącach znaleźliśmy się w prywatnym mieszkaniu. Wnętrze jest skromne, ale chędogie. Trudno wciągnąć gospodarzy do rozmowy. System szpiegowski życia sowieckiego wywarł i tutaj znamienne piętno. Mieszkańcy doszli do niestychanej wprawy w zachowaniu ostrożności.

Zamieszkaliśmy czasowo w baraku przeznaczonym dla uchodźców wojennych. Prowiantu nie można było nigdzie kupić za żadną cenę, chyba tylko za ubranie i tytoń. Pieńdz nie posiadał żadnej wartości. Piekarnie były dla nas absolutnie niedostępne, gdyż nawet jeden gram chleba nie może być sprzedany bez kartek żywnościowych. Prowiant wydany nam na podróż już dawno się skończył, a o wyjeździe nic konkretnego nie słychać. Pociąg może przyjechać może dopiero za tydzień. Na stacji stoi przeznaczony dla nas wagon towarowy (bydlęcy), taki sam jakim jechaliśmy z Wilna, tylko bez zakratowanych okienek. Nikt nie ma ochoty w nim mieszkać ze względu na przeraźliwe zimno. Mroźny wiatr wieje całymi dniami, często nawet nosa nie można wychylić na świeże powietrze.

W naszym baraku zainstalowała się „spółka rzeźnicza“, która prawie codziennie zabijała jednego psa. Na szczęście byłem już w nieco lepszej sytuacji, więc nie korzystałem z ich usług. Inni włączyli się od stołówki do stołówki (jadłodajnie miejskie), aby spożyć choćby raz dziennie ciepłą strawę. Zresztą do tego mieliśmy prawo aż do samego wyjazdu z Sośwy.

Ze względu na dokuczliwe mrozy chodziłem w Soświe w sutannie. Ludzie starszego pokolenia, patrząc na mnie,

popadali w jakąś zadumę, gdyż w ich pamięci odżyła dawna wolność religijna. Młodzież natomiast reagowała w swoisty sposób: dowcipkami, według recepty propagandy antyreligijnej.

W sali miejskiej, gdzie właśnie wyświetlano jakiś film propagandowy, podbiega do mnie kilkoro dzieci sowieckich. Biorę je serdecznie za ręce i pytam:

- Czy wierzycie w Boga?
- Boha niet – odpowiadają rezolutnie.
- A skąd wy to wiecie, moi przyjaciele?
- Nauczyciel tak powiedział!

- To ty idź i powiedz mu, że on nie jest mądry, iż w Boga nie wierzy. On nic o Bogu nie wie. Widzicie, ja jestem „świąszczennik” (ksiądz) – wierzę w Boga, bo 12 lat uczyłem się o Nim, by Go poznać i ukochać.

Dzieciaki tak się ośmieliły i tak im się to podobało, że jeden z nich samorzutnie wyspał mi do kieszeni garść „drogocennej” machorki.

W wielu domach można jeszcze widzieć ikony, na ogół ukryte w jakimś zakątku izby. Stare pokolenie po dawnemu żegna się i bije pokłony. Brak cerkwii i organizacji życia religijnego każe przypuszczać, że odrodzenie wiary nie będzie sprawą łatwą.

Wreszcie w ostatnich dniach stycznia, na nowo skromnie zaopatrzeni w żywność, jedziemy w daleki świat przyczepiani często do różnych pociągów towarowych. Nieraz musieliśmy czekać parę dni na stacji, aby otrzymać możliwość dołączenia do odpowiedniego pociągu. Podróż do Taszkientu będzie trwała nie siedem dni, jak nas zapewniano, ale siedem tygodni... Jest nas w wagonie 90 osób z tobołami. Duszą i ciemno, a robactwo znowu zgryza nasze ciała. Brak najbardziej elementarnych urządzeń sanitarnych. Ludzie chorują. Jeden umiera już w pierwszych dniach. Sześciu zostawiamy po różnych szpitalach miejskich, gdzie, jak się dowiedzieliśmy później, wszyscy kończą życie. W dodatku ludzie są skłóceni o kawałek chleba, o większą cebulę, o miejsce przy piecyku dla zgotowania strawy. Zaczynamy rozumieć tajemnicę wolności sowieckiej, która nas Polaków, ogólnie biorąc, kosztowała bez mała tyle samo ofiar, co życie w więziennych obozach przymusowej pracy i na posiołkach. Wzdłuż całej trasy spo-

tykało się tysiące takich samych nędzarzy jak my. „Łazarze“
jadą na wolność, tacy okropni, jakich ich widział nasz poeta
Zdzisław.

*My także już cuchniemy, tak jak brat twój Marto,
Gdy kazano mu wynieść związanemu w płótna –
Łaska przerażająca, święta i okrutna,
Jak wolność, której ogrom przed nami otwarto.*

*Dla powstających z ziemi, czy też dla mar to
Owa droga wśród śniegów osiedlami smutna?
Przez glob wleczone ciała – procesja pokutna,
Wyciem hymnów walcząca z kruków ćmą zażartą.*

*Patrzycie na nas z bliska, jak na, drogie zwłoki,
Z lękiem, że twarz się nagle w kościotrup wytrzeszczy –
Kto z was spoglądał prawdzie w oczodół głęboki
I tak się nie uśmiecha? Kto się waży mierzyć,
W jaką czeluść wejść trzeba, by spełnić wyroki
I by Łazarzem powstać – jak trzeba uwierzyć.*

W jaką czeluść wejść trzeba, by odzyskać wolność...
Święte słowa, których treść przeżył każdy z nas do samej
głębi. Nie wiem, czy była to umyślna złośliwość, czy brak
organizacji sowieckiej, czy skutek bałaganu wojennego, że
kiedy od władz pobieraliśmy prowiant na cały stan naszego
transportu, kilkakrotnie pociąg ruszał w dalszą drogę bez
tych, którzy ofiarowali się pójść po żywność do punktu
aprowizacji wojskowej. Na to samo narzekali ludzie z in-
nych transportów. Nikt nie mógł poinformować dokładnie,
kiedy pociąg ruszy. To wywoływało niesłychane zamieszanie.
Nic więc dziwnego, że cały transport jechał przez kilka
dni głodny, nie mając pojęcia, kiedy otrzyma następny
przydział żywności, ewentualnie kiedy ludzie z prowiantem
dołączą do swoich, by ich nakarmić. Na każdym postoju
przy wagonie można było oglądać formalny jarmark z miej-
scową ludnością. Za lepioszkę chleba dawaliśmy chętnie
resztki ubrania, żyjąc błogą nadzieją, że za niewiele już dni
zrzucimy łachmany, by wdziać mundur żołnierza polskiego.
Ten żołnierz malował się w naszej rozgorączkowanej wyo-
braźni w najczudniejszych kolorach, bo nie widzieliśmy
dotąd ani jednego. Pierwsze spotkanie z polskim żołnierzem
w Czkałowie wywarło na nas niesamowite wrażenie. Zasy-
pywaliśmy go tysiącem pytań, a on odpowiadał na wszyst-

kie cierpliwie, nawet po dziesięć razy. Spełnił swoją misję znakomicie!

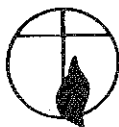
Pewnego dnia trafił do nas egzemplarz „Orla Białego“ z artykułem o unii polsko-czechosłowackiej. Pierwsze polskie wolne słowo na obcej ziemi, w kraju, który jeszcze wczoraj nas gnębił, ale dziś z racji politycznych nazywa się naszym sprzymierzeńcem.

*

Przestane już rozводить się nad realizmem życia w Sowietach, nad radością i rozczarowaniem. Inni powiedzieli już więcej i lepiej ode mnie, opisując tragedię tysięcy czy nawet setek tysięcy Polaków, którzy zginęli wzdłuż rzeki Amu-Darii i po zapadłych kołchozach Kazachstanu. Statystyki bez wątpienia wykazały, gdzie są nasze cmentarze, po których dziś już pewnie nie ma śladu, bo „kałmuk“ zabrał na opał nawet ten maleńki krzyżyk z polskiej mogiły, albo jak szakał rozkopał ziemię, aby w niej znaleźć wielki skarb – stary łachman! Inni mogą świadczyć dosadniej o tych okropnościach, bo mój los, dzięki Bogu, układał się znacznie pomyślniej.

Z chwilą wstąpienia do Armii Polskiej sytuacja zmieniła się zupełnie. Gdy w marcu 1942 r. w przeddzień Wielkanocy stanąłem z moim oddziałem na wolnej ziemi Iranu, w głowie pozostał tylko mglisty zamęt, jakby zatarta świadomość ogromnej skali przeżyć bolesnych i krzepiących. Sama natura jakby instynktownie dążyła do zapomnienia wszystkiego, co jeszcze straszło koszmarem niewoli rosyjskiej.

Za wróconą wolność Bogu niech będą nieskończone dzięki!



Anna Micińska

Aleksander Wat – elementy do portretu. Ballada więzienna

Tekst, który drukujemy poniżej, jest fragmentem większej całości, która będzie poprzedzać wydanie tomu „Poezji zebranych” autora „Pieśni Wędrowca” w Wydawnictwie Znak w Krakowie. Nie miejsce tu na rekonstruowanie całej biografii A. Wata ni podsumowanie jego dorobku literackiego. Przypomnijmy tylko, że Aleksander Wat (1900–1967) – urodzony w Warszawie, zmarły w Paryżu, skandalizujący futurysta z początku lat dwudziestych, około 1926 r. zbliżył się do komunizmu. W 1928 r. wraz z grupą lewicujących intelektualistów (Broniewski, Stawar, Władysław Daszewski, Leon Schiller, Hempel, Stände, Wandurski, Bruno Jasiński) rozpoczął redagowanie „Miesięcznika Literackiego”, jedynego komunistycznego w Polsce Dwudziestolecia pisma, które miało prawdziwie szeroki zasięg i odegrało przełomową rolę w kształtowaniu światopoglądu wielu z pokolenia, które w latach trzydziestych wchodziło w życie. W 1931 r. po wielu perypetiach „Miesięcznik” został jednak skonfiskowany i zamknięty, a Wat z grupą współpracowników (Stawar, Hempel, Broniewski) aresztowany i osadzony w więzieniu. Wypuszczony po kilku miesiącach na wolność podjął pracę kierownika literackiego w firmie wydawniczej Gebethnera i Wolffa, gdzie pracował aż do wybuchu wojny. Lata te to okres ostatecznego dojrzewania intelektualnego poety, okres, który – przy pełnej świadomości tego, co dzieje się w stalinowskiej Rosji – doprowadził go do zdecydowanego odwrótu, a wreszcie zerwania z wyznawaną dotąd w najlepszej wierze ideologią. „Towarzyszka Ananke” nie tak łatwo wszakże wypuszcza odstępów ze swoich pazurów. W maju 1939 r. A. Wat znalazł się na liście osób wyznaczonych przez Komisariat Rządu do Berezę Kartuskiej. Tam wprowadzie już nie zdążył, uciekając jednak z Warszawy przed Gestapo, które także miało go na swojej liście, do Lwowa – trafił, niemal prosto, do więzienia na Zamarstynowie... Swą sześćdzioletnią epopeę w rosyjskich więzieniach i na zesłaniu Wat dokładnie relacjonuje w swoim „pamiętniku mówionym” „Mój Wiek” (Londyn 1977). To, czego nie zdążył nagrać, dopowiada w swej książce wspomnień „Wszystko, co najważniejsze” (Londyn 1984) żona poety, Ola Watowa. Wszystkie przytoczenia w „Balladzie więziennej” pochodzą zatem z tych dwóch źródeł; dla ułatwienia lektury rozdziału jednakże zrezygnowano z dokładnej ich lokalizacji.

Ufamy, że publikacja w „Przeglądzie Powszechnym” „Ballady więziennej” A. Wata wraz z kilku jego wierszami dotyczącymi tego okresu stanowić będzie nie tylko nasz udział w dyskusji nad „białymi plamami” w historii polsko-rosyjskiej, lecz także przybliży czytelnikom dramatyczną i wspaniałą postać Aleksandra Wata, który po latach anatemy wreszcie przywracany jest polskiej kulturze.

A.M.

Co do liczby przebytych przez Wata więzień i pobytów w szpitalach – Aleksander i Ola nigdy nie mogli się pogodzić. Zanim wszakże rozpoczął poeta swą do końca niepoliconą więziennie-szpitalną tułaczkę, przeżył – jak większość warszawiaków – wrześnieową wędrówkę na wschód i kilka miesięcy w zajęтым przez Rosjan Lwowie.

„Zakończyłem Warszawę jako okres straszliwego smutku. Smutku i pewności strasznych rzeczy, które oczekują mnie i ogół. Nie śmierci, lecz potwornych przeżyć, tak że żywi będą zazdrościli umarłym. A gdy wojna wybuchła, to wszystko jakby zostało zmiecione. Pierwszego dnia, kiedy bomby zaczęły padać, pewien węzeł został przecięty. Nie ulga, ale przestaje się istnieć na planie cerebralnym, duchowym, moralnym, istnieje się już tylko na planie odruchów, którym się poddaje, impulsów. Więc właśnie, szóstego dnia wojny, impuls szalony, imperatyw, że muszę uciec, musimy uciec z Olą, z Andrzejem. /.../ Pierwszych Rosjan widziałem w Łucku. /.../ Te twarze mongolidów, te szmatławe mundury, te hełmy mongolskie, takie szmaciane pikielhauby. Buty, buty; i ten dziegieć, i pot nóg, i zaduch machorki. Więc to, nad czym w czasie komunizowania przechodziłem do porządku dziennego – oblicze azjatyckie. I w dekomunizacji swojej też o tym nie myślałem. Azja – Europa – uważałem, że to jest gadanina publicystyki anty-sowieckiej, że to należy do XIX w. i jest bardzo powierzchowne. A tu naraz – Azja absolutna.“

Opowieść poety o czterech miesiącach, które spędził we Lwowie – od przyjazdu do aresztowania – nosić powinna podtytuł „Jaggahath“ lub też: „...tak to historia krotoczwilna, brzydkiego figla nam wypłata“. Zasłużony redaktor „Miesięcznika Literackiego“ – lecz przecież już ex-komunista, „renegat“ – staje oko w oko ze sławioną ongiś rzeczywistością komunistycznego raju i jego prawami. Okres ten – omawia go dokładnie w „Moim Wieku“ – uważa za najgorszy w całym swoim życiu, nie w sensie konkretnych doznań, lecz własnej wobec nich postawy.

„Lwów – mnóstwo bieżenców, uciekinierów z Warszawy, kolegów. Nie mają gdzie mieszkać, nie mają z czego żyć, bieda okropna. W kołach literackich strach przed meduzą.“ – „Już nie wiem, kto zwołał zebranie lewicy literackiej, lewicy w najszerszym sensie. Sala pełna, ściągnięto wszyst-

kich, którzy coś z literaturą mieli wspólnego, było ich już dużo. Przemówienie Korniejczuka: – «Nie macie do nas zaufania – i wcale od was z góry nie wymagam żadnego zaufania. Przyglądajcie się nam, mamy czas. Spodoba wam się – świetnie, nie spodoba – trudno. To jest wasza sprawa. Ale my wam damy tymczasem dobre warunki egzystencji, żebyście mogli żyć, pisać, przyglądać się nam w akcji. Naciśku na żadnego z was nie będziemy wywierać, żadnej propagandy wobec was nie będziemy stosowali. Sami wyróbcie sobie sąd...» – to był tenor jego przemówienia.“

„Do zarządu org-komitetu został wybrany Dan, Broniewski, kilku Ukraińców, dwóch żydowskich literatów, z Polaków byli jeszcze Boy-Żeleński i ja. A później, kiedy przyjechała Wanda Wasilewska, dokooptowano także i ją. /.../ Zarząd zajmował się na razie głównie sprawami bytowymi: szukanie mieszkań, zaopatrywanie w pieniądze, urządzanie stołówki /.../ Tymczasem we Lwowie rośnie panika, coraz więcej ludzi jest aresztowanych.“

„Wielkie aresztowania zaczęły się w połowie października 1939. Więc najpierw aresztowali wszystkich związanych z rządem, szczególnie prokuratorów, sędziów, policjantów. /.../ Drugie masowe aresztowania były w połowie listopada, a trzecia masówka w styczniu 1940, kiedy nas aresztowano. To był najobrzydliwszy okres mojego życia, te kilka miesięcy we Lwowie. Tchórzyłem, kłamałem. Wiedziałem, że mnie zaaresztują, że Ola i Andrzej zginą – drżałem po prostu /.../ a ponieważ i tak od kilku lat wycofałem się z literackiego życia, więc był to dla mnie doskonały pretekst do powiedzenia, że się skończyłem jako literat. Trąbiłem o tym.“ – „Nie składałem żadnych samokrytyk, bo mnie nikt o to nie prosił, gdyby mi kazali, to bym złożył.“

„Zaczęto mnie wreszcie namawiać, żebym wstąpił do «Czerwonego Sztandaru», że to jest najbezpieczniejsze dla mnie miejsce. Dość długo się wahałem /.../ Przez sześć czy siedem tygodni pracy w «Czerwonym Sztandarze» zdołałem umieścić trzy czy pięć małych notatek o zebraniach w fabrykach. Druga funkcja, którą spełniałem w «Czerwonym Sztandarze», to była nocna korekta, drżałem robiąc korektę. Najmniejsza omyłka, a nie tylko zecer idzie do mamra, także i korektor oczywiście za to odpowiada. A ja miałem obsesję. Ciągle mi się zdawało, że w końcu za mojej

korekty wyjdzie straszna gafa, jedna literka będzie zmieniona i wyjdzie Sralin zamiast Stalin. Ciągłe pilnowałem tego Sralina. /.../ Nie wytrzymałem. Więc zrobiłem jedną rzecz bardzo groźną, mianowicie przeczytałem będąc w redakcji (Ważyk przy tym był, mieliśmy biurka obok siebie) przemówienie Mołotowa o cieniu Polski, o upiorze, który nigdy nie powstanie itd. To był przedruk z «Prawdy». I wtedy wybuchnąłem. Powiedziałem: co jak co, ale polskie pismo, w języku polskim, nie ma prawa takich rzeczy drukować. I inne jeszcze wybuchy. /.../ Zaczęła się wokół mnie robić pustka. W redakcji zacięci komuniści bali się już ze mną rozmawiać; w Związku nie byłem już sekretarzem.“

Aresztowanie poety nie nastąpiło jednak w „normalnym” trybie. Zarówno on sam w „Moim Wieku” jak i Ola Watowa we „Wszystko, co najważniejsze” dokładnie opisują przebieg tzw. lwowskiej prowokacji, w wyniku której – 24 I 1940 r. – po sproszeniu przez Władysława Daszewskiego na spotkanie do restauracji grupy znajomych i przyjaciół, a następnie wywołaniu przez „przypadkowego” współtowarzysza „pijackiej” burdy – zostało zaaresztowanych kilkunastu literatów polskich, w tym Wat, Broniewski, Peiper, Stern i in. „Byłem oszołomiony niezwykłością aresztowania. Zaraz po wtrąceniu mnie do celi przyszła sanitariuszka więzienna. Pokiwała głową i kazała mi chuchnąć, żeby opisać w protokole, że jestem pijany.“ – „I w kilka dni po naszym aresztowaniu, co mój śledczy pokazał jako dowód mojej winy, ukazał się artykuł w «Czerwonym Sztandarze» bardzo głośny. Opisywali nas w nim jako bandę ciemnych typów, kryminalistów, pijaków, kurwiarzy, rozpustników, którzy urządzali orgie, napadali na kelnerki w tym klubie, gdzie nas aresztowano. Chodziło o to, żeby w oczach tzw. polskiego społeczeństwa konserwatywnego nas obrzydzić, zohydzić, żeby wytarzać w błocie. Tak się robi!“ „[Więc] to co mnie łąpało za gardło, to nie to, że mnie zaaresztowali, nie groza, bo już wtedy groza mnie nie obchodziła – bałem się tylko o nich [tj. o rodzinę], ale brzydota tego aresztowania. I to już mi w stosunku do komunizmu zostało: kategoria brzydoty. Nie jako kategoria estetyczna, ale brzydoty estetyczno-moralnej, jakiegoś szmatławienia charakterów, miast, rzeczy. Wszystko tam szmatławiło.“

Swoim doświadczeniom i przeżyciom, które zgromadził podczas – od momentu aresztowania niedobrowolnego – pobytu na ziemi rosyjskiej, do powrotu do Polski w 1946 r., poświęcił A. Wat ponad 400 stron „Mojego Wieku”. O ile nie miejsce tu na detaliczne ich streszczanie (choć wiele „elementów do portretu” poety pozostanie w ten sposób w cieniu), należy przytoczyć przynajmniej parę podstawowych faktów.

„W ogóle przeszedłem przez jedenaście więzień. Ola się ze mną kłóci, że nie można mówić 11, bo w dwóch byłem tylko po jednej dobie. I rzeczywiście ma rację. Dla statystyki, dla urody statystyki – 11. A jak dodam jeszcze dwa więzienia polskie, to będzie razem 13. Ładna liczba. Ale na dobrą sprawę, przeżycia moje bardzo takie ważne, to są dwa więzienia lwowskie, przy czym głównie Zamarstynów, naturalnie, bo już w Brygidkach siedziałem niedługo. To – dwa. Trzecie: Kijów. Niedługo, 10 dni, ale szalenie interesujące, bardzo dla mnie pouczające, bo to była pieriesylnaja tiumna. To trzy. Łubianka – cztery, Saratów – pięć. Ili – sześć. I Trietije Otdielenie – siedem. Siedem takich ważnych więzień. Przy czym każde inne, każde inny wariant, każde inny świat. Więc to jest olbrzymi materiał.”

Rzecz istotna – we wszystkich tych więzieniach Wat przebywał w nieustannym śledztwie. Do właściwego procesu i wyroku ostatecznie nie doszło – najpierw na skutek amnestii dla obywateli polskich w 1941, po powtórnym aresztowaniu w Ili w 1943 r. z powodów dla samego Wata niepojętych. Kierunek i przebieg owego „śledztwa” – a także własną ewoluującą w jego toku postawę – kwituje krótko: „Miałem bez przerwy bardzo ciężkie doprosy, niesłuchanie męczące, całonocne, bardzo długie. Bez brutalności, krzyczeli na mnie, ale nigdy nie uderzyli, nie miałem też tych reflektorów, za to doprosy psychicznie ciężkie, bardzo uporczywe, ciągnące się przez jakiś czas bez końca i bez przerwy. Oskarżenie było w takiej skali – od papizmu poprzez syjonizm, trockizm i szowinizm polski. Bardzo szeroki wachlarz. Właściwie cały tryb był taki, że mieli mi dać zaraz wyrok i wysłać do łagru. Dlaczego mnie więc wzięli na Łubiankę? Na tych doprosach miałem straszną taktykę, dlatego tak mnie męczyli. Miałem taktykę mówienia, że jestem człowiekiem lewicy. Nie mówiłem, że jestem komunistą, ale że człowie-

kiem lewicy. Miałem też taktykę szczerości. Wygarniałem wszystko, co mówiłem przeciwko Sowietom. /.../ Właściwie w 90 procentach zeznałem wszystko o sobie. Staralem się tylko manewrować tak, żeby nikomu nie szkodzić. Oczywiście to mnie płaćtało, to mnie narażało na krzyki i awantury. /.../ Potem się nie tylko nauczyłem, ale wpadłem w fanatyzm. Zaczęło się to zwłaszcza w Saratowie, gdzie miałem także przeżycie bardzo religijne, mistyczne, wszystko wewnątrz do góry nogami, i odczucie diabelskości komunizmu, więc po tym już konsekwentnie, ale też spontanicznie (i to okazało się doskonałym środkiem) odżegnywałem się od wszelkiej lewicowości. Kiedy mnie wypuścili, umieściłem w «Polsce», w organie ambasady /.../ nekrolog o Rogożu, gdzie się przyznawałem do katolicyzmu, gdzie napisałem, że jesteśmy naoczniymi świadkami pomieszania języków, apokaliptycznego zdruzgotania kultur i cywilizacji, które chciały się rządzić wyłącznie prawami ludzkiego rozumu. Jest też w tym artykule jakaś «mongolska gęba». Gdy mnie aresztowali po raz drugi, wypomnieli mi to. «Mongolska roża ciebie nie nrawitsia» – pytał mnie Omarchadzew, piękny Mongoł. I właśnie Omarchadzew podczas paszportyzacji mówił: «Wat, wied’ wy byli komunistom. Ty był komunistom!» Ja mówię: «Da, czto to takoję było, no tak dawno, czto ja už etogo nie pomniu». I tego się trzymałem konsekwentnie, miałem wspaniały spokój. Szanowali mnie. Okazało się, że to zbawienna metoda“.

Pułkownik Omarchadzew i Tretije Otdielenie w Alma-Acie, to jednak już owe -naste i ostatnie więzienia Wata na rosyjskiej ziemi. Na razie, po upływie blisko dwóch lat od momentu aresztowania, Wat znajduje się w Saratowie. Jest rok 1941: „Już jest prawie zima. W szpitalu dowiedziałem się, że była jakaś amnestia dla Polaków, że jacyś Polacy wyszli, że jedni wyszli, a drudzy nie wyszli. /.../ Aparat był zdezorganizowany – ja byłem jednak dla Polaków Żydo-komuna, więc o mnie widocznie nikt nie wspomniął i w ogóle zapomnieli o mnie. Ci w więzieniu nie wiedzieli kim jestem naprawdę, nie interesowali się. Siedzi, niech siedzi“.

„Przetrzymany trzy miesiące po amnestii – dopowiada Ola Watowa – w więzieniu Saratowskim, do którego przewieziono go po ewakuacji Łubianki, mąż mój wyszedł z niego w

końcu listopada 1941 w stanie zupełnego wyczerpania fizycznego.“

„Najpierw idę do bani, żeby się odwszyć i w bani jest lustro. Nie wytrzymuję widoku własnego ciała, Skóra, która wisi – skóra została w tej samej objętości i wisi na mnie. Straszny widok. Waga – zdaje się 45 kg, a normalnie ważyłem 82. Prawie połowa, byłem muzułmaninem, w strasznym stanie wycieńczenia – ledwo chodziłem, kiedy wyszedłem.“ – „Jeszcze w szpitalu więziennym, ktoś mi powiedział, że moja rodzina została na pewno zesłana do Kazachstanu.“ Wat decyduje zatem wziąć „propusk“ do Ałma-Aty. „Niech pan nie wariuje – mówią mi wypuszczeni wraz ze mną dwaj polscy oficerowie – pan jest w takim stanie, że pan nie może szukać żony, pan pojedzie z nami do Buzułuku. Ja mówię: nie, muszę najpierw znaleźć żonę, jak osioł uparłem się, że muszę jechać do Ałma-Aty.“

Po dwóch tygodniach straszliwej podróży Wat dociera wrzeczcie do celu, gdzie wokół Delegatury Rządu Polskiego utworzyło się tymczasem ogromne skupisko wypuszczanych z więzień i łagrów Polaków. „Ałma-Ata jest cudownie położona. Pejzaż był fantastyczny. Była zima, topole almatyńskie cudowne, zwłaszcza młode są jak warkocz młodej panny. Oczywiście w szronie, jakieś takie klejnoty całe w słońcu. Góry, olbrzymie góry, Tian-Szań, przedmurze Pamiru, o cudownych konturach – biel sama w sobie. I ta biel rysuje się jak cieniutki chiński rysunek, linia na pięknym włoskim niebie. Bo niebo włoskie, może nawet jeszcze głębsze.“

Delegatura umieszcza Wata przede wszystkim w szpitalu. „Cały czas tam spędzony – czytamy we «Wszystkim, co najważniejsze» – wypełnia pisanie i wysyłaniem kartek pocztowych do wszystkich delegatur rozsianych na terenie Kazachstanu z zapytaniem o mnie i o syna. I w końcu odnajduje nas na tych bezmiernych przestrzeniach w kołchozie, w czimkentskiej oblasti, gdzie umierający z głodu pracowaliśmy na polach bawełnianych.“

„I przyjechali! – Andrzej wyglądał jak dziecko z getta warszawskiego. Miał już początki gruźlicy, trupia czaszka. Ola – ileż wtedy miała? Trzydzieści kilka, a wyglądała na sześćdziesięcioletnią kobietę, wyniszczona kompletnie. Spódnica jak rzeszoto, tak że widać było pod nią koszulę.

I jakieś barachło, jakieś worki, w workach dziurawe blaszanki, Bóg wie co – i duży bochen chleba. I moja nikczemność, że mimo ich głodu spałaszowałem prawie cały chleb sam.“

„Po wyjściu ze szpitala – relacjonuje dalej Ola Watowa – [Wat] rozpoczął pracę w Delegaturze ałma-atyńskiej. Dostaje funkcję inspektora szkolnego. Zakłada szkoły. Pracuje tam do końca, tzn. do 1942 r., kiedy to po zerwaniu układu, zlikwidowaniu delegatur i uwięzieniu wielu delegatów, deportowano nas w styczniu 1943 r. do Ili. W rzeczywistości było więc Ili ponownym zesłaniem, a Polacy od nowa bezbronni.“

Małe osiedle Ili leży nad rzeką Ili, którą dawniej odbywał się spław towarów do Chin. Nawiasem mówiąc dawne miejsce zesłania Trockiego. Takie długie sioło, trzy drzewa. Brudny piasek, jakieś brudne porosty, lepianki kazachskie z gliny i łajna. Trochę drewnianych budynków. Ze stacji było daleko do posiołka, następnie przechodziło się przez wielki plac targowy, przez tołkuczkę. Była też budka fotografa, budka zegarmistrza i budka, gdzie sprzedawano wódkę. Ludność: kazachska, ukraińska i trochę Żydów z Ukrainy, którzy zajmowali tam stanowiska w prom-kombinatach miejscowych. Polaków prawie nie było, sami Żydzi i to Żydzi z Galicji – szewcy, krawcy, adwokaci i drobni kupcy. Żydowski posiołek. I tam miałem właśnie rozpocząć nowy cykl życia.

Moje Ili to trzy i pół roku, przerwane kilkoma miesiącami więzienia. Te lata stanowią jak gdyby świat zamknięty. W Ili już byłem właściwie człowiekiem sowieckim, w kondycji dołów sowieckich, proletariuszy. /.../ To już było średniowiecze. Odżywianie się korzonkami, np. słodkimi kartoflami, niektórymi roślinami trującymi, stały głód, mieszkanie wśród krów, wielbłądów, iszaków. Noclegi zupełnie biblijne. Każdy ma w swoim życiu jakiś mały okres bohaterstwa, miliony ludzi podczas tej wojny miało. Ale ja tu miałem swój okres bohaterstwa. Przede wszystkim to, że tak jak dzisiaj to widzę – ziarna dobrego i ziarna złego z tamtej nocy saratowskiej rozwinęły się tutaj potężnie. Tak jakby kula kryształowa, w której skoncentrowały się wszystkie promienie mojego życia w Rosji i rozwoju.

Przyjechałem w bardzo dziwnej sytuacji. Ja, o którym wszyscy wiedzieli – nigdy nie ukrywałem, że jestem Żydem – że primo: reprezentuję majestat Rzeczypospolitej Polskiej, dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, bo już zostałem jedynym przedstawicielem Londynu na Kazachstan, a po drugie, że noszę na sznurku krzyżyk z brązowego bakelitu, jakie delegatura rozdawała. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć, w każdym razie byłem od początku bardzo dobrze przyjęty. I do końca tak zostało. Gdyby nie to, zginęlibyśmy ze sto razy. Handel i spekulacja to była jedyna możliwość, żeby wyżyć przez te trzy i pół roku. Ani ja, ani Ola zupełnie nie nadawaliśmy się to tego /.../ więc gdyby nie życzliwość, jakieś gorące uczucie tych ludzi, tych ortodoksyjnych Żydów wobec mechesa... Bo oni nie wiedzieli czy jestem chrzczone, czy nie. Ale krzyżyk nosiłem. Potem podczas tego buntu, gdy siedzieliśmy razem w areszcie, zdjąłem koszulę i mimo to byłem w areszcie przywódcą tych pobożnych Żydów – ja, Żyd z krzyżykiem na piersi. Rzecz – myślę – bardzo wyjątkowa.“

Ów bunt, którego Wat był przywódcą, i który przypłacił ponownym uwięzieniem – a zarazem *okres bohaterstwa*, o którym wspomina – wiąże się z akcją tzw. paszportyzacji, opisaną dokładnie przez żonę poety.

„Mąż mój, Aleksander Wat, nie zdążył opisać dramatycznej akcji zmuszania Polaków do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego, tzw. paszportyzacji. Akcję paszportyzacji przeprowadzało NKWD w marcu 1943 r. w Kazachstanie i wszędzie tam, gdzie zgrupowani byli Polacy zwolnieni z więzień, obozów karnych i miejsc zesłań na dalekiej północy. Do akcji tej, która była jeszcze jednym gwałtem popełnianym na zesłańcach polskich, mąż mój przykładał wielką wagę. Walka ta była nie tylko walką przeciwko paszportyzacji, ale także protestem przeciwko wszystkiemu, czemu należy powiedzieć NIE. /.../ Wieści stawały się coraz bardziej alarmujące, nacisk NKWD coraz brutalniejszy, zdarzały się wypadki samobójstw. Przyjęcie bowiem obywatelstwa sowieckiego ucinając prawdopodobnie ostatnią nadzieję powrotu do Polski. /.../ Mąż mój zaczął organizować Polaków naszego osiedla do oporu. /.../ Przedstawiał im sytuację, a przede wszystkim budził w nich sponiewieraną godność i świadomość, co oznaczałaby uległość w tym

wypadku. /.../ Pierwsze zebranie było bardzo burzliwe. «Patriotów», tzn. członków Związku Patriotów Polskich było wprawdzie w Ili bardzo mało, ale niektórzy uważali, że wojowanie z potężnym NKWD jest szaleństwem i przyspieszy tylko naszą zgubę. Większość dobrze zrozumiała moralne wartości tej walki.“ – „I oto któregoś dnia zjechała do Ili komisja NKWD, która miała nas zmuszać do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Przewodniczył im pułkownik Omarchadzew, który zajął się szczególnie moim mężem wiedząc, że odegrał on na terenie Ili rolę «buntownika».“ – „Wat zarządził, aby wszyscy wezwani szli od razu z workiem najpotrzebniejszych w łagrze rzeczy. Pouczył ich także, czerpiąc ze swoich doświadczeń więziennych, aby nie wdawali się w żadne rozmowy, które zawsze obracają się przeciwko obwinionemu, i na zapytanie czy wezmą paszport, odpowiadali krótko «nie», a na zapytanie dlaczego – «bo jesteśmy polskimi obywatelami» – to wszystko.“

„Nie pamiętam już teraz dokładnie, ilu Polaków było w Ili. Chyba około 400. I rzeczywiście, wszystkich, którzy odmówili, zaaresztowano. Pamiętam dobrze chwilę, kiedy przyszli po mnie i trzeba się było pożegnać z synem, wówczas jedenastoletnim chłopcem. Zebrano nas na opustoszoonym na tę okazję targowisku ilijskim – sto kilkadziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, w większości Żydów. Nieopodal, w zbitej grupie stali ci, którzy paszporty przyjęli. Ci zostawali. Ale nieszczęśliwi byliśmy jednakowo – i oni, i my.“

Zaaresztowanych przewieziono do Alma-Aty. Sposób na większość opornych był prosty. Wrzuceni do cel kryminalistów – „urków“ – upokarzani i bici byli tak długo, dopóki się nie załamałi. Zmasakrowana Ola, z połamanymi żebrami – którejś nocy posłyszała w celi mężczyzn krzyki i wołanie o pomoc – „ktoś wołał rozdzierającym głosem, że mordują mu syna. Poznałam głos starego szewca Kamera i z przerażeniem pomyślałam, że w jednej z tych cel jest mój mąż“. Nazajutrz została wezwana przez naczelnika więzienia: „Gdy weszłam, uniósł się z lekka na mój widok i wypisując mi mój paszport sowiecki na świstku lichego, żółtawego papieru powiedział ścisłym głosem: – Widzicie grażdanko, że miałem rację“.

Przed więzieniem stała już grupa – jak ona zwolnionych ilijczyków. „Zmasakrowani, sponiewierani, w łachmanach –

sami sobie wydawaliśmy się łachmanami. Sowieccy obywatele! /.../ Męża mojego nie było między nami. Dopiero w drodze powrotnej do Ili dowiedziałem się od ludzi z nim aresztowanych, że zaraz po przybyciu do Alma-Aty został odseparowany od reszty więźniów i umieszczony oddzielnie jako instygator buntu Polaków.“

Historia poety tymczasem była rzeczywiście niezwykła. Przestłuchiwany najpierw przez wiele dni i nocy przez Omar Chadżewa nie poddawał się ni prośbom, ni groźbom.

„«Jakiż głupiec z ciebie – sugerował śledowatiel: Cóż ci za różnica jaki masz paszport? Czy to nie wszystko jedno? Ot papierek. Widzisz, my mamy tutaj takich bardów kazachskich, którym żyje się dobrze. A dlaczego? Bo zrozumieli rzecz ważną: Stalin dajot położenije – nado podczinitsia. Oni to zrozumieli. Piszą pieśni o Stalinie i opływają we wszystko. A ty? Poślą cię do łagru, a tam takie zdechlaki jak ty, giną od razu». I tak oto milicjant spod gór Tien-Szan okazał się filozofem.“

Na niezłomnego – nasyłają żonę. „Człowiek tak wykształcony, inteligentny, poeta, pisarz, mógłby być u nas profesorem, wykładać na uniwersytecie w Moskwie, mógłby żyć jak kulturalny człowiek, a nie w nędzy w Ili. Dlaczego się upiera. Trzeba przemówić mu do rozsądku, niech weźmie paszport, i zaraz wszystko się odmieni, pojedziecie do Moskwy...“ Podczas widzenia „zobaczyłam wreszcie Aleksandra. Tak jak i reszta więźniów miał ogoloną głowę. Był bardzo blady, wychudzony, oczy wydawały się większe, ale żadnych śladów bicia, maltretowania, znęcania się, zaszczucia. Promieniował z niego spokój, dobroć, czułość. Już na wolności, o wiele później opowiadał mi, że w tym Drugim Oddziale zabobonni dozorczy więzienni, Kazachowie, bali się go wyraźnie. A jeden z nich wprost zapytał, czy nie jest czarownikiem i prosił, żeby na nich, dozorców, czarów nie rzucił, bo oni nie są winni. /.../ Opowiedziałam mu o swojej wizycie u Omar Chadżewa i o jego kuszeniach, to wszystko. Nie zadałam pytania, nie prosiłam o żadną odpowiedź. Później, już na wolności, powiedział mi, że dałam mu wtedy na tym więziennym ganku, wśród aresztanckich baraków – największy dowód miłości, nie namawiając do niczego, zostawiając mu wolność wyboru“. Pozostało Tretije Otdielenie i... urkowie. „Cela była w podziemiu, cała w półmroku.

Patrzył na trzech zbliżających się półnagich olbrzymów. /.../ Walentyn, takie imię było starosty celi, stał przed nim w niewielkiej odległości. Był rosty, silny i piękny. Przypatrywał się Aleksandrowi w wyczekującej postawie drapieżnika, który ma czas, wie bowiem, że ofiara i tak mu się nie wymknie.“ – „Jak już wspomniałam – ciągnie Ola Watowa – w tym czasie wygląd mojego męża był dość niezwykły, ale nie była to tylko sprawa jego powierzchowności; trudno wyrazić aurę, jaka otacza człowieka, który osiągnął poczucie wolności bycia już tylko sobą, stanowienia o sobie i o swym działaniu. Aleksander to osiągnął. Był «strzałą i celem» jednocześnie i zapewne przekroczywszy próg celi westchnął do Boga, aby pobłogosławił i strzale, i celowi.“ – „Więc kiedy padło pierwsze zdanie, kiedy zapytał surowym głosem, czy wierzą w Boga, sam się zdziwił temu tak tutaj nieoczekiwanemu pytaniu. Oni także byli zaskoczeni, a Walentyn krzyknął gwałtownie, dlaczego o to pyta. I wszystko, co było postanowione i nieodwołalne, wypowiedział Aleksander głosem mocnym i stanowczym: «Wiem, że macie mnie bić, bić tak długo, póki nie wezmę paszportu sowieckiego. Więc, jeżeli wierzycie w Boga, proszę bijcie mnie tak sprawnie i skutecznie, abym się za długo nie męczył, aby to za długo nie trwało. Bo ja paszportu sowieckiego nie wezmę». Jakże wytłumaczyć to wszystko, co potem nastąpiło? W cichej dotąd celi nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Walentyn milczał i patrząc na Aleksandra zdawał się z trudem odrywać od jakiejś swojej rzeczywistości, czy zapomnianego już dawno snu. I nagle zawołał nie znośącym sprzeciwu głosem: «Jeżeli jeden włos spadnie z głowy temu człowiekowi, ze mną będziecie mieli do czynienia. Zrozumiano? Sowiecki paszport – wykrzykiwał. Sowiecki paszport to my i ta nora w Trzecim Oddziale, to więzienia, łagry i strach. Strach i terror – to jest sowiecki paszport!»“

Między poetą a gromadą wydziedziczonych rozpoczyna się jedyne w swoim rodzaju współzycie. Aby uchronić go od enkawudowskich oprawców, sami inscenizują seanse maltretowania i katowania współwięźnia, Wat w zamian opowiada im o sobie i o wolnym świecie, do którego należał. „Aleksander opowiadał świetnie. I teraz w tej mrocznej celi, otoczony zbuntowanymi, pełnymi nienawiści, a jemu tak

sprzyjającymi więźniami, wyprowadzał ich za mury więzienia na szeroki świat. I w ciągu całego tam pobytu nieraz do późnej nocy streszczał im książki, filmy, cytował z pamięci wiersze. Jak mi potem opowiadał, błagali go, żeby codziennie streszczał im jakąś powieść. «Czerwone i czarne» na przykład wywołało zachwyt. Razem mówili z pamięci wiersze Puszkina, a wieczorami pod rzewną melodię śpiewali piękny «List do matki» Jesienina, którego nauczył mnie Aleksander po powrocie. – „Omarchadzew przychodził co najmniej trzy razy w tygodniu – groźny, napięty, nacierający z wściekłą furią nienawiści na upierającego się przy swoim więźnia. A jednocześnie zaciekawiony tym szaleńcem dążącym do pewnej zguby zamiast do zaferowanych mu zaszczytów i blasków egzystencji.“

„Zastanawialiśmy się potem oboje, co kryło się w tym zwlekaniu, niewysyłaniu do łagru, którym ciągle groził, temu ociąganiu się w pobraniu decyzji w stosunku do niego... Mijały trzy miesiące więzienia – kiedy wezwano mego męża z wieszczami. [Przekonany, że jedzie już do obozu] z prawdziwym wzruszeniem i wdzięcznością pożegnał swego zbawcę i przyjaciela, Walentyna, a także jego towarzyszy. W pokoju naczelnika więzienia zapytał, czy pozwoli mu napisać kilka słów do żony, a ten, popatrzawszy na niego z ledwo ukrywanym uśmiechem, odpowiedział: po co pisać, zobaczycie ją niedługo. Po czym wręczył mu dawny jego dowód, arkusz zadrukowanego białego papieru z nagłówkiem: Rzeczpospolita Polska. I z okrągłą u dołu pieczętką, która głosiła: Délégatura Ambasadury R.P. Ałma-Ata. Tak zwany «paszport londyński».“

Jako jedyny w Ili obywatel polski spędził Wat w Rosji jeszcze blisko trzy lata – i choć nigdy nie dociekł prawdziwych powodów swego ocalenia – fakt pozostał faktem: jego trzynaste więzienie pozostało ostatnim.

*

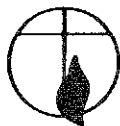
W archiwum Oli Watowej zachował się komplet „Miesięcznika Literackiego“, który Wat już po wojnie dostał w prezencie od Andrzeja Stawara. Którejś nocy w Berkeley, kiedy – jak pisze Ola Watowa – pocie wydawało się, że umiera, napisał spontanicznie na pierwszej, czystej stronie pierwszego numeru: „To jest corpus delicti nikczemnicznia.

Historii mojego znikczemnienia w komunizmie, przez komunizm. W więzieniu komunistycznym przyszło opamiętanie zupełne i odtąd, w więzieniu, na zesłaniu, w Polsce pod komunizmem, nigdy nie pozwoliłem sobie na zapomnienie obowiązku elementarnego: zapłacić, płacić sobą za te dwa-trzy lata moralnego obłądu. I płaciłem. 23 VII 1964.“

Aleksander Wat – éléments pour un portrait. Une ballade carcérale

Aleksander Wat (1900–1967), né à Varsovie, décédé à Paris, poète futuriste. Il se rapprocha, vers 1926, du communisme et dirigea „Miesięcznik Literacki“, l'unique revue littéraire communiste de la Pologne de l'entre-deux-guerres. Fuyant, en 1939, une Varsovie sous la férule de la gestapo, il gagne Léopol (Lwów) où il tombe

sous celle du NKVD et débarque peu après dans la prison Zamarstynovo de cette ville. Il passera six ans en URSS, dans des prisons d'abord, puis en déportation. Le texte ci-dessus évoque l'expérience carcérale du poète, en citant ses souvenirs et les témoignages de son épouse.



ALEKSANDER WAT

BALLADA WIĘZIENNA

Piątego dnia karceru trząsłem się na wyrku,
„O, nie budź mnie z drzemki, mój drogi biedny synku“.

Syn wyciąga ręce, cienkie jak piszczele:
„Czemuś nas opuścił na nędze, na niewolę“.

Znów zapadłem w drzemkę, znów boleśnie konam:
„Nie trzeba mnie budzić ze snu, luba moja żono!“

Żona wyciąga ręce, głodu znaczone plamami:
„Wytrwaj. Walcz. Pamiętaj. Zawsze. Bądź z nami.“

Wstaję. Otwieram oczy. Poruszam pomarżle kości:
Tu przedsiónek śmierci. Spotkamy się w wieczności.

Zamarstynów, 1940

Jak drzewo wypróchniałe, lecz mocno tkwiące w ziemi
długo gnilem w cieple, w drzemce, w błogostanie.

Gdy wyrwał mnie z korzeniami i w proch mnie wyrzucił
i drogi mną omiatał i w furii nienawiści
piorunami mnie raził i w przepaść mnie rzucił,
z syna mnie obrąbał, z żony obezłścił.

I tak mnie dotąd wichrem gniewu unosi,
aż kiedyś rzuci mnie, nagi marny kikut.

I czekać będę wiecznie, by zstąpił na kirkut
i słowem swoim żywym z martwych mnie wskrzesił.

W więzieniu w Saratowie, w listopadzie 1941

Zrozumieć Grudzień

Grudzień 1981 r. został zapamiętany na wiele sposobów, w zależności od naszych postaw i sytuacji, w jakich uczestniczyliśmy. Przy wszystkich możliwych różnicach był jednak, jak sądzę, przede wszystkim **NOWYM DOŚWIADCZENIEM ZBIOROWYM**. Doświadczeniem o skali porównywalnej do października 1956 r., kiedy wydawało się, że runął stalinizm i możliwa jest jakaś inna, „ludzka” wersja realnego socjalizmu. Rok 1956 bogaty był w nadzieje, grudzień 1981 napiętnowany poczuciem klęski. W tym sensie bliższy był zakończeniu wielkiej wojny roku 1945, kiedy wprowadzić znikła groźba kataklizmu i eksterminacji, jednak przyszłość naznaczona *wyzwoleniem ze Wschodu* wydawała się na wiele sposobów groźna i niepewna. Przy wszystkich powierzchownych podobieństwach Grudzień był jednak doświadczeniem całkowicie nowym w rozwoju nowoczesnego społeczeństwa. Stawał się namiastką wojny domowej i choć był bogaty w militarną retorykę, to przecież nie przyniósł powrotu do lat czterdziestych, kiedy konflikt rozorał społeczeństwo boleśnie i głęboko. W Grudniu podziały były, być może, mniej dramatyczne – choć nie da się przecież ustalić takiej skali, na której wybór pozostania w leśnej konspiracji w 1945 r. można porównać z decyzją budowania „podziemia” po 13 grudnia 1981 r. Nie da się takiej skali zbudować w sensie porównywania motywacji indywidualnych, być może sensowne jest to wówczas, kiedy mówimy o możliwych **POSTAWACH** oporu lub zbiorowych zachowaniach. Inaczej jest z racjami polityki, które odnoszą się zarówno do konkretnej sytuacji, jak i możliwości jej zmiany w kierunku wyznaczonym przez świadomie działające podmioty. W tym sensie Grudzień był nowym doświadczeniem, gdyż jego „sytuacyjność” wpisywała się w dwie różne logiki. Pierwszą z nich dobrze opisuje zarówno syndrom Jałty, zależność PRL od ZSRR, jak i bierna akceptacja tego stanu rzeczy przez Zachód. Logikę drugą wyznaczała, pobeżnie ujmując, dynamika odradzania się społeczeństwa obywatelskiego, natrafiającego na drodze tego odradzania na instytucje totalitarnego państwa. Grudzień był takim momentem dziejowym, kiedy do świadomości zbiorowej dotarła cała pokrętność tego społecznego procesu. Przemoc jest przemocą, nie zaś *socjalistyczną praworządnością*; zależność od Moskwy – wewnętrznym podporządkowaniem nie wspólnego nie mającym z *braterską przyjaźnią*; obywatelskość – zobowiązaniem do brania odpowiedzialności za całość państwa w odróżnieniu od urzędowego obowiązku uczestniczenia w państwowych rytuałach; solidarność – normą przyzwoitości wobec kogoś drugiego, nie zaś ideologicznym sloganem.

Zaczynam od słów ogólnych tylko dlatego, że Grudzień pragnę zobaczyć szczegółowo w dwóch aspektach: konkretnego protestu, jakim był strajk w położonej na obrzeżach Tych kopalni węgla kamiennego „Ziemowit“, oraz znaczeń politycznych, jakie determinują do dziś nasz udział w odbudowie Polski. Grudniowy zamach i będący jego następstwem stan wojenny wraz z procesem *wychodzenia z tego stanu* – jak głosi oficjalna retoryka – wyznacza nadal sposoby myślenia tak opozycji jak i władzy. Co więcej, nie zmieniła się sama SYTUACYJNOŚĆ polskiego konfliktu – choć nie w tym samym stopniu dotyczy to jego aspektu zewnętrznego i wewnętrznego.

I. Na poziomie 500 m w „Ziemowicie“ jasne było to, co do dziś z trudem toruje sobie drogę w opozycyjnym myśleniu¹: oto *NARÓD NARODOWI WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ* – zapamiętuje własne myśli jeden ze strajkujących górników. Za chwilę zresztą powstrzyma innych górników, którzy otrzymali od dyrekcji polecenie, by wysadzić chodnik łączący „Ziemowita“ ze strajkującym „Piaśtem“. Wojnę ogłosił wprawdzie Jaruzelski, ale podziały od początku nie przebiegały w prostych liniach. W „Ziemowicie“ nawet figury władzy – dyrektor i pułkownik-komisarz – różnią się postępowaniem od tajemniczego majora „politycznego“, który krąży po kopalni. Publiczna scena społecznych zachowań jest niezmiernie plastyczna. Strajkujących, jeszcze na powierzchni, w cechowni, do rozejścia się namawia i pułkownik (z urzędu), i ksiądz. Górnicy nie chcą ustąpić. *Zerwał się za to wtedy jeden płacz. Dyrektor nawet płakał, księża płakali, a temu pułkownikowi też łzy leciały*. Wszyscy mieliśmy wówczas przeczucie, że wraz z ogłoszeniem stanu wojennego zostały złamane dwie podstawowe zasady życia zbiorowego – oto wspólnemu dobru Polaków zostało przeciwstawione dobro obozu władzy; niezbędnej zaś do utrzymania spójności społecznej zasadzie solidarności przeciwstawiono prawo grupowego egoizmu.

Polityka jest m.in. sztuką konsekwentnego myślenia, ale takiego, które potrafi wpisywać się w spontaniczne zachowania zbiorowe. Czym jest TAKI płacz w politycznej analizie? Myślę, że jest sygnałem, jednym z wielu, jakich nie szczędzą nam ostatnie lata (np. pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki), że społeczeństwo stojące wobec politycznych wyborów i nie znajdujące racjonalnych sposobów decydowania o własnym zachowaniu reaguje neurotycznie. Jak organizm, który nie jest w stanie poradzić sobie ze skondensowaną dawką problemów. Ale płacz zbiorowy ma charakter kathar-

¹ Korzystam w tym miejscu z pracy J. Fajeranta, *Co powiedzą nasze dzieci?* Archiwum „Solidarności“, t. 15, Wydawnictwo MOST, Warszawa 1986. Dalsze cytaty z „Ziemowita“ podaję za tym wydawnictwem.

cznych zobowiązań. Przejście od poziomu związkowego (roszczeniowo-legitymistycznego) do poziomu stricte politycznego (wybory, wpływ, kontrola = współodpowiedzialność) było w totalitarnych warunkach skokiem jakościowym, nie znanym w historii tych systemów. Związkowość (podmiotowość) była odzyskaniem określonej przestrzeni społecznej, była uwolnieniem z totalitarnego działania się pcwnego typu praktyk społecznych. I to był sukces Sierpnia porównywalny z Październikowym odzyskaniem przez rolników gospodarczej własności. Ale Sierpień był także czymś więcej. Był procesem odbierania społeczeństwa totalitarnej władzy. Społeczeństwo odbierało samo siebie. Proces ten zmieniał również charakter władzy, mimo gorączkowych przeciwdziałań, gdyż zmieniał się sam fundament systemu – władza całościowa pozbawiona społeczeństwa stawiała się władzą częściową, choć nadal o całościowych prerogatywach i olbrzymich, co potwierdził stan wojenny, możliwościach ich realizacji. Władza totalitarna bez biernej chociażby akceptacji społeczeństwa nie istnieje. Może zachować pełną sterowalność ekonomii, propagandy i represji (policja plus wojsko), ale bez możliwości sterowania społeczeństwem **PRZEISTACZA SIĘ WE WŁADZĘ AUTORYTARNĄ**. I dzieje się tak nawet wówczas, kiedy nadal posiada ona swoje autentyczne, „wąskie“, grupowe zaplecze społeczne. Autorytaryzm jest zakorzeniony w urzędach. Projekt wyborów do rad narodowych nie był w tym sensie kolejnym etapem odbierania czegokolwiek władzy totalitarnej, lecz zagrożeniem samej istoty nowego rodzaju władzy w Polsce – rządów autorytarnych. Sądzę, że wiedzieli o tym zarówno ludzie władzy, jak i ludzie opozycji. Wątpię, by rozumiało to społeczeństwo.

W marcu 1982 r. w piątym numerze, maszynopisowym, podziemnej „Myśli Niezależnej“ tytuł artykułu wstępnego głosił: „Gdyby jutro rząd Wałęsy...” Grudzień 1981, przejście między totalitarnym a autorytarnym charakterem władzy w PRL, stawał w świetle ramp. Było tak, chociaż po 13. nastąpił czas przeróżnych mistyfikacji.

III. Stan wojenny nie był oczywiście TYLKO obroną nowego, autorytarnego statusu władzy. Był zamierzoną ofensywą, której celem było przywrócenie w nowym kostiumie status quo ante. Jak uczyła historia real socjalizmu, operacja taka była sensowna i sprawdziła się po wielokroć – Berlin 1953, Węgry 1956, czeska wiosna, a w Polsce w 1956, w 1970 i w 1976 r. Za każdym razem udawało się obezwładnić zbuntowane społeczeństwo. Za każdym razem propaganda głosiła, że relacje władza – społeczeństwo zmieniają się, choć oczywiście zasady totalitarnego uprzedmiotawiania nie podlegały zmianie, lecz osiągały nowe formy. Na początku

1982 r. wydawało się to kwestią czasu. Najbardziej popularna diagnoza stanu wojennego kolportowana w podziemiu należała do Zdenka Mlynařa, który prognozował – odwołując się do przykładu CSRS po inwazji 1968 r. – kolejne etapy „normalizacji”. „Normalizacji”, czyli obezwładnienia społeczeństwa. Etatowy „liberał” kolejnych ekip władzy w PRL, prof. Jan Szczepański, w opracowaniu dla gen. Jaruzelskiego „Władza – Obywatel – Demokracja” (kolportowanym także w podziemiu) pisał: *Teza wyjściowa tych rozważań i proponowanych wniosków jest następująca: opierając się na tych, którzy odnieśli się do stanu wojennego ze zrozumieniem, trzeba pozyskiwać tych zaliczanych powyżej do niezdecydowanych i neutralizować, a także pozyskiwać i przekonywać tych z trzeciej kategorii (tych którzy żywią niechęć lub nienawiść – A.U.).* Cały tekst profesora-doradcy jest zbudowany wokół dwóch przekonań: możliwy jest powrót do stalinizmu; należy temu przeciwdziałać. Dlatego w tekście obok zdań „stalinowskich”: *Istotą demokracji jest przede wszystkim dyscyplina wobec przyjętych uchwał i praw, wobec wybranych władz...* sporo jest apeli, aby usamodzielnic Sejm (i inne instytucje przedstawicielskie), oznaczyć prawną odpowiedzialność PZPR i wystrzegać się odbudowania związków zawodowych jako instytucji rządowej... W polityce mało liczą się szlachetne intencje – oba przekonania Szczepańskiego były błędne. Powrót do stalinizmu nie był możliwy bez współudziału w tym procederze aktywnych mas. Stalinizm wszak od epoki Gomułki i Gierka odróżniała nie tylko skala represji, lecz także skala sterowania i kontrolowania aktywności społeczeństwa. Stalinizm, mówiąc w skrócie, to społeczeństwo periodyczne, „na rozkaz”, poddawane degradacjom (czystki) i awansom (strukturalne zmiany statusów, np. przejście ze wsi do miasta). W 1982 r., jak podejrzewam, w ekipie władzy nie było ani teoretyków, ani praktyków tego procesu. Czy byli – mniej to ważne niż fakt, że stan wojenny był zatrzymaniem, unieruchomieniem społecznej dynamiki, zaś cała problematyczność dalszych kroków sprowadzała się do kwestii, jak uruchomić społeczną aktywność, aby nie odzyskała ona grożącej ponowną destabilizacją dynamiki. Mylił się J. Szczepański i w drugim swoim przekonaniu. Po Grudniu przeciwdziałać realnie tendencjom totalitarnym można było TYLKO w podziemiu – organizując i formując społeczny opór. Gra znowu bowiem szła o „społeczeństwo”, nie zaś o charakter „władzy”.

Na powierzchni zjawisk społecznych totalitaryzm w Grudniu powrócił w postaci zmilitaryzowanej ekonomii, represyjnego prawa, całkowitej instrumentalizacji „urzędowych” grup społecznych. Totalitaryzm, mówiąc językiem Parsonsa, powrócił do instytucji, które miały za zadanie uprzedmieniać całość społecznego życia. Zadanie to architektom stanu wojennego wydawało

się tym prostsze, im silniej wierzyli w zbawczą moc instytucjonalizacji przez przemoc. Przemoc w stanie wojennym miała służyć dwóm celom: rozbiciu społecznych struktur i zbudowaniu w to miejsce struktur innych, totalitarnych właśnie. Taka była polityka ekipy władzy i, co dzisiaj widać wyraźnie, był to wynik błędnego rozpoznania istoty polskiego dramatu.

Istotą okazała się bowiem cywilizacyjna zapaść, nie zaś nadmierna dynamika ekonomicznych i demokratycznych roszczeń społecznych. Powrót do koncepcji *zdyscyplinowanego społeczeństwa działającego na rozkaz* okazał się anachronizmem. Zasadniczym niezrozumieniem tendencji decydujących o przejściu świata z XX w. w XXI. Odpowiedzialność ekipy stanu wojennego za zastój, regres, marazm i martwość struktur jest większa niż za nieprawości, których dokonali wobec setek tysięcy ludzi mundurowi i cywilni funkcjonariusze władzy.

IV. My sami w Grudniu czytaliśmy przede wszystkim prawdę ulicy, pozór i sztafaż uznaliśmy za istotę zamachu stanu. W Grudniu na manifestacyjną próbę powrotu do totalitaryzmu ludzie odpowiedzieli BUNTEM. W czwartek, siedemnastego, w „Ziemowicie” górnicy dowiadują się o masakrze w „Wujku”. Z 30 m specjalny pluton ZOMO, bez strzałów ostrzegawczych (i bez zgody komendanta wojewódzkiego MO), bez sytuacji zagrożenia, krótkimi seriami z rachitycznych automatów P-63 zmasakrował tłum strajkujących górników.

W „Ziemowicie” bunt, który oscyluje między protestem a gniewem; bunt, który jest czymś falującym, grą zbiorowych nastrojów, czymś niekształtnym, przeistacza się – jak mówi jeden z „ziemowiczan” – w przekonanie, że nie ma wyjazdu. *Nie ma szans, dokąd się da, ja stąd nie wyjadę. Będę siedział i zrobię wszystko, żeby inni też potrafili wytrzymać.* To nie był strach przed wyjazdem, że na górze mogą nas też rozwalić, był to wewnętrzny protest, który rodził się we mnie od początku, ale teraz utrwalił się jeszcze mocniej. *Jak to – ludzi zamordowali, górników na kopalni? To jest niemożliwe. Przecież tak nie można. I dlatego obojętnie jak się zakończy nasz protest, musimy wytrzymać, dokąd się da. Po prostu nie można, nie można się z tym pogodzić. Nie zastanawiałem się wtedy, czy my wygramy, czy przegramy, co będzie. Wiedziałem tylko, że nam wyjechać nie wolno³.* Bunt w takiej sytuacji rodzi determinację. *I wtedy właśnie ludzie uznali, że jest takie zagrożenie, że trzeba się bronić wszelkimi dostępnymi środkami.*

I wchodzą do komory materiałów wybuchowych.

Było tego tyle, że można by wysadzić całe miasto. Bunt zrodzony z protestu przeciwko państwowemu terrorowi stanął wobec granic kontrterroru.

Bunt żywi się wszystkim – w tej samej mierze nastrojami jak i racjami; rozpaczą i programem; zniechęceniem i afirmacją. Tyle tylko, że z każdego z tych źródeł rodzi się coś odmiennego: opór, terror, rewolucja. Bunt, który nie może przekroczyć granic PROTESTU, rozpływa się w swoich niemożnościach. Jedną z nich ma charakter **POLITYCZNY**. W Grudniu bunt był w IMIĘ CZEGOŚ (wartości, godności, przywiązania do przywódców i „Solidarności”), w mniejszym zaś stopniu był buntem o COŚ. Wśród strajkowych postulatów nie było ani politycznych, ani rewindykacyjnych postulatów Związku. Grudniowy protest miał swój fundament ideowy, w pewnym sensie tożsamy z ideałami strajku sierpniowego. Był to bunt w imię powrotu do stanu społecznego konsensusu. Rzecz w tym, że zmieniła się sytuacyjna rama. Państwo, które w Sierpniu paktowało, w Grudniu strzelało. Ta zmiana decydowała o tym, że w Grudniu obok buntu-protestu rodził się także bunt innego rodzaju. Taki, w którym nie chodziło już tylko o powrót do Sierpnia, lecz głównie o zmianę status quo. Tę różnicę pogłębiał, już w podziemiu, spór o związkowość i polityczność grup identyfikujących się z „Solidarnością”.

Bunt sierpniowy był inny. Początkował go wprawdzie również protest – przeciwko sytuacji ogólnej, zwolnieniom nieformalnych przywódców, niskim płacom, arogancji zakładowej administracji... ale inne były wówczas mechanizmy osobistej identyfikacji. W Sierpniu przyłączano się do innych, zrównanych w uprzedmiotowieniu, zrównanych wobec sytuacji bez perspektyw. W Sierpniu protest był polityką, był instrumentem służącym otwarciu systemu. W Grudniu okazało się, że wojnę wypowiedziano wszystkim i każdemu z osobna; że być Polakiem znaczy żyć w złym państwie; że mieć rację nie oznacza wiele.

W Sierpniu „Solidarność” odwoływała się do rodzącej się wspólnoty, która **CZEGOŚ CHCE**. *Jak wezbrana fala na wzburzonym morzu, zaczęliśmy się wlewać nie kończącym się strumieniem ludzkim na cechownię, która jasno oświetlona, jakby czekała na nas – notował jeden z górników.* Sierpień to były tysiące postulatów spisanych przez ludzi, którzy nie mieli wcześniej prawa ujawniać swoich problemów. W Grudniu powtarzaliśmy postulaty doskonale już wszystkim znane. U podstaw sierpniowych **PROJEK-**

³ Po nadejściu wiadomości z „Wujka” stwardnienie postaw było ogólne. Pamiętam dziesiątki rozmów z ludźmi rodzącej się wówczas w Warszawie konspiracji, których wspólnym motywem było jedno – trzeba się bronić, oni nas będą mordować. W „Ziemowicie” nastroje również były gorączkowe. Kiedy rozchodzi się o ZOMO zdobywają sąsiedniego „Piasta”, 6 górników wyrusza sztolniami obwiązawszy się materiałami wybuchowymi. Ale po drodze determinacja opada, głoszą, że woła trafić do więzienia niż dokonać samobójczego wybuchu.

TÓW ZMIAN leżały przede wszystkim kwestie wewnątrzzakładowe, lokalne, choć dopiero w analizie okazywało się, że to co lokalne ma charakter uniwersalny. Tak było z krzyżami wieszanymi w fabrycznych halach; tak – z obrazami św. Barbary, które mocowano w górniczych cechowniach. Wszystkie te projekty dysponowały **POLITYCZNĄ** ramą, odpowiednią dla tamtej sytuacji – ramą tą było 21 postulatów. Rodząca się od września 1980 r. „Solidarność” napotykała na swej drodze zakładową administrację, zakładową POP i kadre starych związków. Wprowadzenie stanu wojennego powodowało, że każdy bunt – jednostkowy i zbiorowy – musiał bezpośrednio na swej drodze potykać się z PAŃSTWEM.

V. Żadne wydarzenia nie dają się sprowadzić do jednej jedynej interpretacji. W zapisie tworzą co najwyżej dynamiczną siatkę pojęć, które powinny mieścić w sobie zarówno nasze przekonania jak i ich przeciwieństwa, czyli przekonania naszych przeciwników. Grudzień w tej materii wydaje się nadzwyczaj klarowny – sądy i działania ludzi władzy i ludzi oporu bez trudu sytuują się na swoich biegunach. W tym układzie „ja” jestem przeciwieństwem „ich” („onych”), „oni” są przeciwieństwem „nas”. Symetria czasami dobrze służy myśleniu, zazwyczaj jednak słabo służy rzeczywistości. Polityka nie jest zaś na pewno geometrią. To wiedząc podejrzewam samego siebie – tego z Grudnia, kiedy prowadziłem jeden z lokalnych strajków – o jakąś niedokończoność lub nadmierną skrótowość. Kiedy sięgnąć bowiem poza grudniową oczywistość i naocność – czołgi, pałki, mundury – ujrzeć da się podwójność opozycyjnego doświadczenia. Ludzie dotychczas działający **POZA PAŃSTWEM** w zróżnicowanym ruchu odzyskiwania podmiotowości nagle stanęli **WOBEK PAŃSTWA** w jego skondensowanie represyjnej postaci. Ci sami ludzie, którzy podjęli się po Sierpniu naprawy państwa za pomocą jednego dekretu, okazali się być **PRZECIW PAŃSTWU**. Rzecz jasna nie mówię teraz o demagogii i retoryce, w jakiej specjalizowali się państwowcy w służbie komunizmu. Mówię o pewnej **FAKTYCZNOŚCI**, jaka stała się naszym udziałem po 13 grudnia 1981 r. Zauważmy, że te same czynności, te same postawy, to samo myślenie między wiosną 1980 a wiosną 1982 nagle stało się czymś innym. Zamach grudniowy **PRZENIÓSŁ** nas w inny wymiar społecznej rzeczywistości. Niezależne wydawnictwa przed Grudniem uzupełniały cenzurowany i schizofreniczny państwowo-partyjny ruch wydawniczy. Nie były jednak skazane na zwalczanie tego rynku. Być wykładowcą lub słuchaczem Towarzystwa Kursów Naukowych znaczyło działanie w enklawie niezależności i swobody, nie oznaczało jednak konieczności odebrania uniwersytetów władzy. Myślenie kategoriami prawdy nie niesło za sobą

obowiązku walki o upowszechnienie tej prawdy wobec całego narodu. Masowość „Solidarności” była oczywiście jakimś zobowiązaniem – etycznym i intelektualnym głównie – ale dopiero grudzień 1981 uczynił to zobowiązanie czymś więcej – ustanowił je na płaszczyźnie konfrontacji z państwem i walki o państwo. Przyznać należy, że stało się to bez naszego udziału. Było to jedno z WYMUSZEŃ, które przynosił ze sobą – zapewne wbrew intencjom jego autorów – grudniowy zamach. Ujawniał to, co zamazywała ugoda sierpniowa – że polski problem jest na wskroś polityczny i całościowy. To w planie generalnym. Jednostkowo, każdego zapewne inaczej, grudniowa agresja ZWOLNIŁA z podstawowego obowiązku obywatelskiego – lojalności wobec państwa i legitymizmu dla władzy.

Państwo po raz kolejny – jak sądzimy – miało się stać totalitarnym Lewiatanem gwałcącym naszą człowieczeń, pracowniczą, obywatelską i narodową podmiotowość. Władza – tak sądziło wielu – była przebrana w rodzime mundury zgrają obcych agresorów. Jak dominujące były to przekonania, świadczą więziennicze teksty Adama Michnika i publicystyka radykałów z podziemnej „Niepodległości”, rozważnych autorów paryskiej „Kultury” i kazania obywatelskich kapłanów. To były przekonania wielu zwykłych ludzi – tak zapamiętałem rozmowy w kolejkach, lckarskich poczekalniach, tramwajach i niezliczonych mieszkaniach. Tak zapamiętano ten czas w licznie spisywanych wspomnieniach.

1982 był rokiem całościowego kryzysu PRL, jeżeli patrzeć oczyma społeczeństwa. Kryzysu niespotykanego w dziejach Niepodległej. Opozycja przed wrześniem 1939 r. rozgraniczała ówczesne elity władzy od niezbywalnej wartości państwa, co owocowało w sytuacjach zagrożenia konsensusem opozycji i rządu. Sens ówczesnego państwa kwestionowali tylko komuniści. W 1982 r. naród zakwestionował strukturalnie władzę polskich komunistów. Ale rewolucja – do której wzywało wielu, wśród nich nawet Jacek Kuroń – nie wybuchła. 10-milionowa armia dała się pokonać nicomal w milczeniu. Bunt pozostał protestem, czyli niby-buntem. Narodziło się natomiast u końca XX w. w nowocześniejszym państwie, PODZIEMIE.

Wiele jest zapewne odpowiedzi na pytanie – dlaczego tak się stało? Każda z nich powinna uwzględniać wewnętrzną historię „Solidarności”. Związek nie miał wyrazistej tożsamości. W interesującej mnie w tym szkicu perspektywie państwa dominowały dwie koncepcje. Pierwsza mówiła o „Solidarności” jako instrumencie uspołecznienia konkretnego państwa, PRL (program KOR-u i tej formacji idcowej), druga kreowała „Solidarność” jako kontrapaństwo (wersja fundamentalistów różnych nurtów ideowych).

VI. Wolę mówić za siebie.

Stan wojenny tak w wymiarze retoryczno-teatralnym jak i w zamiarze socjotechnicznym miał być powrotem do lat czterdziestych. Powrotem do „źródeł” PRL i jednocześnie – czego propaganda nie ukrywała – powrotem do sytuacji wojny domowej. Sytuacji, która w innym języku daje się opisać poprzez model: **DWÓCH POLAKÓW MAJĄCYCH DWIE RÓŻNE OJCZYZNY**. Dla obozu władzy był to konstrukt ideologicznie krystaliczny, gdyż cała komunistyczna tradycja – polityczna i światopoglądowa – właśnie w wojnie domowej ma swój źródłostów. Rewolucja, poza wszystkim innym, jest wszak *sporem domowym*, jest walką wewnętrzną, walką dwóch w pewien sposób podobnych sił o to samo – o państwo.

Dla tradycyjnej myśli polskiej sytuacja „dwóch Polaków – dwóch ojczyzn” okazała się szalenie niewygodna. Historycznie wypracowany sposób rozstrzygania tego problemu sprowadzał się do kwestii narodowej zdrady, apostazji, renegactwa i zaprzaństwa. Inaczej mówiąc albo się było Polakiem, gdyż pragnęło się niepodległości ojczyzny, albo się Polakiem nie było, za cenę wyrzeczenia się ojczyzny. Wzór „myślenia pod zaborami” okazał się niepomniernie trwalszy niż żywa pamięć zaborów. Wzmacniało go bolesne doświadczenie różnych okupacji lat 1939–45 i wzmacniał niepodważalny fakt zainstalowania „ludowej” władzy w 1944 r. dzięki sowieckim bagnatom. Rzecz w tym tylko, że wszystkie pozostałe elementy „rzeczywistości pod zaborami” i codzienności PRL okazały się radykalnie inne. Nacjonalizm rosyjski zastąpiono komunizmem, monarchię – totalitaryzmem, rusyfikację – sowietyzacją i sprawa najważniejsza – nowa władza potrafiła stworzyć swoją bazę społeczną. Symbolicznie rzecz opisując byli Polacy, którzy powoływali się na Lenino, reformę i awans społeczny oraz Polacy odwołujący się do Monte Cassino, PSL i politycznego pluralizmu. Jak w „Emigrantach” Mrożka jedni cierpieli z braku wolności, a inni gromko twierdzili, że mają wolności aż za dużo. Bywało, że ludzie, którzy przeszli przez te same zsyłki i tagry, po wojnie stanęli zbrojnie naprzeciwko siebie.

W latach czterdziestych o losie Polski decydowała polityka globalna. Dla pozostającego wówczas w konspiracji Pawła Jasienicy polityczność tamtej sytuacji była wyrazista: *Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut polityczny w ręku „polskiego Londynu”, który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie. W lipcu 1945 dowiedzieliśmy się, że mocarstwa przestały uznawać „polski Londyn”. Coś w rodzaju kompromisu osiągnięto, a my pozostaliśmy w lesie... bez żadnych wskazówek.*

Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. W grudniu 1981 sytuacja geopolityczna była identyczna jak w 1945. A jednak zeszlśmy w podziemie. Nie byliśmy uzbrojeni, nawet w namysł nad zadaną nam sytuacją. Sierpień nie przygotował nas do tego typu doświadczenia – ani teoretycznie, ani tym bardziej praktycznie. A jednak w całym kraju zaczęły powstawać załążki nielegalnego, alternatywnego życia. Pozostające w mniejszości do społeczeństwa zmuszonego do uczestniczenia w całej publicznej sferze życia, ale będące jednocześnie dla tego społeczeństwa swoistym ideowym zapleczem. W podziemiu toczył się spór o kształt, formę i ideowość tego zaplecza. O to, do czego społeczeństwo będzie mogło się odwołać, kiedy już zostanie odblokowana sytuacja polityczna. Programowe spory podziemnych i emigracyjnych środowisk ujawniły zadziwiającą wielorakość sądów, przekonań i wartości, do których się odwoływano lub o które apelowano. Spierano się o programy i organizacyjne formy, lały się potoki politycznych słów, które w niczym nie mogły skaleczyć samej sytuacji „politycznego pata”, jaki nastał między władzą a „Solidarnością”, Wschodem a Zachodem, państwem a społeczeństwem. Państwo było złe, ale na jego straży stało wielkie supermocarstwo. Polityczny los był nieubłagany, jeżeli rozpatrywać go tylko w kategoriach politycznych.

W czas załamania, przegranej, narzuconej przez los (wydarzenia) ogólnej niemożności jako posłaniec i fatum, i nadziei pojawia się historia Polski. Pojawia się na wiele sposobów. Jako garderoba kostiumów – postaw i myśli. Jako narodowe misterium i sposoby analizowania społecznego działania. Wreszcie jako uzasadnienie polskiego losu i polskiej polityki tak wobec rzeczywistości jak i Boga. I sprawa nie dotyczy wyłącznie elit. Tak patrząc daje się opisywać sensownie całe społeczeństwo. Społeczeństwo, które w czas ostrego, narzuconego przez wydarzenia wyboru dokonywało i dokonuje w sobie asymilacji całego spektrum. W tym sensie jest to społeczeństwo całkowicie „normalne”, a znaczy to, że zachowujące się zgodnie z socjologicznymi normami instytucjonalizowania się wedle możliwości konkretnej społecznej organizacji. Rzecz w tym, że „historycznie” rozkład tych instytucjonalizacji (w zgodzie z narzuconym modelem, przeciw temu modelowi, obok tego modelu) jest nam znany wyłącznie poprzez ideologiczny przekaz. Formę tego przekazu przypadło tworzyć romantykom, pierwszemu pokoleniu, które niewolę zastało gotową. Wywiązali się z tego zadania na tyle przekonująco, że owa Forma Polska stała się przesłaniem zobowiązującym kolejne pokolenia. Pokolenia sytuacji niemożności rozstrzygnąć politycznych. Grudzień zmuszał nas do opowiedzenia się wobec tej ciągłości polskiego losu. Wobec polskiego pytania – jak powiedzieć Historii NIE! Powiedzieć NIE wbrew wszystkiemu: geopolityce, logice sił, brakowi szans i jas-

nych politycznych alternatyw. Grudzień zmuszał nas, by wybrać, jakie to będzie NIE. Bywały bowiem w naszej historii „nie” realistyczne i idealistyczne, emigracyjne, ugodowe i zaprzeczne, bywało również „nie” apostazi.

VII. Grudzień przywracał nam CZUCIE Historii. Tej Historii, którą edukacja w totalitarnej szkole życia zamieniła w schizofreniczne rozumienie *żelaznych praw*. W ciągu jednej nocy, jak w wielkim teatrze, zmieniono dekoracje, aktorów i scenariusz. Bohaterowie znaleźli się w więzieniach, oprawcy paradowali ulicami, sprzedajne kreatury obdarowywały ich kwiatami, a Lud milczał. Ktoś mniej wyczulony na niezmiennie prawidła karnawału mógł dostrzec TYLKO grozę, teatr cieni, mroczną moc zła. Ale dla ludzi z pokolenia po Gombrowiczu nieodparty był w tym wszystkim element przenikającej rzeczywistość groteski. Jak w „Balu manekinów” Bruno Jasińskiego wielki uzdrowiciel nagle spróbował wskrzesić martwą strukturę swego panowania. Galwanizowano azjatycki rytuał, lokajski obyczaj, drętwy słowotok patriotyczny. Tę sztukę i te przemówienia pisał znakomity grafoman, ale w tym teatrze grali swoje role żywi i normalni ludzie.

Jeszcze w 1983 r. spotkałem w więzieniu przy Rakowieckiej byłego ormowca, który mimo przynależności do „Solidarności” został zmobilizowany i pilnował koksownika na jednej z głównych ulic miasta. Aresztowany rok później za próbę powieszenia w hali zakładowej stalowej pętli – na której, jak twierdził prokurator, zawisnąć mieli zakładowi partyjni – pokazywał nam akt zatrzymania z wpisaną wyraźnie datą popełnienia czynu – 1 kwietnia. Ta zawieszona przez byłego pacyfikatora-robotnika-solidarnościowca pętla *wymierzona we władzę ludową* i ta reakcja prokuratora, który uruchamia cały aparat represji, aż po najgroźniejsze Ministerstwo Policji, stały się dla mnie od tamtej pory skrótem pewnej ogólnej MISTYFIKACJI. Stan wojenny był wojną naprawdę, ale i wojną na niby jednocześnie. Historia ruszyła z miejsca, ludzie coś ze sobą robili i coś robiono z nami, ale i to, co robiono i to, co sami robiliśmy, to były przede wszystkim pewne FORMY zachowań, postaw, gestów. Dramat, prawdziwy dramat tamtych miesięcy rozgrywał się gdzie indziej. Nie między władzą a „Solidarnością”, policjantami a rebeliantami, PZPR a narodem, ale głębiej, niepomniernie głębiej. W fundamentach obecnej kultury polskiej. Między patriotyzmem a socjalizmem, polityką a religią.

Można w tym miejscu wrócić do Abramowskiego, Brzozowskiego, Zdziechowskiego lub Znanińskiego. Można, gdyż nie był to dramat nagły ani tym bardziej nowy. Co więcej, był on po wojnie świadomie zapominany, kneblowany, cenzurowany. Stale, od początku XIX w. obecne w Polsce napięcia między rozwojem

społeczno-kulturowym a zastojem politycznym doczekały spotkania z totalitaryzmem. Z XX-wieczną ideą rozstrzygania napięć wszelkiego rodzaju siłą. I tak jak rok 1918 był obok wszystkich innych euforii także *radością z odzyskania własnego śmietnika*, tak grudniowy zamach był w podobnej skali utratą pewnej niewinności – Polski, Polaków, nas samych.

Nie jest celem tego tekstu opisywać, jak to się stało ani dlaczego; że Grudzień zastał nas nie przygotowanych. Zrealizowany w totalitarnym projekcie sojusz rozumu i siły, kłamstw i mass-mediów, psychosocjologa z policjantem, inżyniera społecznego z czołgiem owocował takim, a nie innym społeczeństwem. Społeczeństwem, które po Sierpniu uznało, że słowa „prawda”, „wolność”, „sprawiedliwość” nie wymagają żadnego innego uzasadnienia poza ich substancjonalnością. Ze wystarczy jednym, 10-milionowym głosem wyrzec „stań się” i oto dokona się wielka przemiana. Tak patrząc – czyż „Solidarność” nie była ostatnim dziecięciem romantycznego uniesienia polskiej kultury? A kiedy *świętu wyzwolonych słów* przeciwstawiono czołgi, karabiny, pałki – oniemieliśmy. Te antynomie warto zapamiętać: prawda – czołg, wolność – karabin, sprawiedliwość – pałka.

W Grudniu polski świat powrócił do NORMY. Brat strzelał do brata, Polak do Polaka – tak demistyfikował się mit nacjonalny. Robotnik pacyfikując robotnika obalał mit socjalny. Wierzący przesłuchujący wiczącego podważał sens religijnych podziałów politycznych. Esteta opluwający w telewizji estetę – mit intelektualnego braterstwa. A tak się właśnie stało. Po latach propagowania *narodowej jedności*, i po 16 miesiącach solidarności.

Był Grudzień powrotem do sytuacji dla polskiego myślenia typowych, lecz jednocześnie nim nie był. Pamiętać trzeba, że na scenie publicznej znalazło się nagle całe społeczeństwo. Rankiem 14 grudnia, kiedy ludzie jechali do pracy, każdy musiał sobie coś powiedzieć. Nie wiemy co, ale wiemy, że powstanie tym razem nie wybuchło. Strajk generalny nie zaczął się. Otwarta księga naszej historii nie wymusiła na nas takiej repetycji. Wybór między legalizmem lub irrendentą – tak oczywisty dla naszych dziejów – okazał się albo nieprawdziwy, albo my niegotowi, by udzielić jakiejś jasnej, jedynej odpowiedzi.

Dla wielu podziemnych publicystów był to jeden z efektów zniwolenia, długoletniej sowietyzacji. Pisano, że kiedy stanął przed nami wybór rewolucji – przeistoczenia tego, co było rewolucją samoograniczającą się w rewolucję prawdziwą – zawahaliśmy się. I generałowie partii uderzyli w próżnię. Historyk notuje: *I w powstaniu styczniowym, i w powstaniu listopadowym bazą pewnych decyzji był ogólny nastrój społeczeństwa.* [W „Ziemowicie”] Z

dwóch tysięcy dwustu, którzy podjęli na dole akcję protestacyjną, do dnia ostatniego pozostało około tysiąca dwustu.

Ci ludzie liczyli na to, że jak oni zastrajkują, to cała Polska też musi zastrajkować.

Byli tego pewni. Masa ludzi była o tym święcie przekonana. Grudniowy wybór ujawniał solidarność nie jako ideologię lub organizację, ale jako jedną z pierwszych naturalnych zasad życia zbiorowego. Rekonstruował to, co z takim uporem niszczy każdy totalitaryzm. Poddawał tę solidarność próbie.

Tak rozumiem konieczność Grudnia w naszych biografjach. Grudnia właśnie, a nie Sierpnia. Grudnia, gdyż klęska jest dopiero właściwą miarą mojego „ja”. Miarą prawdziwą, jeżeli będziemy pamiętali, że życie nie ogranicza się do jednej tylko klęski. Tamten trzynasty nie jest ostatnią datą w polskich życiorysach. I przed nikim nie jest zamknięta droga wyboru. Jedno jest najważniejsze – aby wybór był dokonany. To jest nieusuwalny jak na razie składnik polskiego etosu od dwustu lat. Ci, którzy się łudzą, że Historia nie zastuka do ich drzwi, mylą się, jak omyliły się już miliony poddanych najdzikszym represjom bez żadnego z ich strony wyboru. Historia nie jest personalna i w tym jest jakaś sprawiedliwość. Fakt, że bywa pozbawiona sensu, jest zasługą tych, którzy się na to godzą. Pokora jest właściwa wobec innych ludzi. Wobec Historii trzeba być hardym. Trzeba chcieć ją zmieniać, aby ona nie mogła dowolnie zmieniać nas.

Andrzej Urbański

Bojkot? – Tak

Małgorzata Szejnert, *Sława i infamia. Rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim*, „Aneks”, Londyn 1988; *Komedianci. Rzecz o bojkocie*, oprac. Andrzej Roman, „Prawy Margines”, Warszawa 1989.

Książki, o których chcę napisać, nie traktują o teatrze wprost, choć teatr zajmuje w nich wiele miejsca. Ukazały się w krótkim odstępie czasu, dotyczą podobnych spraw i podobnego okresu. Myślę więc, że usprawiedliwione będzie ich łączne omówienie.

Pierwsza z nich jest zapisem rozmowy M. Szejnert z Bohdanem Korzeniewskim, nosi tytuł „Sława i infamia” (zob. „Nie ma granic dla szukania prawdy o sobie”, „PP” 12/1988). Londyńskie wydanie tej książki zostało uzupełnione o rozdziały dotyczące lat najnowszych, mniej więcej do połowy lat osiemdziesiątych. Zajmę się tu przede wszystkim tymi właśnie rozdziałami. Druga książka nosi tytuł „Komedianci”. Jest zbiorem wypowiedzi i rozmów z ludźmi teatru, skoncentrowanych wokół aktorskiego bojkotu środków przekazu i propagandy, zwłaszcza telewizji i radia, podczas stanu wojennego. Wiele miejsca zajmują w niej również refleksje i wspomnienia z 16 miesięcy poprzedzających tę dziwną i długą wojnę, zakończoną dopiero niedawno traktatem pokojowym przy „okrągłym stole”.

Z jednej strony mamy więc opinię człowieka, który obserwował reakcje i postępowanie środowiska teatralnego z bliska i jednocześnie z pewnego dystansu. W latach osiemdziesiątych B. Korzeniewski znacznie już ograniczył swoją zawodową aktywność, pozostawał jednak i pozostaje do dziś jednym z niewielu niekwestionowanych autorytetów tego środowiska. Zaświadczają o tym także liczne wypowiedzi w „Komediantach”. U Korzenia, jak nazywają profesora koledzy i uczniowie, szukano rozstrzygnięcia wielu wątpliwości i problemów. Z drugiej strony mamy w miarę reprezentatywny (bo wypowiadają się także przeciwnicy bojkotu) zestaw opinii ludzi bezpośrednio zaangażowanych w życie teatralne, działalność społeczną w ZASP, później w pomoc internowanym i przedstawienia w salach katechetycznych, ale także tych, którzy organizowali nowy ZASP i nie zrezygnowali z występowania w telewizji. Można zatem powiedzieć, że obie książki wzajemnie się uzupełniają i komentują.

Omawiając krajowe wydanie „Sławy i infamii” uznałem ją za próbę określenia tożsamości polskiej inteligencji poddanej doświadczeniu realnego socjalizmu, a także za swoisty rozrachunek ze stalinizmem. Wprowadzenie stanu wojennego, użycie siły

do rozwiązania problemów politycznych nie było niczym innym jak zastosowaniem metody stalinowskiej. Okazała się ona jednak nawet na krótką metę mało skuteczna. Odmienne były warunki zewnętrzne i wewnętrzne. Pojawił się też inny czynnik, którego znaczenia nie sposób przecenić – powszechny społeczny sprzeciw, który wyrażał się przede wszystkim w odmowie uczestnictwa, w bojkocie oficjalnych instytucji, w bierności dużej części społeczeństwa wobec politycznych i gospodarczych poczynań władzy. Skutki takich form protestu nie zawsze da się jednoznacznie ocenić jako pozytywne, nie można jednak zaprzeczyć, iż to one doprowadziły do znacznych koncesji władzy na rzecz społeczeństwa.

Wycinkiem tego zjawiska, chyba najbardziej spektakularnym, był aktorski bojkot telewizji i radia. Inne formy protestu można było stłumić, można było blokować informacje (obie te metody skwapliwie stosowano), nagle nieobecność znajomych twarzy trudno było zatuszować powtarzaniem archiwalnych taśm, tym bardziej że i w archiwach dokonywano czystek.

Źródłem takiej postawy aktorów wobec stanu wojennego zarówno B. Korzeniewski jak i wielu „komediantów” upatruje w latach siedemdziesiątych, kiedy to artyści spełniali liczne dworskie funkcje. W PRL – po raz pierwszy w polskiej historii, dopowiada Korzeniewski – aktorzy zasiadali w takich gremiach, jak Sejm czy KC PZPR.

Po dzienniku, w którym co i raz wykonywano plan przed terminem, łała się stal, przycinano wstęgi i oddawano do użytku, w każdy poniedziałek pojawiała się plansza Teatru TV. Aktorzy nie uczestniczyli bezpośrednio w „propagandzie sukcesu” (jeśli nawet, to nieliczni), ale używali telewizji swoich twarzy, w jakiejś mierze uwiarygodniali inne, nieartystyczne programy. To nie zarzut, to opis stanu, który wraz z doświadczeniem „Solidarności” wywarł ogromny wpływ na świadomość środowiska teatralnego.

Przyczyna bezpośrednia była aż nadto oczywista. *Kto pamięta (a któż by nie pamiętał!) Warszawę pierwszych dni stanu wojennego – pisał w „Komediantach” Zygmunt Hübner – ten przyzna, że odmowa przekroczenia pilnie strzeżonej bramy wiodącej na teren telewizji, poddania się upokarzającej procedurze oczekiwania na mrozie na przepustkę i kolejnym kontrolom, była odruchem tak naturalnym, tak oczywistym, że doprawdy z podziwem należy patrzeć na tych, którzy jej nie ulegli.*

Sprzeciw wobec stanu wojennego, wobec represji, podeptania ludzkiej godności, stłumienia nadziei był motywem najogólniejszym; przytaczają go niemal wszyscy „komedianci”. Niektórzy doszukują się przesłanek odmowy w całej historii PRL, traktując stan wojenny jako sytuację szczególną, ale przecież konsekwentnie wynikającą z systemu. Powszechność sprzeciwu w środowisku teatralnym brała się także z ogromnego zaangażowania w działalność

„Solidarności”. ZASP jako jedyne stowarzyszenie twórcze zgłosił zbiorowy akces do nowego związku zawodowego.

W „Komediantach” okres „Solidarności” wspomina się z reguły w sposób wyidealizowany. Najgrubszą rysę na tym gładkim obrazie stanowi „Solidarność” teatralna, w której do głosu doszli „halabardnicy” i domagali się traktowania na równi z aktorskimi znakomitościami.

B. Korzeniewski widzi ten okres nieco inaczej. Ogromne wrażenie wywarły na nim opowieści o występach aktorów Teatru Wybrzeże w Stoczni Gdańskiej, gdzie strajkującym czytano wielką poczęt narodową, m.in. „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”. *Zuciechą patrzyłem, po czyjej stronie staje inteligencja – mówi B. Korzeniewski. – Ta inteligencja wywodząca się ze szlachty /.../ Otóż teraz inteligencja przyłączyła się do powstania, które po raz pierwszy w naszych dziejach nie było kierowane przez szlachtę i nie wyrastało ze szlacheckiej tradycji, a jego mądry program służył ogółowi. Byliśmy świadkami poszerzenia się pojęcia narodu. Uderzyła mnie myśl – nie trzeba już zadawać sobie pytania, dla kogo będzie przeznaczony Teatr Narodowy, ten teatr, który stawia sobie za cel wyrażanie narodu. Teraz już wiadomo, że będzie miał z kim rozmawiać. Pozostawało natomiast pytanie – czy będzie umiał? Wątpliwości, jak się okazało, były uzasadnione: Spodziewałem się sejmku, a oni urządzali sejmiki. /.../ Spodziewałem się dyskusji o ważnych sprawach teatru, tymczasem sejmikowano o tysięcznych drobiazgach, pośród chaosu i egzaltacji.*

Obudziły się skrywane od lat animozje personalne. Niektóre zespoły pozbywały się dyrektorów. Załatwiano małe sprawy, zapominano o wielkich. Reformowano ZASP, zapominano o reformie teatru. Swemu rozczarowaniu takim obrotem spraw Korzeniewski dał wyraz w przemówieniu na Kongresie Kultury Polskiej 11 XII 1981 r.: *Uważałem, że teatr ukazał w ciągu tych szesnastu miesięcy swą niedojrzałość. Nie dość, że zachował sztywną, biurokratyzowaną strukturę, ale nie zdobył się nawet na to, by stworzyć choć jedną scenę nowego czasu.*

Zdaniem rozmówcy M. Szejnert wtedy właśnie powstała nie-zwykła, kto wie czy nie niepowtarzalna szansa na dotarcie z teatrem do robotników. Mogło się zrealizować nie spełnione dotąd marzenie wielu pokoleń twórców, także marzenie tej formacji inteligencji, której Korzeniewski jest wybitnym przedstawicielem. Warto przytoczyć tu chociaż fragmenty długiego passusu poświęconego temu problemowi, przed którym staną także następne pokolenia myślących artystów: *Myślałem o takim eksperymencie bardzo śmiałym, który by wprowadził na scenę robotników z Woli. Wszystkie role poza głównymi, wszyscy statyści, których w „Dziadach” potrzeba tak wielu, mogliby pochodzić z wolskich zakładów pracy. To by byli ci robotnicy, którzy drukowali potajemnie wiersze*

Władze odwołały dyrektorów kilku teatrów, wbrew teatralnym zwyczajom czyniąc to w środku sezonu. Zespoły zostały rozbite, sztyldy przestały oznaczać to, co znaczyły dotychczas, a na co pracowano przez długie lata. Teatr Narodowy udowadnia, że artystyczne dno znajduje się głębiej, niż nam się zdawało. Warszawski Teatr Dramatyczny z trudem wydobywa się z zapaści i daleko mu jeszcze do dawnej świetności. A przecież to samo nastąpiło we wrocławskim Teatrze Współczesnym po odwołaniu Kazimierza Brauna (w „Komediantach” opublikowano bogatą dokumentację społecznych starań o ten teatr) i w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, który Mikołaj Grabowski zaczynał wyprowadzać na prostą i starania te zostały niefrasobliwie przekreślone. Również poza większymi ośrodkami dyrektorska karuzela przyspieszyła biegu.

Najbardziej bezkompromisowy i najrzetelniejszy rachunek zysków i strat bojkotu przeprowadził w „Komediantach” Z. Hübner. Wskazał na podziały wywołane przez bojkot: na „solidarnościowców” i „kolaborantów”, na „stolicę” i „prowincję”. Ten ostatni podział został wywołany po części przez telewizję, która próbowała pustkę w swym teatrze zapełnić przeniesieniami spektakli teatrów „prowincjonalnych”. Trudno zapominać również o ogromnej większości widzów, którym telewizja dawała jedyną okazję kontaktu z teatrem.

My w Warszawie – pisał Z. Hübner – mamy spaczoną optykę, pławimy się jak pączki w maśle pochwał przyjaciół i klaskaczy. /.../ Oni, widzowie, też przecież nie pochwalają stanu wojennego i właśnie dlatego chcieliby się spotkać z przyjaciółmi po drugiej stronie ekranu, aby podtrzymać więź trwalszą niż doraźne klęski polityczne.

Z. Hübner zwrócił także uwagę na rezultat bojkotu, jakim stały się chałtury. Aktorzy poszukiwali dodatkowych zajęć, a nie zawsze były to przedsięwzięcia ambitne, choć przecież trzeba oddać sprawiedliwość tym, którzy swe pozateatralne występy traktowali z całą rzetelnością, artystyczną i ideową.

Z. Hübner nie ulegał emocjom, gdy pisał o bojkocie, a mimo to w jego wypowiedzi znalazły się takie zdania: *Artysta, który wyrzeka się obrony racji moralnych na forum publicznym (prywatnie niech sobie będzie ostatnim łajdakiem) i opowiada się po stronie ciemniaków, traci autorytet, przegrywa jako artysta właśnie. Wygrywając racje moralne, zyskuje szacunek społeczny. /.../ A więc chłodno i bez sentymentów: bojkot? – Tak. Nawet za tę cenę, którą przyszło zapłacić? – Chwila namysłu i mniej już stanowcze, lecz przecież: tak.*

Trzeba podkreślić, że to, co można wyczytać w „Komediantach”, to uzasadnienia formułowane post factum, to próby racjonalizacji emocjonalnych decyzji w chwili, kiedy emocje już opadły i wprawdzie pozostały urazy, lecz także pojawiła się możliwość i

chęć ponownego uczestnictwa. *Spostrzegam, że ludziom teatru coraz trudniej przechodzi przez gardło słowo „bojkot”, gdy wracają pamięcią do wydarzeń roku 1982 – raz jeszcze przytaczam słowa Z. Hübnera. – Nie pojmuję czemu. Czyżby bojkot zbyt jednoznacznie kojarzył się z akcją polityczną, artyści zaś woleliby termin z pogranicza etyki? Nieśluszenie. „Komedianci” używają takich słów, jak „nieobecność”, „odmowa”, „wstrzemięźliwość”. Bojkot? Nie, to brzydkie słowo. A. Szczepkowski powiedział nawet, /.../ że takie właśnie określenie zjawiska nieuczestnictwa aktora w kontrakcie DOBROWOLNYM (podkr. – A. Sz.) pachnie absurdem! To określenie z jego agresywnie pejoratywnym wydźwiękiem, potrzebne było do stworzenia presji i przymusu tam, gdzie zawsze panowała pełna swoboda w przyjęciu lub odrzuceniu propozycji jednorazowej współpracy. Przyznam, że nie rozumiem takiego stanowiska. „Bojkot” to nazwa pewnego faktu społecznego, pozbawiona pejoratywnego wydźwięku, podobnie jak np. „strajk”. Według znanych mi definicji słownikowych określenie „bojkot” znakomicie odnosi się do kontraktu dobrowolnego. Rozumiem niechęć do słowa nadużytego w propagandowej nagonce, ale jednocześnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że przez unikanie go pomniejsza się znaczenie zjawiska bojkotu.*

Zarówno w „Komediantach” jak i ostatnich rozdziałach „Sławy i infamii” ważna jest warstwa dokumentalna, informacyjno-opisowa. Jej wartość będzie zresztą rosła z upływem czasu. Obok opisów represji, działalności społecznej, charytatywnej znajdujemy wiele informacji o działalności artystycznej pod patronatem kościelnym, indywidualnych przedsięwzięciach twórczych, Teatrze Domowym. Te formy życia teatralnego zasługują zresztą na solidną dokumentację i monografię, o co wypadałoby zaapelować do historyków teatru. Najbogatsze archiwum znajduje się zapewne w MSW zamiast w Instytucie Sztuki, więc na razie pozostanie trudno dostępne. Również B. Korzeniewski odsłania tajemnice wielu wydarzeń, w których brał udział, m.in. spotkania ówczesnego wicepremiera Rakowskiego z przedstawicielami środowiska teatralnego w październiku 1982 r.

Pominałem te sprawy, co nie znaczy, że je lekceważę. Wydaje mi się jednak, że to, o czym pisałem, jest ważniejsze ze względu na dzisiejszy krytyczny stan polskiego teatru. Dziś znów nie potrafi on zareagować na budzącą się z uśpienia rewolucję. Znów staje się aktualne pytanie B. Korzeniewskiego o „Dziady”. Teatr dla robotników jest złudzeniem bardziej niż kiedykolwiek. Warunkiem istnienia, przetrwania teatru staje się reforma jego instytucji. Teatr musi się przekształcić, nie zapominając ani o pozytywnych, ani o negatywnych doświadczeniach lat osiemdziesiątych.

Andrzej Dziurdzikowski

Uwagi o ratownictwie tatrzańskim

29 X 1909 r. we Lwowie zarejestrowano organizację o nazwie *Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe* i od tego czasu ludzie Błękitnego Krzyża obecni są w polskich górach; najpierw w Tatrach, a po II wojnie w całym pasie od Bieszczadów po Góry Izerskie. Ratownicy tatrzańscy będąc członkami Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego (organizacji zrzeszającej wszystkich ratowników górskich) mają zarazem świadomość swej odrębności uzasadnionej tak historią jak i codzienną praktyką. To właśnie Tatry stawiają przed ratownikami najwyższe wymagania. Chodzi tu głównie o wąską i elitarną kadrę fachowców, których zawodem jest ratownictwo wysokogórskie. Publikując uwagi Władysława Cywińskiego oddajemy głos jednemu z tej grupy. Autor wypowiadając się we własnym imieniu może być jednak potraktowany jako reprezentant kadry zawodowej, świadomej swej wartości i obowiązków spoczywających na ratownikach.

Ratownicy nie żyją w próżni. Starają się – i to udanie – aby czynniki zewnętrzne (polityczne, społeczne) nie wywierały negatywnego wpływu na ich podstawową działalność, ale przecież nie są obojętni na to wszystko, co się rozgrywa w kraju. W tekście W. Cywińskiego – zresztą aktywnego członka „Solidarności” – znajdujemy również ten wątek; można go nazwać potrzebą *SENSU* – tak w życiu całego kraju jak i w samym Pogotowiu. Nie jest to chyba potrzeba zbyt wygórowana.

M.J.

Od chwili narodzin zorganizowanej turystyki, przewodnictwa i ratownictwa w Tatrach istnieją ściśle związki między taternictwem, przewodnictwem i ratownictwem. Mniej ważne są tu związki formalne, organizacyjne – podatne na zewnętrzne naciski. Dobrze to było widoczne zwłaszcza w pełnym nonsensów okresie bezpośrednio po II wojnie światowej. Wtedy to zlikwidowano Klub Wysokogórski, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, utworzono zaś PTTK, któremu przez długie lata podlegało i taternictwo, i ratownictwo górskie w Polsce. Utworzono też inne biurokratyczne dziwolagi, czasami o zadziwiającej długowieczności. Od urzędowo-organizacyjnych ważniejsze są związki nieformalne, personalne między ludźmi związanymi z Tatrami. Szczególnie wyraźnie zjawisko to występuje, co zrozumiałe ze względów geograficznych, w środowisku zakopiańskim.

Czy Klimck Bachleda był bardziej taternikiem (wiele pierwszych wejść szczytowych od Ganku i Staroleśnej poczynając), przewodnikiem (tu, jak wiadomo, był „królem”) czy ratownikiem (tragedia na Małym Jaworowym jest tak znana, że nie miejsce tu na jej opisywanie)? A Witold Henryk Paryski to bardziej taternik (północny filar Koziego Wierchu, północny komin Koziej

Wyżniej, prawy filar Rumanowego), przewodnik przewodników, ratownik (kierownik TOPR) czy może tatrolog? A Eugeniusz Strzeboński? Liczne nowe drogi w Tatrach z Żółtą Ścianą na czele, wieloletnie szefowanie w przewodnickim szkoleniu, ponad 400 wypraw ratunkowych, wielki autorytet topograficzny lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych?

Tak jest po dzień dzisiejszy. Znaczna część ratowników tatrzańskich zajmuje się taternictwem w o wiele większym stopniu, niż wymagają tego ściśle ratownicze umiejętności. Spośród zawodowych ratowników Grupy Tatrzańskiej GÖPR prawie wszyscy mają uprawnienia przewodnickie. Z rzadka co prawda wykorzystując, jako że obsługa zdegenerowanego modelu turystyki masowej nie ma "magnetycznej siły przyciągającej niespokojne ratownicze dusze.

Wśród aktywnych ratowników tatrzańskich najściślej związani z przewodnictwem są: Władysław Cywiński (przewodnik I klasy, członek komisji egzaminacyjnej dla przewodników), Józef Olszewski (I klasa, komisja egzaminacyjna), Maciej Gąsienica (I klasa, komisja egzaminacyjna), Jan Gąsienica Roj (I klasa, instruktor przewodnictwa tatrzańskiego). Ratownicy starszego pokolenia: Jan Krupski (wieloletni, „etatowy” prezes Koła Przewodników w Zakopanem), Tadeusz Gąsienica Giewont czy też Konstanty Stecki (przewodniczący komisji egzaminacyjnej dla przewodników tatrzańskich) – to także ratowniczo-przewodnicki konglomerat. Najsilniejsze i najbardziej naturalne są jednak związki ratownictwa tatrzańskiego z taternictwem.

Szufladkowanie wszelkich zjawisk, a zwłaszcza ludzi, często nadmiernie upraszcza zagadnienie. Nie sposób nie dokonać jednak tej operacji na ratownictwie tatrzańskim. Oto jej wynik: ratownictwo ścianowe, akcje jaskiniowe, obsługa turystów w łatwym terenie, wyprawy poszukiwawcze, wyprawy lawinowe, medyczna obsługa narciarzy. Łatwo zauważyć, że poza Tatrami liczyć się trzeba tylko z punktem 6, oraz, zupełnie wyjątkowo, także z punktami 4 i 5. Nie dewaluując spraw lawinowych czy poszukiwawczych można stwierdzić, że wystarczy pierwszy lepszy turysta, działający jednak pod czujnym okiem ratownika. Nie można natomiast wyobrazić sobie amatorskiej działalności ratowniczej w ścianach czy jaskiniach. Te właśnie rodzaje ratownictwa, typowe dla Tatr, są jego kwintesencją. Do wykonywania tego typu zadań konieczne jest specjalistyczne wyszkolenie i często skomplikowany i drogi sprzęt.

Taternictwo od swych tatrzańskich prapoczątków (1880) przeszło znamiennej ewolucję. Gdy przed setką lat ktoś podążał z Zakopanego na Halę Gąsienicową – był taternikiem, przed 60 laty zwano go turystą, dziś spacerowiczem. Z kolei „szóstka” była

jeszcze do niedawna domeną taternictwa sportowego. Dziś w jej okolicach kończy się taternictwo rekreacyjne, a prawdziwy sport zaczyna się mniej więcej od „siódemki”*. Podobnie zimą – dziś są wręcz oblegane lodospady. Najlepszy przykład to Kuluar Kurtyki – najpopularniejsza droga zimowa w rejonie Morskiego Oka – stumetrowy lodospad opadający z Mnichowego Tarasu.

To zwiększenie trudności byłoby niemożliwe bez znacznych zmian sprzętowych. Jeśli chodzi o lato, najbardziej rewolucyjną zmianą przeszło obuwie. Zamiast sztywnych i ciężkich wiברamów – lekkie buty z wysokotarciową, gładką podeszwą. Umożliwiło ono pokonywanie trudności wyższych o co najmniej jeden stopień. Lepszy, pewniejszy sprzęt asekuracyjny poprawił komfort psychiczny i odciążył plecaki. Wreszcie prawdziwie sportowy trening stosowany przez czołówkę doprowadził w Tatrach do „ósemki”, a w szerokim świecie jeszcze o dwa stopnie dalej. Chyba jeszcze większą ewolucję – umożliwiając pokonywanie tego, co dawniej było niemożliwością – przeszedł sprzęt zimowy. Sztywne buty, także raki, wreszcie kompletne zarzucenie rąbania stopni w lodzie na rzecz techniki frontalnej z dwoma przyrządami („dziabki”) – umożliwiły względnie szybkie poruszanie się w pionowym lodzie.

W ostatnich latach taternicy prawie zupełnie porzucili technikę hakową – tak modną jeszcze przed 20 laty – na rzecz trudnej klasyki. Moda na ukłasyzczenie dróg dawniej hakowych doprowadziła do klasycznego przejścia Filara Kazalnicy, Momatiuka tamże, Wachowicza na wschodniej ścianie Mnicha...

I jeszcze jedno zjawisko charakterystyczne dla taternictwa ostatnich lat: odkrywanie nowych ścian – oczywiście zainteresowanie budzą tylko piony – i pokrywanie ich gęstą siatką dróg. Ściany te wcale nie muszą opadać ze szczytów. Już nikt nie usprawiedliwia wspinania, jak dawniej, celami naukowymi czy widokowymi. Jedyne logiką drogi jest jej trudność. Któż słyszał przed 20 laty o ścianie czołowej północno-wschodniego filara Mięgoszowieckiego Szczytu Wielkiego (w żargonie taternickim brzmi to może brzydziej, ale rozsądniej: Czołówka MSW), o czołowce Cubryny czy Kopy Spadowej? A są to obok Mnicha i Kazalnicy podstawowe boiska sportowe morskoocnych, a zatem polskich taterników.

Choć mówi się o taternictwie, że jest sportem niewymiernym, to jednak dokładny zegarek jest koniecznym elementem wyposażenia czołówki. Dążenie do skracania czasu przejścia zaś – normalnym zjawiskiem wśród sportowych wspinaczy. Jeszcze przed 20 laty każde jednodniowe przejście którejkolwiek drogi na Kazalnicy (z nielicznymi wyjątkami) było sensacją odnotowywaną w kronikach. Teraz rekord filara wynosi 1 godzina i 40 minut, a w jeden dzień już kilkakrotnie pokonywano dwie drogi na tej słynnej ścianie.

Do wszystkich tych tendencji musi dostosowywać się ratownictwo. By między poziomem taternictwa, a obsługującego go w pewnym sensie ratownictwa nie powstała niebezpieczna luka, ratownicy muszą: dysponować odpowiednim sprzętem i jak najsprawniej nim operować, utrzymywać się w jak najlepszej formie psychofizycznej, perfekcyjnie znać teren. W 1958 r. wyposażono Grupę Tatrzańską w tzw. zestaw alpejski, bardziej znany jako „Gramminger”. Używano go w czasie wypraw ratunkowych ponad stukrotnie wykonując zjazdy od 100 do 600 m długości. Powodem do dumy, sławy i chwały było wykonywanie jak najdłuższych zjazdów. Często było to związane z nadmiernym ryzykiem. Od kilku lat tendencja jest zupełnie odmienna. Trzeba starać się dojść jak najbliżej do oczekujących pomocy, długość zjazdu w zestawie alpejskim minimalizować, a gdzie tylko można – zastosować improwizację.

Tu konieczne wyjaśnienie. Otóż błędem byłoby mniemanie, że ratownicza improwizacja polega na skoku do poszkodowanego („może się uda”), a następnie na opuszczaniu go za pomocą pasków od spodni i sznurowadeł. Nie! Jest to technika ratownicza polegająca na opuszczeniu (ewentualnie zjeździe) ratownika do taternika oczekującego pomocy, a następnie wyciągnięciu go ze ściany lub dalszym opuszczaniu aż do jej podnóża. Wszystko to bez wyżej wspomnianego zestawu alpejskiego, lecz z użyciem podstawowego sprzętu taternickiego uzupełnionego stosowną liczbą tzw. przyrządów zaciskowych, rolek i bloczków. Sposób ten jest możliwy tylko przy bardzo dobrym atestowanym sprzęcie, którego ilość i jakość w Grupie Tatrzańskiej jest na zupełnie przyzwoitym poziomie. Technika ta jest w większości przypadków zupełnie wystarczająca. Wymaga jednak od ratowników dużych umiejętności technicznych, wspinaczkowych, a także bardzo dokładnej znajomości ścian. Szczególnie ważna jest dla ratowników znajomość formacji poziomych. Wszystkie zachody, półki, gzymsy – czasem przez taterników nie zauważane – mogą ratownikom oddać nieocenione usługi, gdy chodzi o szybkie dojście w rejon wypadku. Dlatego w ratowniczym szkoleniu kładzie się silny nacisk na poznawanie tego rodzaju formacji. Oczywiście technika ratownicza z zastosowaniem zestawu alpejskiego jest jednak najbardziej uniwersalna. Tatry bowiem mają to do siebie, że wejście na prawie każdy szczyt, nawet w złych warunkach, jest – najłatwiejszą drogą – bezproblemowe. Zatem znalezienie się nad ścianą z oczekującym na pomoc taternikiem, a następnie stanowisko do

* Mowa o dotychczasowej skali trudności w alpinizmie: od I – nieco trudno, do VI – skrajnie trudno. Ostatnio skalę rozszerzono wprowadzając kolejno stopnie: VII, VIII, a nawet IX (red.).

„Grammingera“ zawsze rozwiązuje problem. Nie zawsze jest to rozwiązanie najszybsze, ale za to praktycznie zawsze możliwe.

Współdziałanie ratowników z taternikami polega – na szczęście – nie tylko na wyciąganiu taką czy inną metodą kontuzjowanych wspinaczy ze ścian. W prawie każdej poważniejszej wyprawie w rejonie Morskiego Oka czy Hali Gąsienicowej ratownikom pomagają taternicy. Na hasło: *Pomożecie?* rzucone przez radio do Betlejemki czy na morskoocenne taborisko – odzew zawsze brzmi: *Pomożemy*. Ale tu, w przeciwieństwie do znanego pierwowzoru ze stycznia 1971 r., nikt nikogo nie oszukuje. Jak daleko sięgnę pamięcią – Mnich, Kazałnica czy Żabia Turnia Mięgoszowiecka – zawsze znaczną część pracy, zwłaszcza ciężkiej, niewdzięcznej pracy tragarza, wykonują taternicy. W ostatnich latach w szkoleniu taterników wyraźnie zwiększono nacisk na tzw. autoratownictwo, pomoc partnerską. Często w wyniku tego nawet poważne wypadki ścianowe są „załatwiane“ całkowicie lub częściowo siłami zespołu taternickiego. A jednak aż do sejmu trafił projekt ustawy o *bezpieczeństwie w górach*, z kuriozalnym zupełnie fragmentem dotyczącym *monopolu GOPR* na ratownictwo w górach. Trafił aż do sejmu i – o dziwo! – nabrał tam mocy prawnej. Trzeba bardzo mało wiedzieć o ratownictwie, taternictwie i o ludziach gór, by wymyślić i przeforsować aż tak wysoko, tak, eufemistycznie mówiąc, błędną ustawę. To pośredni skutek pro-biurokratycznych reform z lat pięćdziesiątych.

Dobłą tradycją jest, zwłaszcza w zakopiańskim Klubie Wysokogórskim, że znaczna część klubowych taterników działa mniej czy bardziej aktywnie, zawodowo czy ochotniczo, w ratownictwie tatrzańskim. Dawniej Witold Henryk Paryski i Zbigniew Korosadowicz, potem Michał Jagiełło i Ryszard Szafirski, aż po Ryszarda Gajewskiego, Józefa Pawlikowskiego i Macieja Berbekę. Wybitni taternicy, alpinści, himalaiści. Zawsze gotowi *bez względu na porę roku, dnia i stan pogody* udać się *w góry celem niesienia pomocy jej potrzebującym*. Inną tradycją jest udział ratowników w szkoleniu taternickim. Czy na oficjalnych kursach, czy szkoląc indywidualnie, czy też prawdziwie po koleżeńsku – nigdy nie brakowało ratowników w tej jakże ważnej dziedzinie taternickiej działalności.

Ta wszechstronna współpraca ratowników z taternikami jest korzystna dla obu stron. Poprawia się poziom techniczny i wiedza topograficzna wszystkich zainteresowanych. Szybko rozpo-wszeczniają się nowinki sprzętowe, nawet moda obu tych górskich społeczności podlega unifikacji.

Oprócz tych fizyczno-sprzętowych podobieństw w obu omawianych tu tatrzańskich społecznościach mają miejsce podobne procesy psychiczne. Mam na myśli pokonywanie tzw. barier psychicznych, konieczne przy wszelkim postępie. Mity o niestycha-

ných trudnościach pewnych gór, ścian czy dróg powstają, przez czas pewien krążą, potem są obalane. Tak było z Zamartą Turnią, Żabim Koniem, potem z Mnichem i Kazalnicą. Analogicznie przeżywali ratownicy bardzo efektywną niewątpliwie pracę z zestawem alpejskim. Przez długie lata nieliczni mieli patent na zjazd, równie nieliczni – na pracę na stanowisku asekuracyjnym. Teraz „rzeczy” te przerabia się na kursie I stopnia, a dziesiątki ratowników mają już za sobą zjazdy wschodnią ścianą Mnicha, wschodnią Ministranta itd., itp. Wielkie ściany przestają straszyć i tych zmierzających nimi w górę, i tych zjeżdżających w odwrotnym kierunku.

By zilustrować zjawiska i techniki bardzo pobieżnie opisane wyżej, zamieszczam kilka opisów wypraw z ostatnich lat.

W równie pięknej atmosferycznie jak ponurej politycznie zimie 1981/82 ruch w Tatrach był minimalny. Na każdą wspinaczkę trzeba było mieć pozwolenie, nawet wjazd kolejką na Kasprowy odbywał się pod lufami karabinów. Żywo przypominało to wczesne lata pięćdziesiąte, gdy taternikom łaskawie udostępniono tylko szczyty niegraniczne, zaś próby wspinaczki na zakazanym, bo granicznym, Żabim Niżnim kończyły się palbą bohaterskich obrońców granic ludowej ojczyzny. Na szczęście nieskuteczną.

W styczniu 1982 r. bez strzelaniny, ale w wyniku odpadnięcia, poważnej kontuzji uległ taternik wspinający się wraz z partnerką na Wielkiej Turni. Śmigłowiec dowozi pierwszą grupę ratowników dowodzoną przez Mieczysława Kołodziejczyka na Wyżnie w Dolinie Małej Łąki. Niezapomniany Krzysztof Żurek – będący wtedy w znakomitej formie – błyskawicznie wspina się około 100 m, dochodzi do oczekującego na pomoc taternika i zakłada poręczówki. Następnie przy zastosowaniu techniki improwizacji ranny zostaje opuszczony pod ścianę, gdzie transport przejmują następna grupa ratowników. Piękna zimowa noc, ściana oświetlona japońskim agregatem, taternik ze złamaną nogą, ale w dobrej formie, ratownicze zadania wykonane bezbłędnie. Głębokie poczucie sensu życia mimo panującego dookoła bezsensu.

Lato 1984. Z Morskiego Oka informacja o wypadku na ścianie Kotła Kazalnicy. Zawiadomienie o godz. 9.15. Pierwszy lot Mieczysław Kołodziejczyk i Jan Krzysztof. Wsiadają nad Czarnym Stawem. Bardzo szybko, korzystając z poręczówki przygotowanej przez współpracujących taterników, dochodzą do poszkodowanego. Znow, jak na Wielkiej Turni, opuszczanie w improwizacji rannego do podnóża ściany, stamtąd szybki transport na nieodległe lądowisko i o godz. 12.30 szpital.

Podobnie było 9 VIII 1988 r. na filarze Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Po odpadnięciu w dolnym kominie i wyrwaniu wielu haków taternik „zaliczył” 70-metrowy lot doznając licznych, ale na szczęście nie zagrażających jego życiu urazów.

Informacja o wypadku dotarła do Centrali Pogotowia w Zakopanem o godz. 10.40. Pierwsza grupa ratowników została dowieziona śmigłowcem nad Czarny Staw, skąd Roman Szadkowski, Roman Kubin i Władysław Cywiński dosłownie w 5 minut zeszli pod filar. Następnie, po poręczówkach założonych przez morskoocznego dyżurnego, Jana Tybora, wspomaganego przez taterników, ratownicy wspięli się szybko na miejsce wypadku. Udzielenie pierwszej pomocy rannemu, a potem 60-metrowy zjazd z rannym w noszach pod ścianę; tam przejmują go ratowniczo-taternicka grupa tragarzy i znosi na lądowisko nad południowym brzegiem Morskiego Oka. Śmigłowiec dowozi rannego do szpitala o godz. 14.00.

Niestety, nie zawsze akcja kończy się w szpitalu. I śmigłowiec, i technika ratownicza, i wysokie umiejętności uczestniczących w wyprawie – czasami nie wystarczają.

17 IX 1986 r. Cóż za pamiętna data! Dla Polski, dla ratowników tatrzańskich, dla rodziny pewnej wrocławskiej taterniczki. Rano jedna z ostatnich bitew długiej wojny GOPR-owskich nomenklaturowych urzędników i pseudodziałaczy z ratownikami tatrzańskimi. W sądzie pracy wyrzuceni z pracy ratownicy Mieczysław Kołodziejczyk, Jan Krzysztof i Kazimierz Szych wygrywają sprawę. Są nadal zawodowymi ratownikami Grupy Tatrzańskiej GOPR. Kolejna, jakże zasłużona klęska działaczy jadących na ratowniczych grzbietach po sławę, władzę, pozycję... W tym czasie na Filarze Grońskiego na Żabiej Turni Miękuszwowieckiej wspina się para wrocławskich taterników. W łatwym terenie, tuż przed szczytem dziewczyna odpada 30 m i doznaje bardzo poważnych obrażeń. Wiadomość dociera do dyżurnego w Morskim Oku już po kilku minutach, gdyż wspinający się w pobliżu zespół ma radiotelefon. Trudne warunki atmosferyczne, wiatr, przelewające się przez grań mgły. Na Wołowej Galerii desant ze śmigłowca tylko jednego ratownika. Stąd bardzo szybka marszo-wspinalczka na szczyt Żabiej Turni. Kontakt z zespołem oczekującym pomocy. Potem desant kilkumetrowym skokiem trzech par ratowników na eksponowanej krawędzi grani. Skaczą m.in. przedpołudniowi podsądni – M. Kołodziejczyk i J. Krzysztof. Długa i bezskuteczna niestety reanimacja, wyciąganie ofiary ze ściany na grań techniką improwizacji. Tym razem i radiotelefon, i śmigłowiec, i znajomość terenu, i chyżość nóg, i bezbłędna technika ratownicza, i chirurg-ratownik – nic nie pomogły.

Tu narzucająca się dygresja. Jakże bezcenny jest udział śmigłowca w akcji ratunkowej! Metody klasyczne trwałyby długie godziny i angażowały kilkunastu ratowników. A ze śmigłowcem...

11 IX 1988 dwójka taterników spada górną częścią wschodniej ściany Kościelca. Ze śmigłowca pilotowanego przez Wojciecha

Wiejaka desantują się Janusz Kubica i Jan Krzysztof tuż pod obrywem grzędy. Stąd w 5 minut są już, niestety, przy zwłokach taterników. Po następnych kilkunastu minutach obaj nieszczęśliwcy odbywają swą ostatnią tatrzańską podróż na śmigłowcowej windzie. Wszystko razem trwało 2 godz. 20 min.

Współpraca techniki i umiejętności ratowników z techniką i umiejętnościami śmigłowcowych pilotów często jest skuteczna dla ratowanych, emocjonująca dla ratowników i niezwykle atrakcyjna dla obserwatorów. Wspólne popisy na Kazalnicy, Żabiej Turni, Czołowce MSW czy Kościelcu są dla ratowanych czasem ostatnią szansą, zaś dla ratowników – nie mogą uniknąć pewnego patosu – sensem życia. Efektem współdziałania pilota helikoptera z ratownikami-taternikami jest znaczne skrócenie czasu trwania akcji. Od zawiadomienia o wypadku do przewiezienia rannego do szpitala nierzadko upływa tylko kilkadziesiąt minut. Czasami nawet „wyjmowanie” rannych z trudnych ścian trwa niewiele dłużej.

Lato 1986. W rejonie Świnicy wspina się z klientami zawodowy ratownik tatrzański, jednocześnie aktywny instruktor taternictwa, Janusz Kubica. W niewielkiej od niego odległości odpada i doznaje licznych kontuzji taterniczka. Natychmiastowa informacja radiowa do Centrali – żaden ratownik nie rozstaje się z radiotelefonem. Wkrótce na wierzchołku Pośredniej Turni desantują się kolejne grupki ratowników. Wtrawersowanie do miejsca wypadku na filarze to kwestia 20 min. Na miejsce przybywa też wspomniany już wcześniej chirurg-ratownik dr Józef Janczy. Fachowa obsługa medyczna – łącznie z kropłówką – na miejscu wypadku, potem opuszczenie w improwizacji na wielką platformę nad dolnym urwiskiem filara. Kolejny popis sprawności pilota, Andrzeja Brzezińskiego. I ranna jest w szpitalu.

Z opisu prawie każdej wyprawy widać, jak nieocenione są usługi świadczone ratowanym i ratownikom przez „wspaniałych mężczyzn i ich latające maszyny”. Może jeszcze ważniejsza, może odrobinę mniej ważna jest rola ratowników-lekarzy. Cóż za ulga i wsparcie psychiczne dla rannego, gdy wie, że czuwa nad nim profesjonalista. Ratownicy też wolą przy skomplikowanych urazach mieć za sobą doktorski autorytet.

Lipiec 1985. Na Filarze Grońskiego, ulega poważnej kontuzji taternik z Gdańska. Wspaniała, bezwietrzna pogoda. Na Buli pod Rysami opuszczają śmigłowiec dr Robert Janik, Jan Krzysztof i Władysław Cywiński. Szybka wspinaczka dolną częścią filara i już ranny jest pod opieką lekarza. Opuszczenie ze ściany do żlebu spadającego z Żabiej Przełęczy Wyżniej. Tam transport przejmują kolejna grupa ratowników. Po zlodowaciałym śniegu opuszczają nosze około 100 m i tu główną rolę przejmują pilot Tadeusz Augu-

styniak. Po jednej wstępnej przymiarce zabiera rannego windą na pokład z niewybitnego siodełka w najniższej części masywu Rysów. Obserwatorom wydawało się, że końce łopat są nie dalej niż o metr od skał. Wspinanie, lekarz, improwizacja, śmigłowiec. Wszystko w dobrym gatunku. Po roku nasz pacjent był już na szczycie Dhaulagiri. Pełna satysfakcja!

Jedyną wadą tej naszej ratowniczej pracy jest po latach to, że wiele pięknych tatrzańskich miejsc kojarzy nam się przede wszystkim z krwią.

Władysław Cywiński



Notatki z Ziemi Świętej (II)

Groty Ziemi Świętej

W Rzymie i chyba wszędzie – poza Ziemią Świętą – symbolem świątyni świata chrześcijańskiego jest bazylika Piotrowa. Jej skala i harmonia, elegancja kopuły, wyniesienie przez kaskady schodów – wszystko to służy uświetnieniu Kościoła może bardziej niż uświęceniu. Repliki kopuły Michała Anioła w niezliczonych wariantach budynków sakralnych i świeckich na całym świecie podniosły jeszcze walor tej architektury prawie do rangi znaku świata katolickiego. Zderzenie tego zakodowanego obrazu z realnością przestrzeni świadczącej o źródłach wiary tu, na Ziemi Świętej, staje się jednym z większych zaskoczeń pielgrzymowania. Zamiast triumfu chrześcijaństwa zapisanego w gigantyzmie detalu renesansowych bazylik, tutaj – do miejsc najświętszych – schodzimy w głąb, do piwnic, do podziemnych grot. Tak jak do katakumb przy Appia Antica. Detal tej przestrzeni to okopcone wielowiekowym światłem lampek oliwnych wapienne na ogół ściany grot, wygładzone w dostępnych miejscach pocałunkami i dotknięciami wiernych. Tektonika tej świętej architektury nie przypomina marmurów Il Gesù, nie przypomina polskich nowobogackich świątyni z ostatnich lat. To najprawdziwsze sacrum jest równocześnie najuboższe, jest aarchitektoniczne, jest poza wszelkimi ocenami estetycznymi. Staje się przez to kwintesencją architektury sakralnej. Może to skrajny dowód, że sacrum nie wymaga oprawy. To może nasze słabości wiary wymodelowały przez prawie dwa tysiące lat obraz przestrzeni pomagającej nam w przeżywaniu różnorodnych form liturgii. Prawdą jest, że te grotty są uświęcone świadectwem obecności Matki Bożej, św. Józefa, Jezusa. Nie każda więc podobna przestrzeń będzie tak działać, ale przecież liturgia Ofiary dziejącej się na każdym ołtarzu w zasadzie staje się równie ważna.

W nazareckim sanktuarium Zwiastowania grotą w krypcie dolnego kościoła jest przypuszczalnie dolną i tylną częścią domu Najświętszej Maryi Panny. Jest też czczona od pierwszych wieków chrześcijaństwa również jako miejsce pobytu Świętej Rodziny. Dzisiaj, wbudowana we współczesną, włoską w nastroju architekturę kontrastuje z nią prawie na zasadzie muzealnego eksponatu. Elegancja detalu nowej, bo z 1969 r. architektury podkreśla może surowość i prawdę Groty Zwiastowania, ale równocześnie pokazuje dystans, jaki dzieli nas od chrześcijan pierwszych domus ecclesiae i wspólnoty katakumb Rzymu.

Pozbawiona takiego kontrastu architektonicznego Grota Narodzenia w Bettelem, odwiedzana jako sacrum przez wiernych od samych początków chrześcijaństwa, zmusza swoim autentyzmem do głębokiego przeżycia tego miejsca. Niezależnie chyba od stopnia niedoskonałości czy doskonałości naszej wiary. Jeśli w ogóle możliwa jest tu analiza z punktu widzenia psychologii architektury sakralnej, to Grota Narodzenia spełnia bez wątpienia wszelkie założenia doskonałych wnętrz sakralnych: skalą około czterdziestu metrów kwadratowych powierzchni, wydobyciem podstawowego sacrum – ołtarza Narodzenia przez migotliwe światło pięćdziesięciu trzech oliwnych lamp, pełną izolacją od świata zewnętrznego. To brzmi sucho i nie tak. Bez zapachu spalanej oliwy, jakichś kadzideł, ciszy najgłębszej modlitwy, szmeru migawek aparatów. Tu nie powinno się nawet robić zdjęć. A równocześnie po ludzku chcielibyśmy zatrzymać to miejsce jak najdłużej w pamięci przez celuloidowy zapis.

I grobowiec rodzinny Józefa z Arymatei, położony przypadkiem na północny zachód o jakieś pięć metrów poniżej Kalwarii, był w zasadzie systemem dwóch połączonych grot wykutych na terenie dawnych kamieniołomów. W grotcie dokonała się więc wielka liturgia Zmartwychwstania. A wobec tego wydarzenia wszelkie nasze widzenia sakralnej przestrzeni przestają mieć jakiekolwiek znaczenie.

Tu, w Ziemi Świętej, w jej grotach świętych, zachwiany zostałem skutecznie w wyuczonym i realizowanym w nowych kościołach widzeniu doskonałej intelektualnie przestrzeni sakralnej.

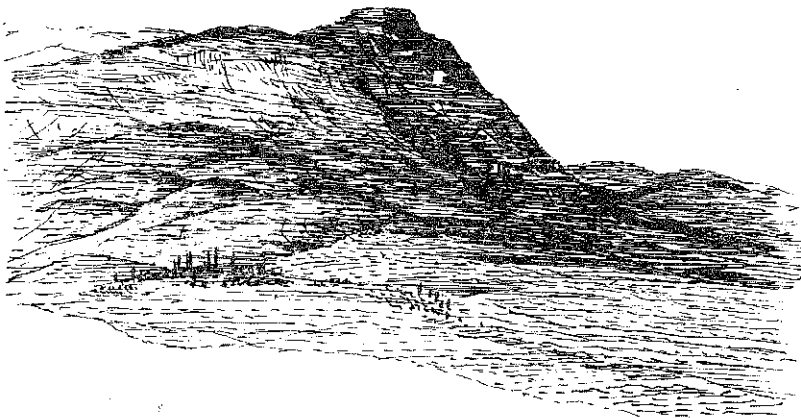
Groty Ziemi Świętej zmuszają do rewizji poglądów zawodowych – nawet jeśli byłoby to nieczytelne dla tych, którym nie dane było ich przeżyć.

Galilea

Jadąc z Judei na północ po drodze mija się bokiem góry Samarii – łyse, porzeźbione przez wiatry w niezwykle formy, tworzące jakiś niesamowity, księżycowy krajobraz. Miejsca dzikie i odludne; zrozumiałam teraz, dlaczego były terenem napaści na przejeżdżających tędy podróżnych. Zastanawiamy się, co jedzą mijane stada kóz i owiec pilnowane przez pasterzy na osiołkach. Z bliska widać, że zeschniętą, żółtą trawę. Stopniowo jednak zaczynają się pojawiać kępki zieleni, zjeżdżamy w dolinę i nagle jesteśmy w zupełnie innym świecie: cudowna, bujna zieleń, aż po tropikalną roślinność.

Najpierw jednak Góra Tabor: miejsce Przemienienia Pańskiego. Tu rozegrało się to najbardziej niezwykle ze wszystkich, w których apostołowie uczestniczyli, wydarzenie. Dane wtedy zostało najbardziej wybranym spośród nich jakby zajrzeć za zasłonę

WIDOK Z GÓRY KOSZENIA NA W. GÓRĘ,
POŁOŻONY MIAŁO W DZIEDZIE CNAWIA
W. GÓRĘ NADZIEJĄC SIĘ



GÓRA KOSZENIA KOSZYNÓ
6-VI-88

spraw już nie z tego świata. Nie tylko zobaczyli Mojżesza i Eliasza, ale usłyszeli głos samego Boga Ojca.

Podczas mszy św. wspólnej z grupą Polaków z RFN współkoncelebrujący mszę św. ich polski duszpasterz mówi o konieczności przemienienia siebie zwłaszcza w społeczeństwie konsumpcyjnym, o zagrożeniach, jakie niesie bogaty świat Zachodu. Myślę sobie, że nasze zagrożenia są wprawdzie inne, ale nie mniej groźne.

Z Góry Tabor rozpościera się wspaniała panorama cudownej, żywej Galilei. Zjeżdżając w dół zanurzamy się w krajobraz gajów palmowych, eukaliptusowych, kwitnących krzewów azalii, mimoż o przeróżnych barwnych i słodkich zapachach. Tak musiał wyglądać biblijny Eden.

Stajemy na wzgórzu zwanym Górą Błogosławieństw, przed sanktuarium Błogosławieństw. Zbudowane na planie ośmiokąta, w nawiązaniu do liczby błogosławieństw, zaopatrzone jest w obejście, z którego można podziwiać cudowną panoramę Jeziora Galilejskiego. Zbliżywszy się do jeziora staje się na miejscu, u podnóża którego rozciąga się przestrzeń nad samym brzegiem, na której stać musiał tłum słuchający Kazania na Górze.

Obok nas medytuje także z Pismem Świętym w rękach grupa Niemców. Słuchamy tekstu kazania i znika wszystko: jest tylko On i rzesza wsluchana w te porywające słowa, kwintesencję naszej wiary. Ten tak dobrze znany tekst brzmi tu jakoś inaczej – dosłowniej, radykalniej, przejmując do głębi.

Okolice Jeziora Genezaret aż gęste są od wydarzeń i cudów, które tu miały miejsce, a opisanych na kartach Pisma Świętego. Niektóre z nich upamiętniono świątyniami – np. sanktuarium Rozmnożenia Chleba, mieszczące w sobie, pod ołtarzem, kamień, na którym Jezus miał położyć chleby, którymi potem nakarmił pięć tysięcy mężczyzn, czy kościół Prymatu, którym uczczono moment przekazania Piotrowi pieczy nad Kościołem: *Paś baranki moje, paś owce moje* (por. J 21,15–17).

O Kafarnaum, do którego przeniósł się po opuszczeniu Nazeretu, ewangelisti wspominają najczęściej. W żadnym innym miejscu nie dokonał Jezus tylu cudów. Miasto leżące przy szlaku handlowym do Syrii miało urząd celny – stąd celnik Lewi Mateusz, który rzucił wszystko i poszedł za Nim, a także z tego samego powodu stacjonował tu garnizon rzymski, stąd setnik, którego sługa zachorował, a o którym Pan Jezus powiedział, że nie znalazł takiej wiary w Izraelu.

Dom Piotra jest w tej chwili terenem badań archeologicznych. Zespół kilku ubogich pomieszczeń otaczał salę, której kult datuje się już od I w. Był to domus ecclesia – kościół domowy. Zbudowana nad domem księcia apostołów pierwsza budowla uległa zniszczeniu, w V w. powstał nowy kościół. Tutaj zrozumiałam, jak prostym zabiegiem było spuszczenie przez dach paralityka na noszach. Dachy były lekkie, składały się z liści palmowych połączonych na poprzecznych kijach, co sprawiało, że demontażu można było dokonać dosłownie kilkoma ruchami. Patrzymy na te ubogie budowle i widzimy chorą teściową Piotra, która za chwilę, już po uzdrowieniu wstaje i służy im.

Ewangelia na tej ziemi przestaje być świętą księgą, staje się realnością. Czujemy się tu jakby uczestnikami tamtych wydarzeń – to niesamowite odczucie.

Kościół Prymatu wznosi się na nadbrzeżnej skale. Na zewnątrz znajdują się słynne schody, po których wchodzili uczniowie z jeziora – po drugim cudownym połowie – już po zmartwychwstaniu.

Nie opodal kościoła Rozmnożenia Chleba odpoczynek z kąpielą w ciepłych, krystalicznie czystych wodach Morza Tyberiadzkiego, spokojnego teraz i łagodnego, aż nie do wiary wydaje się, że mogło być aż tak wzburzone, że wzbudziło trwogę Piotra: *Panie, toniemy* (por. Mt 8,24–25). Napawamy wzrok urzekającym krajobrazem jeziora, z jego błękitem, z górami na drugim brzegu, z cudowną roślinnością wokół i te wrażenia zapadają bardzo głęboko; myślę, że pozostaną w nas, nie zatarte, na resztę życia.

Góra Tabor

Nasycone architekturą sacrum Jerozolimy – i sacrum samotnej góry Tabor. Święta góra Starego i Nowego Testamentu. Wznosi się samotnie swoimi pięciuset metrami ponad zieleni otaczającej równiny. Ta samotność jakby dodaje powagi i powiększa jeszcze skalę. Pinie, dęby, drzewa świętojańskie i mastyksowe. Z płaskowyżu na szczycie góry dalekie i otwarte widoki na równinę Ezdre-lon, góry Gilboa i Samaria od południa i łańcuch Karmelu od zachodu.

Za wzgórzami od północnego zachodu prawie widać Nazaret odległy stąd w linii prostej o dwadzieścia – dwadzieścia pięć kilometrów. Za doliną Jordanu i Jezio-rem Genezaret góry Ziemi Obiecanej. Wy- daje się, że stąd widać całą Ziemię Świętą – skoro widać aż tyle. Tutaj miara ewangelicznych podróży, odległości wypraw Jezusa z apostołami zaczyna być sprawdzalna.

I równocześnie miejsce Przemienienia staje się sacrum, świątynią przez wywyższenie nad okoliczny pejzaż. Świątynią bez przykrycia – bo jakże inaczej obłok mógłby otoczyć Piotra, Jana i Jakuba. Przeszkadza mi w tym odbiorze sacrum Przemienienia postawiona tu siedemdziesiąt lat temu świątynia. To brzmi dziwnie – jak może przeszkadzać poświęcona liturgicznie bazylika. A jednak taka jest moc tej otwartej przestrzeni, otwartej na pejzaż Galilei i otwartej na pierwszego obywatela tej krainy – Jezusa zwanego Galilejczykiem. Nie potrzeba tu architektury.

Betania

Ta wieś położona na wschodnich zboczach Góry Oliwnej, prawie trzy kilometry od Jerozolimy, budzi ciepłe skojarzenia: przypomina, że Pan nasz doświadczał także głęboko ludzkich uczuć przyjaźni, miłości. W domu swych przyjaciół, Łazarza, Marii i Marty szukał wytchnienia po godzinach nauczania. Tu, w Betanii, w domu Szymona Trędowatego był też w ostatnich godzinach przed swoją męką.

Jesteśmy tu późnym popołudniem. W ciepłym oświetleniu zachodzącego słońca wioska wygląda wyjątkowo urośliwie. Dziś nazywa się al-Azarije, co jest arabskim zniekształceniem nazwy Lazarium, nadanej przez chrześcijan w IV w. dla upamiętnienia jednego z największych cudów – wskrzeszenia Łazarza. Św. Hieronim pisze o grobie Łazarza, nad którym wzniesiono kościół właśnie w pierwszych wiekach. W czasach krzyżowców był tu jeszcze jeden kościół – w miejscu, na którym miał stać dom Marii i Marty. Gdy muzułmanie opanowali Jerozolimę, kościoły popadły w ruinę, kościół św. Łazarza stał się meczetem i dopiero w 1613 r. franciszkanie kupili od muzułmanów prawo wykucia w skale schodów, by móc schodzić do krypty Łazarza i odprawiać tam mszę św. Te schody zachowały się do dziś i znajdują się na zewnątrz kościoła.

Oprowadza nas ubożuchno wyglądający franciszkanin – Czech, wzruszony bardzo tak przecież tu rzadkim spotkaniem z braćmi Słowianami. Patrząc na miejsce, na którym miał spoczywać martwy Łazarz, myślę o tym, że Pan Jezus nie bał się okazać głębokiego wzruszenia nad jego grobem. *Gdy więc Jezus ujrzał, jak płakała ona [Maria] i Żydzi, którzy razem z nią przyszli, wzruszył się w duchu, rozrzewnił i zapytał: „Gdzieście go położyli?” Odpowiedzieli Mu: „Panie, chodź i zobacz!” Jezus zapłakał. A Żydzi rzekli: „Oto, jak go miłował!” (J 11,33–36).*

I jeszcze przypominało mi się to, o czym pisał św. Łukasz prezentując na przykładzie dwu siostr jakby dwa typy duchowości, aktualne do dziś, a dotyczące nie tylko życia monastycznego kontemplacyjnego, którego patronką jest Maria, czy czynnego – jak Marta. Ale stawiając przed każdym z nas, niezależnie od stanu, problem hierarchizowania wartości, bo *potrzeba mało, albo tylko jednego*, podczas gdy większość z nas *troszczy się i niepokoi o wiele* (por. Łk 10,41–42).

Trzeba nam nauczyć się odłożyćwszy wszystko inne usiąść u stóp Pana i wsłuchiwać się w Jego słowa.

Betania 1988

Na dachu narożnego budynku przy ostrym zakręcie głównej ulicy Betanii, prawie na wprost kościoła Łazarza, prawie nieruchome dwie ciemne sylwetki. Jeden z żołnierzy siedzi na zwykłym, pewnie zabranym mieszkańcom domu krześle, drugi patrzy przez lornetkę. Ich sylwetki przecięte są kreskami poziomo i nisko zawieszonych pistoletów automatycznych. Zakręt ulicy umożliwia tu dobrą obserwację sporej części wioski, małego miasteczka czy może przedmieścia Jerozolimy o dobrze znanej nazwie.

Napięcie i emocja oglądania i przeżywania świętych miejsc, czytania na żywo ewangelicznej przestrzeni, jakby uodpornia nas na rzeczywistość tej ziemi. Prawie nie zauważamy wzmocnionych posterunków policji w Betlejem i zapachu dymu czy może jakiś czas temu użytego gdzieś niedaleko gazu łzawiącego. Kontrole obok Jerycha, kordony z ogniskami na szosie, takie same sylwetki jak te w Betanii bez przerwy widoczne z okien naszego Domu Polskiego na blankach Bramy Damasceńskiej. Nastawieni na inny jakby odbiór staramy się nie wiedzieć, że trwa któryś tam tydzień tego dziwnego powstania palestyńskiego. Powstania bez wielkich zbrojnych akcji, ale codziennego napięcia, kamieni rzuconych przez palestyńskie dzieci i wyrostków, kilkunastominutowych demonstracji, codziennego strajku sklepów arabskich – ale dopiero od południa. Wszystko to jest dziwne, niezrozumiałe skomplikowane i chyba w sumie tragiczne przez brak perspektyw. I takie dalekie od jakże wspaniałego cudu, tutaj w Betanii uczynionego, w imię miłości do człowieka.

Wieczernik

Wieczernik zwany jest Matką wszystkich Kościołów – tu przecież dokonało się pierwsze misterium eucharystyczne, kontynuowane nieprzerwanie od XVI w., kiedy to chrześcijanie zostali stąd wyparci przez wyznawców Allaha.

Rozegrały się tu kluczowe dla chrześcijaństwa wydarzenia ustanowienie dwóch sakramentów: eucharystii i kapłaństwa. Tu apostołowie zgromadzili się zrozpaczeni i wyleknieni po pojmaniu Chrystusa, ucieklszy z Ogrodu Getsemani. To tu ukazał im się Pan Jezus wieczorem w Niedzielę Zmartwychwstania, tu również przybył osiem dni później, by pokonać niedowiarstwo Tomasza. W tym też miejscu *trwali jednomyślnie na modlitwie razem z niewiastami, Maryją, Matką Jezusa, i braćmi Jego* (Dz 1,14), już po wniebowstąpieniu. Tu miał miejsce jakby pierwszy sobór powszechny, zwołany przez Piotra dla ustanowienia następcy Judasza.

I wreszcie to tu zstąpił na apostołów Duch Święty w dniu Pięćdziesiątnicy. Stara tradycja głosi, że w tym domu spędziła resztę swojego życia Maryja. Fakt ten upamiętnia kościół Zaśnięcia Maryi Panny.

Aż gęsto tu od tych wszystkich wydarzeń. Szczęśliwie piętrowa kaplica Wieczernika zachowała się i po walkach 70 r., i potem, po zajęciu Jerozolimy przez Persów. Za czasów krzyżowców zbudowano tu trzynawową świątynię, w której nawa północna poświęcona była Zaśnięciu Najświętszej Marii Panny, z nawy południowej zaś wchodziło się do kaplicy górnej – odpowiadającej sali na górze, w której odbyła się Ostatnia Wieczerza.

Tradycja żydowska sytuuje tu grób Dawida, co zresztą nie znalazło potwierdzenia naukowego, jednak muzułmanie uznający, jak wiadomo, tych samych proroków zawładnęli tym kościołem zamieniając go na meczet proroka Dawida – i tylko do sali na górze dopuszcza się chrześcijan...

Pierwszy kościół

Stoję na dziedzińcu pierwszej świątyni naszego chrześcijańskiego świata. Nie wiem, ile kościołów oglądałem, rysowałem, fotografowałem; w ilu się modliłem i przeżywałem eucharystyczną ofiarę. Teraz jestem tu – na miejscu tej najpierwszej Wieczerzy Eucharystycznej. Dziedziniec otoczony kamiennymi ścianami złotawego jak tutaj wszędzie kamienia, trzy niskie kopuły-dachy jak symbol przypominają, gdzie jesteśmy. Bez nich mógłby to być jakiś nieznaną fragment któregoś z wczesnych opactw południa Francji. Budowali to przecież krzyżowcy – może i prowansalscy. Ta świadomość nie przeszkadza jednak w odbiorze. Kamienna podłoga dziedzińca przerwana akcentem jednego, zielonego mimo jesieni, drzewa. Okna na pierwszym piętrze budynku po lewej stronie to Wietrznik. Nie wyróżniają się wspaniałymi rozetami Chartres i Notre Dame ani witrażami Wyspiańskiego i Matisse'a. Są zwyczajne. To pierwsze doświadczenie. Drugie – boleśniejsze, to fakt, iż miejsce pierwszego Przejścia nie może dziś służyć eucharystii. Mihrab w ścianie przypomina o muzułmańskiej własności tej świętej przestrzeni. Ewangeliczna sala „duża” i „na górze”, to franciszkańska gotycka sala z XIV w. o dwóch nawach i wymiarach 9,40 m na 15,30 m.

Nie znam odruchu pierwszych krzyżowców, ale pewnie wołałbym uczestniczyć we mszy św. tutaj, niż w małym, przylegającym do niego kościele przy Wietrzniku – ad Coenaculum. Ojcowie franciszkanie we wspaniałym przewodniku po Ziemi Świętej „W ojczyźnie Chrystusa” napisali, iż ten tytuł wyraża nadzieję, iż *Matka wszystkich Kościołów zostanie kiedyś przywrócona dla kultu katolickiego*. To odruchowa chęć i marzenie. A przecież może powinno być tak, jak jest. Bez kolejnego w historii odbierania – tym razem czczonego grobu Dawida muzułmanom i Żydom. Skoro liturgia chrześcijaństwa oparta została o równowartość Przejścia i Ofiary podczas każdej najskromniejszej mszy św. – w każdym miejscu i czasie, to niech zostanie Wietrznik niedostępny liturgii, jako najwspanialszy dowód innego wymiaru naszej wiary.

Małgorzata i Konrad Kucza-Kuczyńscy

Ucieczka z wielkiego miasta

Gdy po raz pierwszy w życiu ruszasz z Bostonu szosą na południe, wydawać ci się może, że doświadczasz czegoś niezwykłego. Bo oto ledwo znalazłeś się za progiem, już kończy się Boston, zaczyna się Hartford, potem – znów: jeszcze się nie spostrzeżesz, a już znajdujesz się w Bridgeport. Czujesz się jakby nagle zabrakło ci jakiegoś zmysłu, w który natura przezornie wyposażyla zasiedlonych tu od dawna mieszkańców – nie wiesz, kiedy jedno miasto przechodzi w drugie i w żaden sposób nie potrafisz ich rozróżnić: Szosa niczym gigantyczny przenośnik taśmowy popycha cię naprzód raz ponad (estakada), raz pod (tunel), kiedy indziej zaś pośród (czyli tradycyjnie) krajobrazu **MIASTA**, które nigdzie się nie kończy i które – co gorsza – nigdzie się nie zaczyna. Za Bridgeport powinien być Nowy Jork, lecz ty nawet tego nie możesz być pewny, bo wciąż jedziesz poprzez trzewia wszędzie tak samo szarego Olbrzyma; szarego mimo neonów, które potrafią się palić nawet w ciągu dnia. Potem, w którejś chwili okazuje się, że i Nowy Jork masz za sobą (była mgła; pocieszasz się, że pewnie tylko dlatego nie spostrzegłeś osławionej panoramy Manhattanu), a stąd (mapa) już ledwie krok do Filadelfii i do Baltimore. Ty jesteś już jednak mądrzejszy; nie dajesz się tak łatwo wyprowadzić w pole – wiesz, że te wszystkie nazwy to tylko konwencja, umowa i że tak naprawdę **MIASTO** to – tak, miasto, nie miasta! – nazywać się winno Megalopolis. (Właśnie minąłeś Baltimore; domyśliłeś się tego, bo w radiu zmieniła się stacja.) Jesteś zmęczony, ta jazda trwa już całe 6 godzin. Ale dopiero za następne dwie, gdy w dali ujrzysz białą kopułę Kapitolu – nie możesz mieć już żadnych wątpliwości i możesz być pewny swego. Oto dotarłeś do celu. Do Waszyngtonu.

Lecz bardzo się mylisz, gdyś sądzisz, że w ten sposób doświadczyleś czegoś szczególnego. Bo dokładnie to samo stanie się twoim udziałem, gdy znajdziesz się w okolicach Wielkich Jezior albo na przykład na Zachodnim Wybrzeżu. Spróbuj przebyć dystans dzielący Detroit od Chicago! Albo – San Francisco od Los Angeles! Tak – jeśli chcesz, możesz się nawet wybrać na półkulę południową! No proszę – udaj się z Rio de Janeiro do Sao Paulo albo nawet jeszcze dalej – aż do Santos! Różne klimaty, różne kultury, różne kolory skóry – **TO** różne, lecz **ONO** – Megalopolis – wszędzie **TAKIE SAMO!**

Przez wiele godzin możesz jechać, a z zasięgu wzroku nie zginą ci wieżowce, drapacze chmur, kolosy ze szkła i aluminium. Jeśli mocno będziesz naciskał pedał gazu i będziesz próbował uciekać przed tym widokiem, owszem, jedna wyspa betonu będzie się oddalać, lecz tylko tym szybciej przybliżać się będziesz do wyspy

następnej. Przed NIM nie ma dokąd zbiec, ONO jest wszędzie. MIASTO. Miejski Moloch. Na wszystkie strony rozpełzający się olbrzym; rozgwiazda rozsuwająca swe macki we wszystkich kierunkach.

A gdy zdobędziesz się na jeszcze jeden wybieg i fortel, gdy zboczysz z głównego szlaku autostrad i zaczniesz się zagłębiać w dzielnice mniej okazałe, nie tak ponętne i tajemnicze jak tamte pełne betonowych Świątyń Ekspansji, pełne aluminiowych Największych Obelisków Świata – niedługo potem przekonasz się, że i tu trafieś na bezkres i bezmiar. MIASTA są wielkie. Są przeogromne. Lecz to, co je wyprzedza, to, z czego one wyrastają – PRZEDMIEŚCIA – są od nich jeszcze znacznie większe...

Choć... niektórzy twierdzą, że to tylko złudzenie; że są jeszcze TAKIE miejsca; właśnie między Frisco a Los Angeles; między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem; między Sao Paulo a Rio, Osaką a Tokio, Duisburgiem a Düsseldorfem... Że są takie miejsca, w których – uczepieni wielopasmowej superautostrady – raptem odnajdujemy kawałek pustej przestrzeni, skrawek „ziemi niczyjej”, okruchy jeszcze nie zabudowanego ugoru. Miałyby to być właśnie te punkty, w których tobie miałyby się здаwać, że oto siły sąsiadujących ze sobą wielkomiejskich kolosów w jakiś tajemniczy sposób nagle się równoważą i wyczerpują i wytwarzają kilometr, dwa, pięć międzymiejskiej pustki i próżni. Ale – na nic nadzieje! To fantasmagoria! Złudzenie! Bo starczy, żeby tylko zaczęło się ściemniać! Od razu zrozumiesz swój błąd, swoją naiwność! Zaraz pojawiają się przeogromne łuny, a im stawać się będzie ciemniej, tym bardziej będą one rosnąć, potęgnić; w końcu – złączą się z sobą i zleją w jedną gigantyczną czaszę, w jedno świetliste sklepienie. I znów: te łuny to światła Wielkiego Miasta, światła Lewiatana, Molocha. Łuny Miasta, które TY, owszem, na moment możesz stracić z oczu, lecz które CIEBIE ani na chwilę nie chce stracić ze swego pola widzenia...

To ciekawe. Jako wynalazek miasto liczy już tysiące lat. Lecz dopiero XX w. nadał mu pełną jego skalę, barwę, moc. Jeszcze w początkach XX w. tylko 14% ludności świata skupiało się w miastach. Lecz już w 1950 r. było jej tam 600 mln, zaś w 1986 r. aż 2 mld. Bez ryzyka błędu można więc powiedzieć, że – mimo swego nadzwyczaj długiego i udokumentowanego rodowodu – URBANIZACJA TO FENOMEN TYPOWY DLA XX w. Jest jeszcze jeden wyróżnik. Bo choć zjawisko to wywodzi się z Europy, a przede wszystkim z Ameryki Północnej, szczególną skalę i najbardziej wynaturzone proporcje zyskało ono w krajach najbiedniejszych, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej. To jest właśnie główna przyczyna bóli głowy prognostyków i planistów. Jeśli występujące dziś na półkuli południowej trendy w ciągu najbliższych lat nie ulegną

zahamowaniu (a niewiele na to wskazuje!), za następne lat 30, w skali świata, liczba ludności skupiającej się w miastach co najmniej podwoi się.

Ameryka Łacińska to urbanistyczne Himalaje, a przynajmniej Tybet. Aż 65% ludności zamieszkuje tam w miastach; to region, w którym znajduje się największa liczba aglomeracji-olbrzymów; wystarczy wymienić Mexico City, Sao Paulo, Buenos Aires, Limę, Rio de Janeiro i Montevideo. Ludność tego kontynentu wzrasta średnio o 2–3% rocznie, lecz na obszarach zurbanizowanych przyrost ten potrafi przekroczyć nawet 3%. U schyłku wieku ponad 466 mln Latynosów zamieszkiwać będzie w miastach, co będzie stanowić 3/4 całej tamtejszej ludności. Żeby być bardziej obrazowym – pamiętając, że tym urbanistycznym centrum w poszczególnych krajach jest stolica, to tak jakby w chwili obecnej, w Polsce, w Warszawie, zamieszkiwało blisko 30 mln osób!

Na drugim biegunie znajduje się Czarny Ląd – Afryka. To z kolei kontynent o zdecydowanie najniższym współczynniku urbanizacji. Tylko 30% ludności zamieszkuje tu w metropoliach, lecz taki stan najprawdopodobniej nie potrwa już nazbyt długo. Ludność miast wzrasta tam bowiem obecnie o 5% rocznie; przyczynia się do tego m.in. galopująca degradacja gleb na terenach wiejskich, pustoszenie pastwisk, głód oraz wieloletnia już susza. Dziś zaledwie 175 mln Afrykańczyków zamieszkuje w miastach, lecz w 2000 r. będzie ich tam już 368 mln. Oznaczać to będzie dziesięciokrotny wzrost w porównaniu z 1950 r. **NAJSŁABIEJ ZURBANIZOWANY KONTYNET UPANIZUJE SIĘ WIĘC DZIŚ NAJSZYBCIEJ.** Oto następny powód do autentycznego zmartwienia. W skali globu bowiem, system ekologiczny Afryki jest najmniej odporny i najłatwiej w nim o trwałe zaburzenia. Ma on *najmniejszą nośność ekologiczną*; łatwiej wytrzymuje obciążenia równomiernie rozłożone na dużych powierzchniach niż nacisk skoncentrowany punktowo. Punktami takiego „nadmiernego obciążenia” są – i w przyszłości w coraz większym stopniu będą – właśnie aglomeracje i miasta.

Miedzy tymi dwiema skrajnościami – Ameryką Łacińską i Afryką – lokuje się Azja. Tutaj obraz jest mniej jednoznaczny, nieco bardziej skomplikowany; obok siebie występują regiony o znacznej przewadze miast, lecz również takie, gdzie nadal dominują osiedla o charakterze typowo wiejskim. Przykładowo – takie kraje, jak Taiwan, Korea Południowa, czy Japonia są w przeważającej części zurbanizowane, lecz tempo wzrostu miast od pewnego czasu ulega stopniowemu spowolnieniu. Natomiast Indie i Chiny – mimo tylu różnych programów modernizacyjnych! – to nadal przede wszystkim społeczeństwa agrarne (odpowiednio 24 i 32% ludności zamieszkuje w miastach). Lecz i tam nastąpiło wzmoc-

nie migracji ludności wiejskiej do miast; obecnie migracja ta trwa już tam nieprzerwanie. Identyczne tendencje zarysowały się także na południu kontynentu: w Tajlandii, Indonezji i na Filipinach. Społeczeństwa Azji Południowo-Wschodniej urbanizują się dziś w przyspieszonym tempie; przyrost ludności miast jest tam przeciętnie o 1-2% wyższy od wzrostu zaludnienia na terenach wiejskich.

Jeszcze do niedawna miasta o ludności przekraczającej 5 mln były ewenementem, należały do rzadkości. Dziś odnaleźć je można dosłownie na każdym kontynencie. Jak się przewiduje, w 2000 r. trzy spośród pięciu aglomeracji liczących ponad 15 mln mieszkańców (Mexico City, Sao Paulo, Kalkuta) będą się znajdować w trzecim Świecie. W Azji znajdzie się 15 spośród 35 największych miast świata, zaś w Afryce – choć obecnie tylko Kair mieści się tam w kategorii pięciomilionowych kolosów – ma ich być aż 8. Szybkość urbanizacji południowej, biedniejszej półkuli jest czymś fenomenalnym; jest czymś bez jakiegokolwiek precedensu w historii. Wielki Londyn, by rozrosnąć się siedmiokrotnie (od 1,1 mln mieszkańców do 7,3 mln), potrzebował z górą stu lat (1800–1910); podobnie było w przypadku Paryża. Tymczasem dziś największe miasta w krajach rozwijających się taki sam przyrost są w stanie osiągnąć w ciągu niespełna jednej generacji.

Dlaczego?

Mówiąc najkrócej – wynika to z etiologii nędzy. Wielkie Miasta krajów najbiedniejszych rozrastają się przede wszystkim dzięki nieprzerwanemu napływowi ludności migrującej z zapóźnionej w rozwoju wsi. Imigrantami tymi są ci, którzy postanowili rozerwać swoistą, bardzo stabilną, ale przez to właśnie zabójczą subkulturę wiejskiej nędzy. Nędza, ubóstwo wykazują bowiem niezwykle zdolność do samoodtwarzania i samopomnażania tworząc krąg, z którego bardzo trudno jest się wyrwać. Może zabrzmi to jak truizm, lecz w rzeczywistości wcale nim nie jest; stwierdzenie to można podprzeć autorytetem jednego z najbardziej znanych ekonomistów amerykańskich, Johna Kennetha Galbraitha: GŁÓWNA PRZYCZYNA NĘDZY JEST... SAMA NĘDZA! Stulecia życia w ubóstwie zaowocowały przystosowaniem do niego. Tę utrwaloną przez czas równowagę na poziomie ubóstwa podtrzymują ludzie, których ono ukształtowało; każde rozwiązanie cząstkowe prowadzi przede wszystkim do wzrostu liczby ludności, to zaś natychmiast oddala perspektywę poprawy sytuacji. Minimalna jest tam także skłonność do wprowadzania jakichkolwiek zmian i innowacji w ustalonym od dawien dawna sposobie życia i gospodarowania. Wszak każda innowacja pociąga za sobą pewne ryzyko niepowodzenia. A tu niepowodzenie ma jeszcze jedną szczególną cechę: jego skutki mogą okazać się niszczące i natychmiastowe –

dla rodziny żyjącej na poziomie egzystencyjnego minimum nieudane zbiory oznaczają głód, a może nawet i śmierć. To, że wśród najbiedniejszych niechęć do ryzyka jest aż tak wielka, ma bardzo prozaiczne przyczyny.

W ten sposób wiejska nędza nieustannie tworzy własne samopotwierdzenie i nieprzerwanie odtwarza samą siebie. Doświadczenie uczy, iż wyrwanie się z tego zakłętą kręgu, bez wyrwania się ze środowiska zapóźnionej wsi, jest prawie że niemożliwe; że konieczny jest uraz, szok, jakościowy przeskok; iż jednym z rozwiązań rokujących nadzieję jest właśnie migracja. Emigracja do innego kraju. Albo – migracja ze wsi do MIASTA. Ubóstwo w mieście – albo nawet w otaczających je slumsach! – jest dużo łatwiejsze do zniesienia niż trwanie w bezruchu, niżli trwanie w wiejskiej nędzy. Nędza w mieście jest bowiem strukturą dynamiczną, oferuje przynajmniej nadzieję – jeśli nie szansę – jej przezwyciężenia. Nędza wiejska jest natomiast stagnacją, jest totalnym bezruchem. Jest stanem praktycznie niezmiennym, doskonale zakonserwowanym, zaprzeczającym i urągającym samej istocie człowieczeństwa. Dlatego dla pojedynczego człowieka taka ucieczka od kultury ubóstwa i zapóźnienia może się okazać skutecznym rozwiązaniem. Sprawa komplikuje się dopiero wtedy, gdy dotyczy nie tylko jednostek, lecz dziesiątków lub setek tysięcy. Milionów.

Co dzieje się wtedy?

Następuje niekontrolowana i jakże trudna do ogarnięcia we wszystkich jej następstwach eksplozja. Eksplozja Wielkiego Miasta.

Dramat Wielkich Miast polega dziś przede wszystkim na tym, że zaczęły się one szczególnie gwałtownie rozwijać właśnie wtedy, gdy godzina ich rozkwitu powinna zacząć z wolna przemijać. Do początku lat pięćdziesiątych wzrost miast miał swoje czysto ekonomiczne uzasadnienie; tym, którzy decydowali się, by w nich produkować, wystawiać swoje ręce na sprzedaż i tam mieszkać, oferowało ono zwykle pełne kieszenie korzyści – nikt ani nic nie mogło ich zanegować. Lata pięćdziesiąte to kulminacja industrializmu w krajach najwyżej rozwiniętych. To czas szczytowania tendencji dążących do centralizacji i koncentracji. To epoka, gdy człowiek ruszył na tzw. podbój kosmosu, gdy z coraz większą wprawą zaczęto rozszczepiać atom, także – gdy pojawiać się poczęły pierwsze siłownie nuklearne. To czas największej wiary w potęgę technologicznego postępu, bezkrytycznej wiary w to, że SZCZĘŚCIE da się wytworzyć w FABRYCE, w MASZYNIE.

Bo czymże jest MIASTO? Przede wszystkim jest instrumentem – także ono jest MASZYNĄ! Frenetyczną, nerwową, gwałtowną. Wiecznie zagonioną i zadyszaną. Nie oglądającą się za siebie, nie oglą-

dającą się na nikogo, bezwzględną. Maszyną produkującą to, bez czego nie można wytworzyć czegoś innego. Koncentracja. Synchronizacja. Specjalizacja. Maksymalizacja. Standaryzacja. Centralizacja. Oto jej (jego) wytwory – pół tuzina zasad, bez których nie można się obyć w żadnym szanującym się koncernie, w żadnej szanującej się firmie i fabryce. W ten sposób historia miasta przedziwnie i nierozłącznie została spleciona z historią wału korbowego, koła i zębaki. Lecz po każdym przypływie, kiedyś, musi nastąpić także odpływ, toteż wraz z odchodzeniem tych tradycyjnych rekwizytów industrializmu w przeszłość, wraz z coraz bardziej zdecydowanym wypieraniem ich przez „micro-chips” – zminiaturyzowane obwody scalone, i ono – MIASTO – z czasem będzie musiało powędrować do zakurzonej, muzealnej gabloty, do lamusa.

Bo z biegiem lat to, co początkowo decydowało o powstawaniu miast i o ich rozroście, zaczyna przechodzić we własne zaprzeczenie. Zyski z koncentracji – w konfrontacji z wykładniczo wzrastającymi jej kosztami – z wolna przeradza się w chroniczny deficyt. Przykładowo – Nowy Jork zużywający rocznie blisko 2 mld m³ wody z własnych źródeł głębinowych uzyskuje tylko 2%, zaś pozostałe 98 musi sprowadzać z ujęć powierzchniowych oddalonych od aglomeracji niekiedy o dziesiątki kilometrów. I wcale nie jest to wyjątek, raczej reguła. Podobnie jest bowiem w Los Angeles (co trzeci litr wody pitnej w mieście tym pochodzi aż z rzeki Kolorado!), w australijskim Sydney (tylko 4% zaopatrzenia w wodę pochodzi z lokalnych ujęć wodnych) czy w Hongkongu, który jest zmuszony przesłać połowę swego zaopatrzenia na wodę pokrywać ze źródeł znajdujących się zagranicą i sprowadza ją z Chin. Najdramatyczniejszy obraz rysuje się jednak (znow!) w krajach najbiedniejszych i najbardziej zacofanych. Mexico City sprowadza wodę akweduktami z odległości 100–200 km, by Limie dostarczyć dostateczną ilość energii, przesyła się ją liniami wysokiego napięcia blisko 800 km, aż z pogranicza z Ekwadorem. Zaś takie miasta, jak Niamej, Lagos albo Delhi, które nie mogą liczyć na inne sposoby zaspokojenia swych potrzeb energetycznych, oparły się na lokalnych zasobach drzewnych, doprowadziły do katastrofy ekologicznej (nasiliło się to szczególnie po skokowych zmianach cen paliw płynnych na początku lat siedemdziesiątych). Niekontrolowany wyrąb lasów w ich najbliższym otoczeniu przyczynił się do przyspieszenia procesów pustoszenia i przesychania, pozbawiając ziemię jakiegokolwiek okrywy roślinnej w promieniu do 200 km!

MIASTO, by móc egzystować, wymaga dużej koncentracji energii, wody, żywności – takiej ich koncentracji, która nigdzie nie występuje w stanie naturalnym w przyrodzie; koncentracji, którą

informacja. Na nowo odkryje się także wiele podstawowych praw urbanistyki. W nieładną popadną tak energochłonne kilkudziesięciopiętrowe kolosy, powrócą dziedzińce i patia, będące – jak się okazuje – czy to latem, czy zimą najekonomiczniejszym termicznym buforem. Na nowo ożyje dawne „plaza” i „piazza” – „polis”. Jednak w większości życie z aglomeracji krok za krokiem zacznie się przenosić na wieś. Dzięki powszechnej komputeryzacji i niezawodnej łączności nie utraci ono nic ze swej miejskiej jakości, doda do niej tylko zalety życia zdecentralizowanego, swobodnego, toczącego się w bezpośredniej bliskości przyrody. I znów można sobie wyobrazić sytuację, jak ta przedstawiona na wstępie. Jakiś zagubiony podróżnik będzie podążać autostradą gdzieś na trasie między Bostonem a Nowym Jorkiem. I patrząc z niedowierzaniem na opustoszałe betonowe bryły będzie sam siebie zapytywać: Czy w tych kamiennych skrzyniach rzeczywiście mógł kiedyś ktoś pracować i mieszkać? Czy podręczniki historii aby na pewno się nie mylą?

Czy w tych kamiennych boksach mogli kiedyś mieszkać tacy jak my – PRAWDZIWI LUDZIE?

Roman Warszawski



książki

**Chrystologia w sytuacji
dialogu**

John Pawlikowski

*Jesus and the Theology
of Israel*

Zaccheus Studies: Theology

Michael Glazier, Inc. 1989, ss. 99

W kontekście przemian w nastawieniu Kościoła do Żydów i judaizmu stała się pilna potrzeba ukształtowania nowego modelu wzajemnych stosunków. Chrześcijanom wydawało się, że ideałem jest nawracanie żydów, oni zaś widzieli w tym śmiertelne zagrożenie własnej tożsamości i podległe antysemityzmu. Wobec zaistniałych w naszym stuleciu okoliczności, wśród których dwie – Szoah i powstanie państwa Izrael – wybijają się na plan pierwszy, oraz w toku przebudowy samoświadomości Kościoła podjętej na II Soborze Watykańskim teologowie coraz wyraźniej dostrzegają, że rzeczywistość judaizmu ma pozytywny sens.

W nurcie ostatnich dyskusji teologicznych pojawiła się niewielka objętością, lecz obfita w treść książka Johna T. Pawlikowskiego OSM. Ten amerykański ksiądz polskiego pochodzenia jest profesorem etyki społecznej w Catholic Theological Union w Chicago i należy do czołówki uczo-

nych stymulujących dialog między religiami w Stanach Zjednoczonych. Jest członkiem Sekretariatu Konferencji Biskupów USA do Spraw Stosunków Katolicko-Żydowskich i od lat aktywnie uczestniczy w zjazdach i konferencjach chrześcijańsko-żydowskich. W marcu 1986 r. wygłosił też dwa gościnne wykłady w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Wydał sporo publikacji poświęconych trudnym kwestiom dialogu z judaizmem, a w lecie 1989 r. był współodpowiedzialny za realizację unikalnego programu zorganizowanego przez Spertus College of Judaica w Chicago dla 22 profesorów polskich seminariów duchownych i wyższych uczelni teologicznych. Książka „Jezus a teologia Izraela” ukazała się w serii pomyślanej jako zwięzłe wprowadzenie do podstawowych prawd wiary chrześcijańskiej.

Rozdział I, zatytułowany „Dwudziestowieczne tendencje w ujmowaniu stosunku Jezusa do judaizmu” (s.9–47), zaczyna się od przypomnienia tradycyjnych modeli postrzegania judaizmu przez Kościół. Model „pro-roctwo-wypełnienie” zakładał, że wszystkie nadzieje mesjańskie ST znalazły najdoskonalsze i całkowite wypełnienie w Jezusie Chrystusie i w Kościele, tak że judaizm stał się przeżytkiem. Model „wolności” sugerował uwolnienie od więzów Prawa, którym ciągle podlegają „zasłепieni” Żydzi. Posoborowa refleksja teologiczna wykazała krzywdzące jednostronności obydwu podejść. Nie jest prawdą, że judaizm się przeżył i nie ma racji bytu, tak samo jak nie jest prawdą, że jego wyznawcy są obarczeni zbyt ciężkim balastem wymogów Prawa, od których wolni są chrześcijanie. Dlatego w

przegląd różnych konfliktów lokalnych w świecie, w których zaangażowane są Stany Zjednoczone, i zauważa, że zbyt rozciągnięty front kosztuje USA tak wiele, że nie są one w stanie sprostać konkurencji ekonomicznej Japonii. Symptomem tego rodzaju trudności jest niewątpliwie fakt, że większość telewizorów i rosnąca część samochodów na rynku amerykańskim pochodzi z Japonii. Nadwyżka USA w handlu artykułami o najnowszej technologii spadła z 27 mld dol. w 1980 r. do 4 mld dol. w 1985 r. (s. 525). Wraz z deficytem w całym handlu, deficytem budżetowym oraz nadmierną eksploatacją dotowanego przez skarb federalny rolnictwa stwarza to istotne zagrożenie dla amerykańskiej potęgi gospodarczej.

Analizę sytuacji w bloku radzieckim opiera Kennedy na pojęciu *wewnętrznych sprzeczności*, zaczerpniętym z arsenału marksistowskiego. Po pierwsze autor zauważa rosnącą sprzeczność pomiędzy celami państwa radzieckiego a metodami ich realizacji. Dotyczy to zwłaszcza niemożności żywienia własnej ludności przez państwo aspirujące do roli supermocarstwa. Po drugie Kennedy dostrzega ogromne marnotrawstwo zasobów materialnych w ZSRR. Przykładem jest zużycie węgla i stali na 1000 dol. produktu narodowego brutto. W ZSRR wskaźnik ten jest trzykrotnie wyższy niż w RFN, jeśli chodzi o węgiel i prawie pięciokrotnie, jeśli chodzi o stal (s. 493). Po trzecie ekstensywne zużycie siły roboczej stawia pod znakiem zapytania dalszy rozwój ekonomiczny ZSRR, gdyż jego zasoby pracy będą się powiększać w tempie malejącym. Po czwarte wreszcie ZSRR zostaje w tyle pod względem

technologii i jej zastosowań gospodarczych i wojskowych. Co więcej, zauważa Kennedy, blok państw komunistycznych staje się z wolna obciążeniem, a nie korzyścią dla państwa radzieckiego. Jednym z tego przykładów jest, zdaniem Kennedy'ego, armia polska, na której trudno by było Związkowi Radzieckiemu polegać w chwili próby (s. 509). *Wszystko to nie świadczy – pisze Kennedy (tekst powstał w 1987 r.) – że ZSRR jest bliski załamania ani że należy go uważać za państwo o nadprzyrodzonej potęgę. Oznacza to, że ma on przed sobą niełatwy wybór /.../ Bez swej potęgi wojskowej nie liczy się zbyt w świecie, natomiast jego siła wojskowa wywołuje obawy innych państw i zagraża gospodarce ZSRR (s. 513–514).*

Japonia wyrosła na potęgę światową na początku XX w., choć jeszcze po I wojnie światowej była nie doceniana przez pozostałych członków klubu wielkich mocarstw. Dopiero II wojna światowa pokazała, jak wielką energię imperiotwórczą posiadała Japonia, zaś po klęsce 1945 r. okazało się, że energia ta znalazła ujście w gwałtownej ekspansji ekonomicznej. O ile Chiny mogły być zaliczane do niedawna do roli mocarstwa głównie ze względu na swój potencjał ludnościowy, dopiero początek lat 80. stworzył, zdaniem autora, szansę spełnienia przez Chiny również gospodarczych przesłanek pozycji wielkomocarstwowej. Obecnie, po buncie studentów i jego krwawym stłumieniu przez armię, nie jest jasne, czy szybki rozwój gospodarczy z początku lat 80. da się w Chinach utrzymać. Jedną z przepowiedni Kennedy'ego stała się więc pod znakiem zapytania.

Piątym członkiem klubu wielkich mocarstw roku 2000 ma być, według autora, Europa. Przez Europę rozumie jednak Kennedy w zasadzie jej zachodnią część. Państwa komunistyczne Europy Wschodniej wyłącza on z rozważań *ze względów praktycznych* (s. 471). Jedyne wyjątkiem jest gotów uczynić dla NRD. Pogląd Kennedy'ego na sprawę niemiecką jest niezbyt konsekwentny. Z jednej strony uważa on, że jest naturalne, by *wszyscy mówiący po niemiecku połączyli się w jednym państwie – według praktyki ostatnich dwóch stuleci*. Nie sądzi jednak, by w takim przypadku Niemcy mogły stać się punktem ciężkości w Europie (s. 477). Bardzo to dziwne. Po pierwsze ludy niemieckojęzyczne nigdy nie miały jednego państwa, zaś próby zjednoczenia Niemiec nigdy dotąd nie wychodziły Europie na dobre. Po drugie nie wiadomo, na czym Kennedy opiera swe przekonanie, że zjednoczone Niemcy nie zdominują Europy, choćby pod względem gospodarczym, tym bardziej iż na następnej stronie sam wydaje się aprobować opisywane przez siebie obawy radzieckie przed wzrostem potęgi zjednoczonych Niemiec.

Książkę Kennedy'ego trudno ocenić jednoznacznie. Dotyczy to jednak wielu syntez. Z jednej strony autor dysponuje dużą wiedzą na niektóre tematy i przekonująco przedstawia niektóre ogólne trendy nowożytnej historii. Z drugiej jednak strony jego synteza zawiera luki, niekonsekwencje lub niezgrabności stylistyczne. Słabością książki jest zbyt ograniczenie pola widzenia do czynników materialnych: ekonomicznych i wojskowych. Jak zauważył w swej recenzji

pracy Kennedy'ego James Joll („The New York Book Review” 4 II 1988 r.), przed upadkiem szacha w Iranie można było przewidywać, że rozwój ekonomiczny tego państwa doprowadzi je do pozycji mocarstwowej. Rewolucja islamska sprawiła, że miejsce Iranu w świecie jest dziś znacznie trudniejsze do przewidzenia. Amerykański skrót GDP (produkt krajowy brutto) sparafrazował ktoś niedawno na *Grossly Deceptive Product* (wielce zwodniczy produkt). Jest w tym ostrzeżenie dla historyków, by nie ograniczali swych zainteresowań do czynników wymiernych i materialnych. Mimo to książka Kennedy'ego już uzyskała znaczące miejsce w historiografii dzięki ogromnej publicy autorstwa.

6 VI 1989 r. Kennedy wystąpił w panelu zorganizowanym przez Uniwersytet Maryland na temat teorii upadku Stanów Zjednoczonych („The Decline School”). Współdyskutantami byli: Walt Rostow, autor „Politics and the Stages of Growth” (1971), oraz William McNeill, którego najbardziej znana praca to „The Pursuit of Power” (1982). Impreza ta była warta zobaczenia przede wszystkim ze względu na sposób prezentacji poglądów przez prominentów amerykańskich nauk społecznych. W wielkim audytorium uniwersytetu zebrało się kilkaset osób, głównie studentów, ale także pracowników i profesorów uniwersytetów waszyngtońskich. W świetle jupiterów pojawili się bohaterowie wieczoru, by w krótki i efektowny sposób przedstawić publiczności swoje teorie, a następnie odpowiadać na pytania. Większość z tych pytań, skierowanych, zauważyłem, do historyków, dotyczyła przyszłości, i choć mówcy

dążenie młodych do wyjścia na powierzchnię życia artystycznego, co można uznać za naturalne; wyrażała także, bardzo charakterystyczne dla najmłodszej generacji malarzy i rzeźbiarzy, dążenie do urynkowania, co również, jak wiemy skądinąd, może być pożyteczne (pod warunkiem że nie jest celem samym dla siebie). Żywiotowa forma i pewna spontaniczność poprzedniego pokazu mogła budzić sympatię, zarysowywał on wiele dróg dla młodej sztuki.

Wystawa p.t. „Czerwone i białe” wybiera drogę, która nie budzi sympatii. Wnioski, jakie wyciągnęli organizatorzy z poprzedniego pokazu, i rodzaj programu, jaki się im wyłonił, streścić można z grubsza tak: koniec z żywiołem, chaosem i rozchełstaniem, sztuka to towar, zaś jej właściwy kontekst to dom towarowy. Wystawa ma miejsce w jasnej, klarownej przestrzeni, łagodnym świetle, z towarzyszeniem miękkiej muzyki. Charakterystyczne kontrapunkty stanowią kolorowe parasole, jakby kawiarniane, i stoisko z zachodnimi materiałami malarskimi. Zdają się one mówić: sztuka może być tak kusząca, jak kosmetyki, elektronika i wszelkie inne dobra konsumpcyjne. Katalog to potwierdza, jest naprawdę luksusowy i w twardej okładce, to rzadkość nawet na Zachodzie. Całość wyraża, jak sądzę nieźle, nowe polityczne założenia „zreformowanego” centralnego mecenasa kultury (rzecz działa się, pamiętajmy, jeszcze przed uformowaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego). Wystawa może stanowić artystyczne uzupełnienie sierpniowego „urynkowania” rolnictwa.

Tak więc uporządkowanie, stonowanie ekpozycyjne, niewątpliwie po-

zostające w zgodzie z pewnymi procesami w samej twórczości artystycznej, podnosi do rangi normy jej najmniej ciekawy aspekt. Właściwie obnaża słabości młodej sztuki. Gdyby nie wypowiedzi i postawa komisarzy wskazujące, iż zrobili tę wystawę w najlepszej wierze, mógłbym przypuszczać, że chichocząc w duchu chcieli pokazać, jak łatwo zbuntowanego demonicznego artystę zmienić w pluszowego misia i posadzić na półce z zabawkami. Jeśli to ma być ta reklamowana w katalogu „po-ekspresja”, to jest to chyba oczywiste nieporozumienie.

Interesujący, dobrze napisany tekst Krzysztofa Stanisławskiego o sztuce w ZSRR zawarty w katalogu ma bardzo nieprzekonywające odbicie w tym, co znajdujemy na wystawie. Kluczowe dla wystawy zestawienie sztuki polskich artystów z obrazami malarzy z ZSRR jest mdłe – ani zimne, ani gorące. Myślę, że jest to wyraz nie tyle obiektywnej sytuacji, ile po prostu skutek złe pomyślanego doboru prac. Mamy do czynienia z zestawem uśrednionym, wygładzonym, nie dającym większej przyjemności zmysłom ani intelektowi. Drugi tekst Stanisławskiego w katalogu, na temat polskiej sztuki lat 80. („Od nowej ekspresji do po-ekspresji”), jest kompetentny, choć czytałem go już z mniejszym zainteresowaniem. Stanisławski dość mocno akcentuje związek polskiej sztuki z międzynarodowym Art World. Jestem zwolennikiem przynajmniej porównywania sztuki polskiej z tym, co dzieje się na światowej scenie, wydaje mi się jednak, że Stanisławski zbyt pośpiesznie traktuje rodzimy kontekst i destrukcyjną rolę stanu wojennego jakby trochę na

zamówienie mecenasa, który dziś skwapliwie odsuwa tamten czas w zamierzoną przeszłość. Państwowy mecenat po wojnie zawsze preferował to co ogólne, uniwersalne, ponadnarodowe, a już szczególnie wtedy, gdy rodzime stawało się opozycyjne. Inaczej to oczywiście wyglądało w latach 50. niż dziś. (A jeszcze inaczej w latach 70., gdy sam z naiwnym zapałem robiłem dużą wystawę za państwowe pieniądze.) Myślę, iż problem m.in. polega na tym, że trzeba umieć wyraźnie oddzielać to, co wynika z normalizacyjnych ciągów „kompleksu sztuki”, szczególnie gdy stoi za nim państwo, od tego, co stanowi akces na rzecz uniwersalnych wartości. Czy możliwe jest takie oddzielenie? Sądzę, że trzeba przynajmniej próbować.

Ciekawostką interpretacyjną na tej wystawie stanowią prace dwóch rzeźbiarzy: Andrzeja Renesa i Piotra Rzczkowskiego. Jeśli ktoś naprawdę interesuje się współczesną rzeźbą, nazwiska te nie są mu obce. Pierwszy jest bowiem autorem pomnika kard. Stefana Wyszyńskiego, drugi – projektantem nagrodzonego lecz zaniechanego w realizacji („solidarnościowego”) pomnika Powstania Warszawskiego. Spotkanie z indywidualną niepomnikową twórczością tych rzeźbiarzy było dla mnie bardzo pouczające. Na widok „kompozycji przestrzennej” Renesa i dwóch prac Rzczkowskiego mój instynkt odpowiedział mi – to słabe. Później przyszło mi do głowy dość argumentów, aby potwierdzić tę intuicję (zaczekam z nimi na jakąś indywidualną wystawę tych artystów). Tutaj nasuwa mi się tylko dość ogólna uwaga uzasadniająca w pewnym stopniu ową niespodziewaną rozbieżność między uda-

nymi (lub przynajmniej uznanymi) pomnikami a mało ciekawą, moim zdaniem, indywidualną ekspresją obu rzeźbiarzy. Pomnik jest niewątpliwie opcją na rzecz tego co ogólne, uniwersalne, odwołuje się do wspólnego dla pewnej zbiorowości zespołu wartości. Własne, „prywatne” dzieło sięga ku temu co niepowtarzalne, skryte, niejasne, czasem ciemne i podejrzane. Myślę, że tworzy się pewna dość rozległa przestrzeń pomiędzy dziełem pomnikowym a indywidualną ekspresją twórcy, nie każdy potrafi pokonywać ją w jedną i w drugą stronę. Talent twórcy pomnika nie jest talentem liryka.

Piszę o tym z myślą o pewnym uogólnieniu odnoszącym się do całej wystawy. Obaj rzeźbiarze stanowią dobry przykład twórców otwartych na inne wartości niż te reglamentowane do tej pory przez władze. Jeden jest autorem skupiającym myśli i uczucia katolików, drugi – rzecz by można – ofiarą arogancji władzy wobec niezależnego komitetu budowy pomnika będącego w centrum uwagi wszystkich patriotów. Obecność prac obu artystów na wystawie jest mocnym argumentem świadczącym o otwartości organizatorów. Obaj twórcy reprezentują też ów zdecydowany ruch ku formie, przeciwko chaosowi. Wszystko bardzo pięknie, a jednak coś nie tak. Wartości, których poszukujemy w pomniku, nie akceptujemy w dziele będącym wypowiedzią osobistą. Z uniwersalności wychodzi zwykły banał, z „syntetycznej formy” wieje nudą...

W tych bardzo złożonych relacjach pogubili się trochę organizatorzy całej wystawy. Posługują się oni bardzo delikatną materią artystyczną – pra-

camii ludzi młodych, wykrzykujących siebie. Kierują ten wezbrany potok częściowo na rynek sztuki, częściowo na chwałę liberalnej polityki centralnego mecenasa. Nie wszystkim artystom to się podoba, wielu wybiera inne formy „normalizacji”. Toteż organizatorzy chętnie szukają tych, których trudno posądzić o serwilizm, zbyt pospiesznie jednak akceptując ich sztukę. Bierze się również artystów dobrych, którzy nie odmawiają (jest ich kilku na wystawie), pośród reszty dokonując selekcji pospiesznej, arbitralnej. Skutek jest taki, że podaje się jako świeże prace będące tylko kopiami innych wzorów, reklamuje się artystów dopiero w trakcie formowania się ich osobowości. Publiczny zgiełk i reklama mają zastąpić namysł, ostrożność i delikatność tak bardzo konieczne w sztuce.

Takich błędów nie popełniają organizatorzy wystawy „Polak, Niemiec, Rosjanin”. Styl pracy Andrzeja Bonarskiego (jest to kolejna wystawa sponsorowana przez niego) zjednał mu zaufanie artystów. Toteż może on swobodnie sięgać do twórczości wybitnych artystów różnych generacji, orientacji artystycznych i towarzyskich. Mimo że nie zawsze zgadzam się z jego wyborami, przyznaję, że wystawy skłaniają do poważnych sporów o sztukę. Trudno nie docenić uporu, z jakim usiłują one drażnić najistotniejsze problemy współczesnego polskiego malarstwa i rzeźby.

Sądzę, że jest to również zasługa M. Sitkowskiej, której rola w przygotowywaniu tych wystaw staje się pierwszoplanowa. Jej wiedza o sztuce ostatnich lat imponuje mi, toteż z uwagą wczytuję się w jej katalogowe teksty. Oczywiście po to, by się z nią

nie zgodzić. W tych ostatnich z uporem dziecka docieka ona emancypacyjnego wątku sztuki ostatnich, powiedzmy, 20 lat. Chętnie dostrzega w praktyce artystycznej wszelkie formy krytyki, kultury, społeczeństwa, państwa, sztuki. Jej zainteresowania krążą wokół kontrkultury, pokoleniowego rozdziału awangardy i pseudoawangardy. Chętnie sięga po twórczość, w której artysta bezceremonialnie odstawia treści zepchnięte do podświadomości, ujawnia to, co stłumione, podejrzone, ciemne. Wyłania się z tego coś w rodzaju „normy negatywnej”. Spór z Sitkowską, do którego uwerturą może być przytoczony tu fragment wywiadu z Cz. Miłoszem, pozostawiam sobie jednak na inną okazję.

Jan Stanisław Wojciechowski



teatr

Czyste szaleństwo

Teatr St. I. Witkiewicza w Zakopanem: „Sonata b” według Stanisława I. Witkiewicza, „Jak wam się podoba” Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. Opracowanie tekstu, scenografia i reżyseria – Andrzej Dziuk. Muzyka – Jerzy Chruściński. Premiery 1989.

Andrzej Dziuk konsekwentnie buduje swój teatr zgodnie z programową koncepcją maksymalnej teatralizacji znaczeń wydobytych z tekstu literackiego traktowanego bardziej jako pretekst niż podstawowe tworzywo spektaklu. Osobowość reżysera wyraża się już poprzez stosunek do scenariusza. Ku zgrozie zapewne purytańskich literaturofilów Dziuk inkrustuje klasyczne teksty innymi „klasykami” (np. Calderona księdzem Baką i Apokalipsą), inscenizuje arcydzieła literatury światowej przykrawając je śmiało do własnych koncepcji scenicznych (Abelard, Dostojewski, Marquez), a w ostatnio wyreżyserowanych sztukach szaleje na tekście eliminując postacie i wycinając całe partie dialogów i monologów, niekiedy nawet (zwłaszcza w przypadku Szekspira-Słomczyńskiego) poprawiając poszczególne kwestie. Owe cięcia nie są spowodowane wyłącznie ograniczoną liczbą aktorów ani limitami czasowymi koniecznymi ze względu na trudne wciąż warunki lokalowe teatru. Ingerencje w tekst mają najczęściej charakter nie mechaniczny, lecz arbitralny i usuwają fragmenty zbędne z punktu widzenia scenicznej funkcjonalności. W ogóle dynamizacja akcji i działań scenicznych za wszelką cenę i wszelkimi sposobami to imperatyw artystyczny Dziuka. Bogactwo pomysłów inscenizacyjnych, szczególnie plastycznych i muzycznych, decyduje o atrakcyjności jego scenicznych collage’y.

„Sonata Belzebuba czyli prawdziwe zdarzenie w Mordowarze”, bo tak brzmi pełny tytuł tego dramatu, jak wiele utworów scenicznych Witkacego, raj dla reżyserów z wyobraźnią. A. Dziuk daje w inscenizacji tej sztuki

opis scenicznego wizjonerstwa. Pewnie przesadam w zachwytach, ale taka już jest natura emocji. Teatr oddziałuje głównie na uczucia, najgłębsze nawet idee przedstawione w obrazach, nie w formie dyskursywnej, prowokują bardziej wyobraźnię niż intelekt. Słowo padające ze sceny jest maską, pseudonimem myśli, nie jej adekwatnym znakiem. Dlatego dawny, starożytny teatr miał taką moc oddziaływania na tłumy: kształtował postawy i poglądy widzów, zapładniał ich dusze trafiając do nich poprzez zmysły wzroku, słuchu, bezpośredniego udziału w zbiorowych ekspiacjach, nie poprzez samotny mózół borykający się z przesłaniem literatury czy filozofii, jak to się dzieje podczas indywidualnej lektury. Witkacy znał doskonale specyfikę działania teatru, znamienne jest, że w ostatnich latach twórczości porzucił pisanie dramatów na rzecz prozy i szkiców z zakresu teorii literatury i filozofii. Wracajmy jednak do Dziuka, który dokonując wyboru „Sonaty Belzebuba” dla swoich celów zapewnił sobie część sukcesu. Zasadniczy pomysł reżyserski polega tu na wyodrębnieniu z materii dramatycznej sztuki największej ilości planów i zonglowanie nimi w celu stworzenia iluzji wielości, jednoczesności i wzajemnej zależności zdarzeń, a więc wielowymiarowości, symultaniczności scenicznego działania się. Akcja „Sonaty”, jednej z ostatnich sztuk Witkacego, przejrzysta i logiczna, rozwija i spełnia mordowarską legendę opowiedzianą przez starą mieszkankę Mordowaru, Babcię Julię, młodemu muzykowi Istvanowi Szentmichalyi. Legenda owa to po prostu Witkacowska wersja faustowskiego mitu o zaprzędaniu duszy

diabłu dla natchnienia. (Przypomnę tu, że Dziuk przedstawił wcześniej inne wcielenie tego mitu – „Doktora Faustusa” Marlowe’a.) Postulaty Czystej Formy kulminuje Witkacy w akcie drugim, tam, gdzie bezpośrednio toczy się *gra o przeżycie metafizyczne*. Cytuję tu Jana Błońskiego, który pisząc o przestrzeni dramatu Witkacego, o wzajemnych zależnościach mikro- i makrokosmosu jego świata, podkreśla rolę *zaczarowanego koła*, owej zamkniętej przestrzeni, w której postaci sztuki zmagają się ze swoją tajemnicą. W „Sonacie b” tym zaczarowanym kołem jest piekło.

Jak zatem funkcjonują względem siebie wspomniane wyżej plany? Dziuk opierając się na wiedzy dotyczącej politycznych i społecznych doświadczeń Witkacego poszerzył ekspozycję sztuki, pokazał mordowarskie wydarzenia na tle znacznie wykraczającym poza mikrokosmos dramatu, w skali, ogólnie mówiąc, układu sił w państwach Europy Wschodniej i Środkowej, jaki utrwalił się po zwycięskim bolszewickim Drang nach Westen w kilka lat zaledwie po proroczych prognozach i samobójczej śmierci pisarza. Animatorem tej rozbudowanej wizji „Sonaty” mógł być Konstanty Puzyna, zmarły niedawno wnikliwy interpretator twórczości Witkacego, który we wstępie do „Dramatów” tak komentuje rosyjski epizod biografii artysty: *Człowiek, który wraca do Polski w roku 1918, nie jest komunistą. Ale nie jest też zwykłym byłym oficerem carskim, który ocalał z kataklizmu. Witkacy widzi teraz świat z zupełnie nowej perspektywy – obcej zarówno polskiej jak i francuskiej awangardzie tych lat. Nie chodzi wyłącznie o znajomość*

spraw rewolucji i kontrrewolucji, o dostrzeganie pewnych prawidłowości procesów politycznych i społecznych, którym zaskakuje Witkiewicz nawet dzisiaj, choć diagnozy są groteskowo zdeformowane i nieraz splecione z zupełnie fantastycznymi wywodami. /.../ Ważniejsze, że rewolucja staje się dla Witkiewicza czymś nieuchronnym, więcej: koniecznym – a równocześnie katastrofalnym, bo przyspieszającym mechanizację społeczną, kres wielkich indywidualności. /.../ W konkretnych scenach z dramatów lub powieści widać zupełnie jasno, choć w groteskowo zdeformowanych wymiarach, jaki świat ginie, gnije, degeneruje się; „formacja burżuazyjna”, „byli ludzie”, sfery arystokracji, finansjery, dyplomacji, cyganerii artystyczno-naukowej, oddające się „szatańskim” orgiom w oczekiwaniu potopu. W teorii sztuki i historiozofii Witkiewiczowskiej rozrasta się to w zagładę WSZELKIEJ kultury. Dziuk poprzedza swoją „Sonatę b” bezsłownym prologiem, będącym dosadną aluzją do znanych praktyk „profilaktycznych”. We foyer teatru witają wchodzących groteskowo służbiste oblicza żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach, którzy nagłą strzelaniną i brutalnymi okrzykami zapędzają ludzi na widownię. „Internowaną” publiczność oślepią ostre światła reflektorów, zaś majacząca w półmroku sceny sylwetka aktora przez dobrą chwilę robi wrażenie „funkcjonariusza”. Wreszcie nad sceną zapala się obskurna lampa, a oświetlone nią prosty stół i krzesła dopełniają obrazu klasycznej izby zatrzymań. Dopiero porcelanowa zastawa na stole i fotel na kółkach ze starczą sylwetką Babci Julii nabierając optycznej ostrości przenoszą wi-

dzów w subiektywną przestrzeń sztuki. W mikrokosmosie mordowskiego salonu Dziuk urealnia kolejno trzy plany: wnętrze salonu jako centrum dramatycznego działania się; świat w wymiarze naturalistycznym z mieszkańcami Mordowaru, którzy mają dostęp do salonu przez zwyczajne drzwi (Hieronim baron Sakalyi, Krystyna Ceres, ciotka Istvana); i świat nadrzeczywisty, którego przedstawiciele, nosiciele metafizycznego wymiaru mordowskiej przygody (Teobald Rio Bamba, Hilda Fajtacy i Joachim Baltazar de Campos de Baleastadar) zstępują do salonu z wysokości secesyjnego okna. W akcie drugim, który jest według definicji Błońskiego *przedstawionym teatrem Czystej Formy*, owym *widowiskiem w widowisku, gdzie panuje udanie, maska, kostium*, wnętrze piekła rozprzestrzenia się w wizji Dziuka w trzy wymiary skonkretyzowane w formie oddzielnych planów. W pierwszym planie piekielnym odbywa się metamorfoza Baleastadara w Belzebuba i przeistoczenie Istvana z niewinnego marzyciela w demonicznego artystę, drugi plan to miejsce występów piekielnego kabaretu i jego głównej gwiazdy – Hildy, w trzecim, ulokowanym w głębi sceny planie zaświatowym pojawiają się przywołane przez Belzebuba widma trupów (kapitałny balet nagich ciał balansujących na linach, jakby animowane obrazy surrealistyczne) i przetworzone piekielnie postacie Sakalyi, Rio Bamby i Babci Julii w groteskowym transie tanecznym. Czarno-czerwono-siny kolorystyka piekła, a także gra cieni na ścianie, uzyskana dzięki zastosowaniu jako jedynego oświetlenia pierwszego planu ręcznych latarek i świecy,

doskonale komponują się z nastrojami bohaterów. W akcie trzecim dokonuje się kontaminacja obu światów dramatu – realnego i fantastycznego. Do salonu, w którym panuje nastrój oczekiwania na katastrofę, katastrofa ta wkracza pod postaciami przemienionego w martwą kukłę Istvana i triumfującego Belzebuba. Katastrofę dokumentują także, jakby ją antycypując, całkiem niesalonowe rekwiizyty pozbawione śladów jakiegokolwiek dystynkcji z pierwszego aktu. metalowe łóżko, rachityczne krzesło i specjalnie eksponowany żeliwny piecyk to wyraźne oznaki porewolucyjnej, komunistycznej nędzy. Fakt powieszenia się Istvana, nieunikniona konsekwencja jego losu, wydaje się mniej istotny w rozwiązaniu akcji sztuki niż owa sugestia totalnej zagłady wartości kształtujących świat przed katastrofą. Dziuk podsuwa widzom interpretację, że Belzebub jest zaledwie narzędziem jakiejś nadrzędnej i bynajmniej nie fantastycznej siły sprawczej. Reżyserowi udało się więc złączyć za jednym zamachem dwa końce historiozoficznego kija, którym wywija Witkacy, a w którym skupia się cały paradoks XX-wiecznej rzeczywistości: z jednej strony porewolucyjna dyktatura polityczna i niemoc społeczna prześladowanych, z drugiej groźby zniszczenia przez rozbestwione „masy” wszelkich przejawów indywidualizmu – tej gwarancji twórczego przeżywania Tajemnicy Istnienia. W ten sposób 15. premierą swego teatru A. Dziuk obświadczył 50. rocznicę śmierci St. I. Witkiewicza, który 18 IX 1939 r., nazajutrz po wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej, tą właśnie śmiercią protestował przeciwko prze-

powiedzianej przez siebie epoce zbydlęcenia.

Kilka słów o obsadzie. Piotr Dąbrowski jako Istvan – obiekt piekielnych manipulacji – jest najlepszy w scenach naiwnej walki z nadprzyrodzoną mocą Belzebuba. Piotr Sambor konsekwentnie wciela się w postać barona Sakalyi – arystokraty-dekadenta. Dorota Ficoń jako Babcia Julia i Andrzej Jesionek jako Rio Bamba zaskakują przede wszystkim autentycznie starczą ekspresją; zaskakują, gdyż są to aktorzy o najbardziej młodzieńczej aparycji w zespole. Karina Krzywicka jako demoniczna śpiewaczka Hilda i Marta Szmigielska jako licealistka Krysia – są bezbłędne. Krzysztof Najbor w roli Baleastadara-Belzebuba jest najwymowniejszy w scenach bezsłownych, kiedy wije się w mękach twórczej impotencji, pada na ziemię w napadach furii, a potem w magicznym transie zasluchania w dźwięki stworzonej już sonaty (świećna muzyka Chruścińskiego) niemalże unosi się nad ziemią w ekstatycznej pozie dyrygenta-geniusza.

A. Dziuk lubi eksponować na scenie nagość, przejmując go w ogóle mistyka ciała, co daje się zauważyć w „Sonacie b”, lubi też popisywać się sprawnością fizyczną swoich aktorów. Przyznał się niedawno, że cieszy go taki entuzjizm widowni, który przypomina fanatyczną ekstazę kibiców sportowych na stadionie. Popularność masowej kultury, w tym także fizycznej, powoduje, że nawet elitarne ambicje marzących o *rzędach dusz* nie gardzą tańszymi efektami. Ciało w jego najróżnorodniejszych funkcjach stanowi dla Dziuka podstawowe tworzywo teatralizacji komedii Szekspira. Miejscem akcji „Jak wam się podoba”

jest mata zapaśnicza, na której odbywają się autentyczne zapasy sportowe i, na wzór ich czy per analogiam, zapasy słowne i miłosne. Dziuk nazwał inscenizację Szekspira „próbą” w celu podkreślenia działań teatralnych, które kojarzą się jednoznacznie z atmosferą hali sportowej. W pierwszych scenach aktorzy występują w czarnych kostiumach przypominających gimnastyczne trykoty, zaś podczas spektaklu ci, którzy nie grają, wycofują się poza matę i widoczni dla publiczności także obserwują występujących „rywali”.

Klimat komedii Szekspirowskiej, tak odmienny od klimatu tragigroteski Witkacego, w zupełnie inne rejony przywiódł wyobraźnię reżysera. Tu nie groteskowa groza, surrealna dziwność i kabaretowa perwersja, ale pogoda, wdzięk, czar miłosnej przygody decydują o kształcie scenicznej wizji. Skracając ekspozycję sztuki Dziuk ograniczył do minimum ponurą wymowę braterskich waśni, zasadniczy obrót zdarzeń oddając w ręce dwu rozswawolonych dziewcząt – Rosalindy i Celii. One to i książęcy błazen Probiecek, grany brawurowo przez K. Najbora, stają się osią akcji. K. Krzywicka w roli Rosalindy pełna jest niekłamane uroku i naturalności, a D. Ficoń jako Celia ze swadą demonstruje swój żywiołowy temperament. Zabiegi reżyserskie Dziuka tak proste z pozoru są w gruncie rzeczy wyszukane. Ponieważ paru aktorów występuje tu w trzech kontrastowych wcieleniach, o ich metamorfozach decyduje przede wszystkim gra kostiumów. Kostiumy charakteryzują się symboliczną funkcjonalnością (np. książęce złoto szaty i pasterski wieniec), a nakładane na oczach widzów

mnożą efekty komiczne. Krzysztof Łakomik gra Olivera i Jacquesa, a także... zalotną pasterkę Febe. A. Jesionek jest na zmianę zawziętym Księciem Fryderykiem, jego wygnanym bratem i subtelnym pasterzem Silviussem. Lech Wołczyk z powodzeniem gra epizodyczne role Dworzanina, Księdza Martexta, wieśniaka Williama, a także lwicy walczącej z Orlandem, którego ze straceńczą determinacją kreuje P. Sambor. Baśniową aurę Ardeńskiego Lasu wydobywa Dziuk głównie poprzez uaktywnienie efektów plastycznych i muzycznych: ruch, kolor i przerwaniiki wokarno-instrumentalne powodują, że zapaśnicza mata staje się miejscem prawdziwie magicznego widowiska. Dzięki przebraniu się Rosalindy za mężczyznę komplikują się sytuacje *qui pro quo*, coraz szybciej toczy się karuzela miłosnych perypetii bohaterów, a festiwal zieleni w scenie ucztę przywodzi na myśl określone sceny malarskie. Rozrzucona na zielonej płachcie grupa osób z centralną postacią nagiej statystki aż nazbyt natrętnie przypomina znany obraz Maneta. Znalazłam także bardziej subtelne odniesienia, mianowicie do dawnego malarstwa włoskiego. Seledyny i żywsze zielenie ubiorów Rosalindy, Celii i Probiekka, naturalna zmienność ich póź, obfite kształty Natury i dworskie sylwetki Księcia Fryderyka i Olivera, a także koza (żywa), sarna (wypchana) i kosz pełen jadalnej zieleniny wywołały moją nagłą nostalgię za obrazami takich mistrzów, jak Giotto, Palma Vecchio, Tintoretto, Mantegna, Tycjan...

Takich to czarów dokonuje Andrzej Dziuk! A przecież ma tu jeszcze coś do powiedzenia sam Szekspir cza-

rując nas mądrością, polotem, zmysłowością i ułomnością swoich postaci, dowcipem Rosalindy i przewrotnością Probiekka, melancholią Jacquesa i gorączką miłosną Orlanda, a nawet debilizmem Audrey (w szokująco wiarygodnym wydaniu Marty Szmi-gielskiej). A nastrój sielankowej niefrasobliwości, w jakim rozwiązują się perypetie bohaterów, owa nierealna, baśniowa mikrop przestrzeń czystej ułudę działa jak balsam na rozbawioną publiczność zaspokajając jej sentymentalne pragnienia i wyobrażenia o życiu. Bo cóż to za przyjemność, oderwawszy się na chwilę od kolejki po mięso i zapominając o szokujących cenach masła i jajek, powtórzyć za Rosalindą, że *miłość jest czystym szaleństwem*, albo przyklasnąć Probiekowi, gdy w ten sposób motywuje swoje matrymonialne projekty: *Jak wół ma swe jarzmo, /.../ koń wędzidło, a sokół dzwonek, tak człowiek ma pragnienie...*

Pisząc półtora roku temu po raz pierwszy na tych łamach o Teatrze Witkacego nie szczędziłam słów aprobaty i podziwu. Nie ukrywam, że teatralne „czyste szaleństwo” uprawiane przez Dziuka nadal budzi moje uznanie. Utrzymać przez 5 prawie lat tempo, świeżość i intensywność życia czegoś, co programowo ma być permanentnym ZDARZENIEM, to do-prawdy duże osiągnięcie.

Adriana Szymańska

KSIAŻKI NADESLANE

„Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”. Organ Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz Archiwum Diecezjalnego we Włocławku. Pótrocznik. Tom 56. Lublin 1988.

Aneks

Krzysztof Dorosz, *Maski Prometeusza. Eseje konserwatywne*. Londyn 1989.

Biblioteka Narodowa. Instytut Książki i Czytelnictwa

Instytucje – publiczność – sytuacje lektury. Studia z historii czytelnictwa, pod red. Janusza Kosteckiego, t. 1. Warszawa 1989, nakł. 300+150 egz.

Bobolanum. Wydział Teologiczny Towarzystwa Jezusowego

Wiktor Gramatowski SI, *Polonika liturgiczne w Kongregacji Obrzędów 1588–1632. Studium z dziejów Kurii Rzymskiej*. Rzym – Warszawa 1988.

Instytut Wydawniczy Pax

Allen Andrews, *Zamek Crespin*, przeł. Irena Doleżał-Nowicka, wiersze przeł. Zofia Kierszys. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000+350 egz.

Georges Bernanos, *Pod słońcem szatana*, przeł. Zofia Milewska. Warszawa 1989, wyd. II, nakł. 30 000+350 egz.

Gleb Goryszyn, *Łyk świeżego powietrza*, z jęz. ros. przeł. Andrzej Bień. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000+350 egz.

Andrzej Grzegorzczak, *Etyka w doświadczeniu wewnętrznym*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000+350 egz.

Guareschi, *Dziesiąty spiskowiec*, przeł. Magdalena Dutkiewicz. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000+350 egz.

m. Urszula Ledóchowska, *Myśli*, wybór i wstęp Zofia Rautuszkiewicz. Warszawa 1989, wyd. II, nakł. 20 000+350 egz.

Zygmunt Lichniak, *Mój skorowidz poezji polskiej na emigracji*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 20 000+350 egz. (I rzut 10 000+350 egz.).

Stanisław Romuald Rybicki, *Jan de la Salle. Patron nauczycieli*. Warszawa 1989, wyd. II, nakł. 10 000+350 egz.

Jan Stępień, *O drugiej nad ranem*. Warszawa 1989, wyd. I.

Melchior Wańkowicz, *Monte Cassino*. Warszawa 1989, wyd. VIII, nakł. 50 000+350 egz.

ks. Józef Warszawski SJ, *Myśl jest bronią. Rozważania*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000+350 egz.

Jerzy Węgierski, *W lwowskiej Armii Krajowej*. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 30 000+350 egz.

Jezus z nami (modlitewnik). Warszawa 1989, wyd. VIII, nakł. 100 000+350 egz.

Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej

Roche Aimé OMI, „Świat należy do tego, kto bardziej pokocha...” *Błog. o. Józef Gerard OMI Apostoł Basutosów*. Poznań 1989, wyd. I, nakł. 30 000+350 egz.

Pallotinum

Kościół katolicki w Polsce 1987, oprac. ks. Witold Zdaniewicz SAC. Poznań – Warszawa 1989, nakł. 500 egz.

Polonia

Jakub Karpiński, *Portrety lat. Polska w odcinkach 1944–1988*. 1989, wyd. I.

Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

ks. Jan Kazimierz Nagórny, *Teologiczna interpretacja moralności Nowego Przymierza*. Lublin 1989, nakł. 100 egz.

Stefan Świeżawski, *Wielki przełom 1907–1945*. Lublin 1989, wyd. I, nakł. 5000 egz.

Evangelia według Marka. Apokalipsa, z jęz. grec. przeł. Czesław Miłosz, ilustr. Jan Lebenstein. Lublin 1989, nakł. 15 000+25 egz.

Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1925–1939 we wspomnieniach swoich pracowników i studentów, wstęp i redakcja Grażyna Karolewicz. Lublin 1989, wyd. I, nakł. 3000+25 egz.

Uniwersytet Jagielloński

Andrzej Chwalba, *Socjaliści polscy wobec kultu religijnego (do roku 1914)*. Kraków 1989, wyd. I, nakł. 200+22 egz.

Verbinum. Wydawnictwo Księży Werbistów

Dzień modlitwy o pokój w Asyżu, wprowadzenie kard. Franz König, komentarz Hans Waldenfels, przeł. Paweł Pachciarek. Warszawa 1989, wyd. I, nakł. 10 000 egz.

„W drodze”. Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów

Anna Kamieńska, *Dwie ciemności i wiersze ostatnie*. Poznań 1989, wyd. II uzupełnione, nakł. 20 000+350 egz.

Andrzej Kijowski, *Bolesne prowokacje*. Poznań 1989, wyd. I, nakł. 20 000 egz.

Tomasz Pawłowski OP, *Przewodnik dla zniechęconych spowiedzią i mszą świętą*. Poznań 1989, wyd. III, nakł. 30 000+350 egz.

Jacek Salij OP, *Tajemnica Emmanuela dzisiaj*. Poznań 1989, wyd. I, nakł. 30 000+350 egz.

Wydawnictwo Ojców Franciszkanów

Carlo Caretto, *Ja, Franciszek*, przeł. Maria Kosiarska. Niepokalanów 1989, wyd. II, nakł. 20 000 egz.

o. Augustyn Gemelli OGM, *Franciszkanizm*, przeł. o. Walenty Józef Surmacz OFMConv. Warszawa 1988, nakł. 10 000 egz.

ks. Antoni Słomkowski, *Matka Zbawiciela i Matka nasza. Trzydzieści rozważań maryjnych z przykładami z życia konwertytów XX wieku*. Niepokalanów 1988, wyd. I, nakł. 20 000 egz.

Wydawnictwo Znak

Lech Wałęsa, *Droga nadziei*. Kraków 1989, wyd. I, nakł. 100 000+350 egz. (I rzut 20 000 egz.).

Przypominamy

Od 1 stycznia 1990 r. pojedynczy zeszyt „Przeglądu Powszechnego” będzie kosztował 750 zł. W związku z powyższym prenumerata „PP” za rok 1990 wyniesie 8250 zł (za I półrocze – 4500 zł, za II półrocze – 3250 zł).

Prenumeratę „Przeglądu” można realizować wyłącznie za pośrednictwem naszej administracji, dokonując wpłaty na konto „Przeglądu Powszechnego”: Bank PKO, VI Oddział w Warszawie, nr konta 1560-51624-136, ul. Bagatela 15, 00-585 Warszawa. Przyjmujemy również prenumeratę zagraniczną. Do ceny miesięcznika doliczamy w tym przypadku koszt wysyłki.

Redakcja „PP”